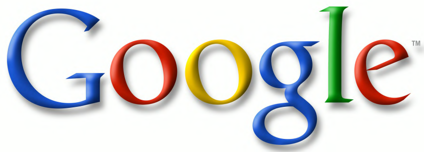
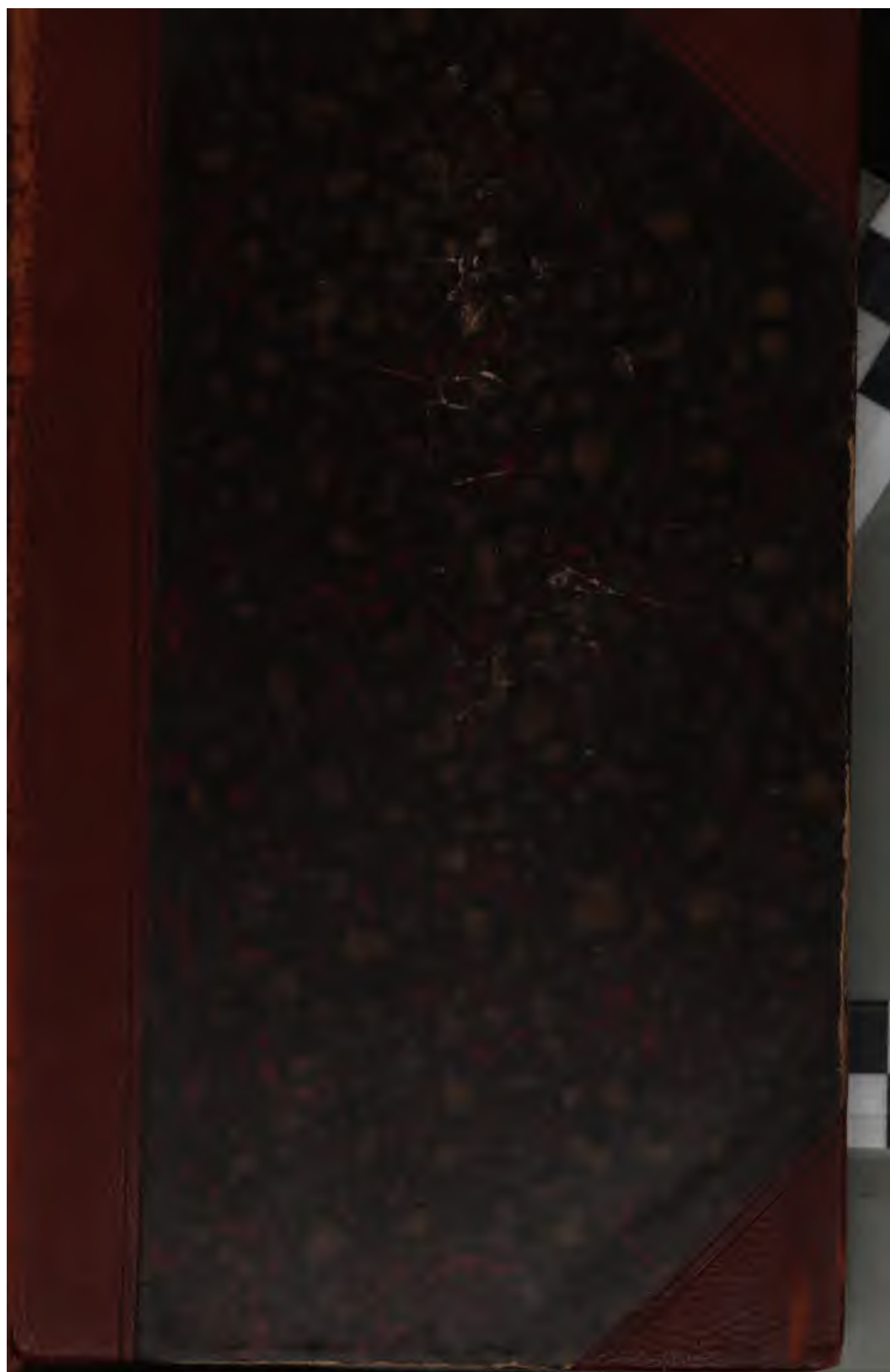
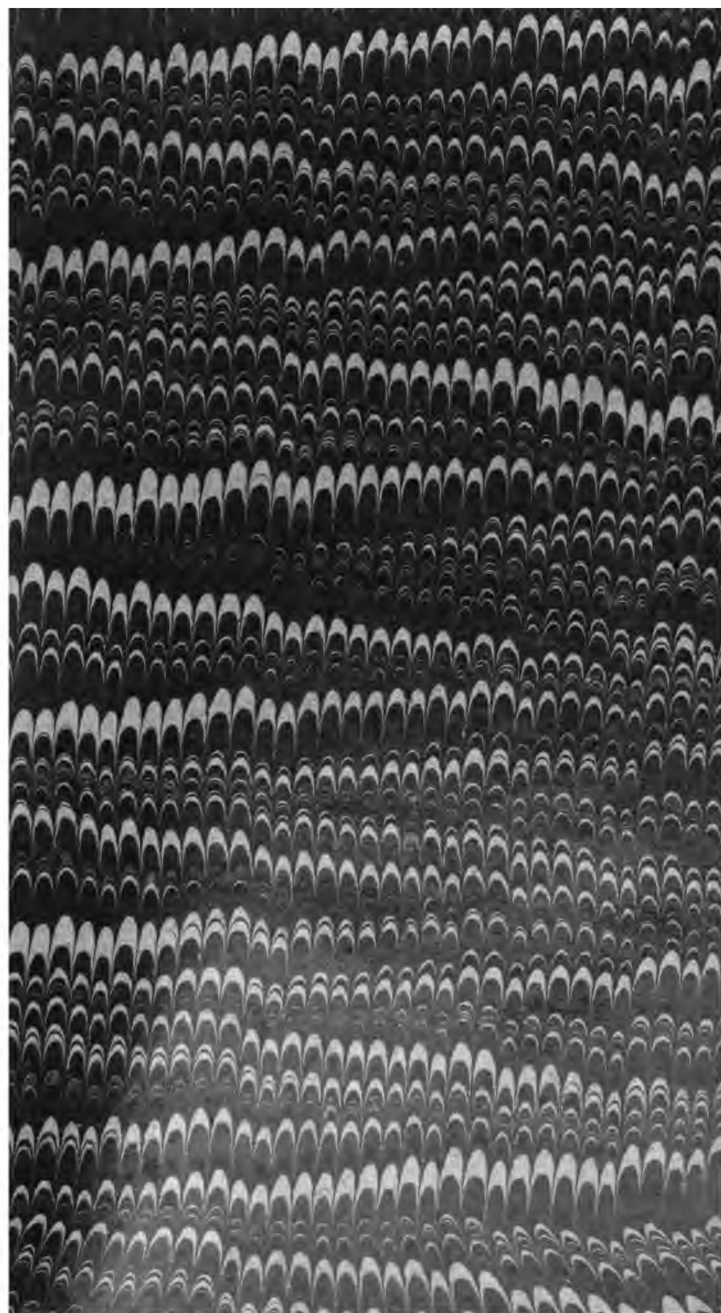
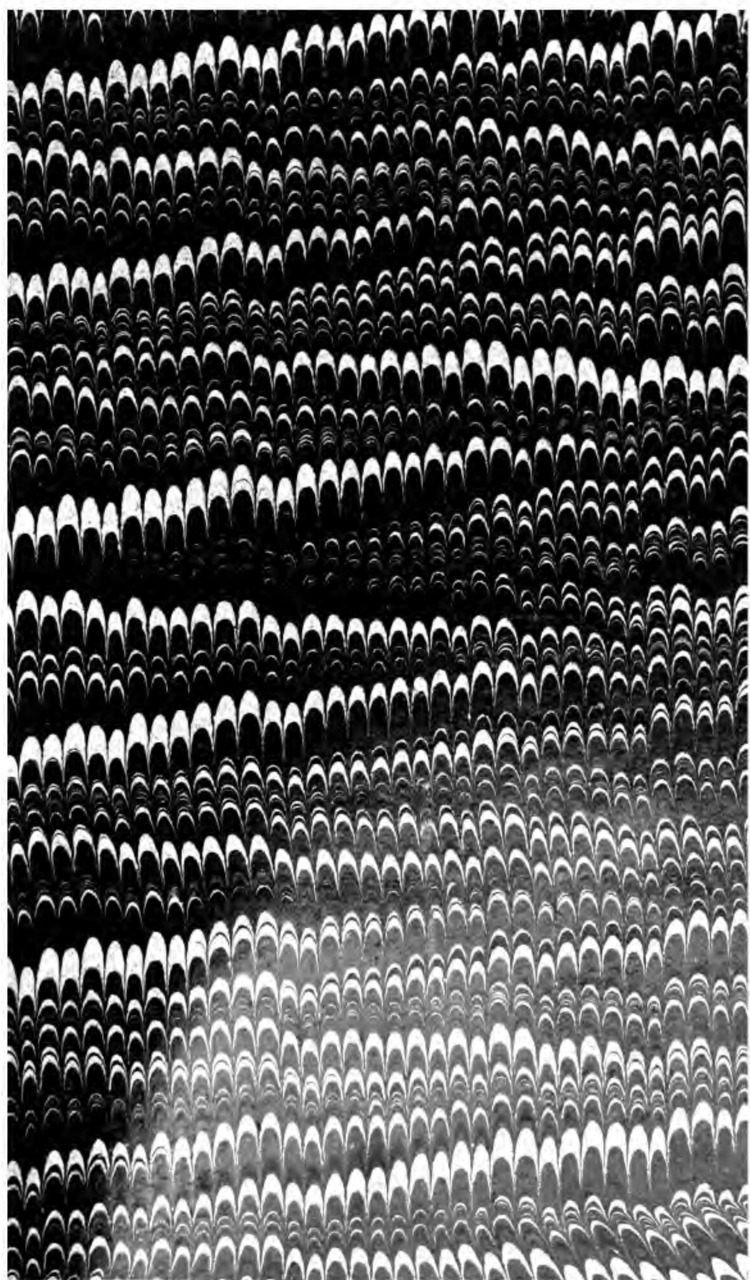








JULIUSZ SŁOWACKI

JEGO ŻYCIE I DZIEŁA

W STÓSUNKU DO WSPÓŁCZESNÉJ EPOKI.

TOM TRZECI.

NAKŁADEM KSIĘGARNI

GUBRYNOWICZA I SCHMIDTA

wyszły następujące dzieła:

Księżniczka z gminu, powieść z prawdziwych zdarzeń — W. Harrison Ainsworth, **Christon,** powieść angielska. — **Szeroki świat,** powieść angielska, F. Wetherell. — **Złoty Człowiek,** powieść z węgierskiego, M. Jokaj, przełożył A. Callier. — **Przyszłość Gertrudy,** Z. M. Schwartz, ze szweckiego. — Dr. G. Ebers, **Córka króla egipskiego,** powieść z niemieckiego, przez P. Wilkoéską. — E. Carlen, **Róża z Tistelenu,** powieść ze szweckiego. — H. Stanley, **Jak odszukałem Livingstona,** podróż, podług H. Loreau. — M. Jokaj, **Moje, Twoje, Jego,** powieść, przełożył A. Callier. — **Pamiętnik Jana Chryzostoma z Gosławic Paska,** z czasów Jana Kazimierza, Michała Korybuta Wiśniowieckiego i Jana Sobieskiego (1656—2688) — **Jan z Tęczyna,** powieść historyczna, J. U. Niemcewicza. — Z. M. Schwartz, **Pan z rodu i kobieta z gminu,** powieść ze szweckiego, 3 tomy. — **Charaktery osób historycznych,** podług J. Scherra. — **Amerykanin,** powieść H. James, z angielskiego, A. C. — **Korsykanka, Dwaj Bracia,** powieść, M. Z. Schwartz, ze szweckiego. — **Kłopoty starego komendanta,** przez A. Wilczyńskiego, 3 tomy. — A. Bronikowski, **Powieści historyczne:** Kazimierz Wielki i Esterka Moina. — **Błękitna książeczka.** — Dr. Antoni J., **Gawędy z przeszłości,** 2 tomy. — A. B. Edwards, **Tysiąc mil na falach Nilu,** z angielskiego, hr. A. D., 2 tomy. — W. Przyborowski, **Rubin wezyrski,** powieść. — **Księżniczka z Minsterburga,** powieść historyczna z XIV wieku. — F. Brackel, **Nora,** powieść, przekład z niemieckiego. — L. Kubala, **Szkice historyczne,** serya I i II. — Z. M. Schwartz, **Bratowe,** powieść. — M. Jokaj, **Nowy dziedzic,** powieść, przełożył A. Callier, 2 tomy. — Sawicki, **Podróże po Hiszpanii.** — J. I. Kraszewski, **Pan z panów,** powieść. — Wybicki, **Pamiętniki.**

JULIUSZ SŁOWACKI

JEGO ŻYCIE I DZIEŁA

W STÓSUNKU DO WSPÓŁCZESNÉJ EPOKI.

PRZEZ

ANTONIEGO MAŁECKIEGO.

TOM TRZECI.

Drugie, poprawne i pomnożone wydanie.

LWÓW.
Nakładem księgarni
GUBRYNOWICZA I SCHMIDTA.
1881.

Z drukarni „Gaz. narod.“ J. Dobrzańskiego i K. Gromana.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY.

Rozbiór Lilli Wenedy. — Dany w niéj obraz zawiązku w Słowiańatwie państwa lechickiego jak się ma względem prawdy dziejowéj? — Jaka rola w dramacie przydzielona Wenedom? Jakie znaczenie „przekleństwa", skazującego ich na zagładę? — Przymioty Lecha i zwycięskiéj jego drużyny. — Wybitne indywidualności w tragedyi: Derwid — Lelum-Polelum — Róża Weneda — Lilla. Kto właściwym bohaterem sztuki? — Tragiczność idei, na któréj dramat osnuty. Czy jéj wcielenie jest dostateczne? — Przegląd ról poszczególnych: zadanie Róży — i zadanie Lilli. Artystyczne niewłaściwości w przeprowadzeniu pojedynczych szczegółów. — Obejrzenie katastrofy dramatu — ogólne uwagi.

Lilla Weneda wyszła z druku wprawdzie po Balladynie. Co większa, Balladyna i napisana nawet została kilka lat pierwéj, niżeli Lilla. Pomimo tego, jeżeli chodzi o miejsce w szeregu sześciu owych zamierzonych dramatów, z których się miał złożyć cały cykl legend fantastycznych o najdawniejszéj Polsce: to pierwsze miejsce w tym cyklu zajmuje właśnie dramat niniejszy. Daje w nim poeta właśnie sam zawiązek, sam zaród społeczeń-

stwa naszego. Drugiém ogniwem tego łańcucha miał być Krakus, którego Słowacki stawia jako syna Lecha. Dla Balladyny, jako wsuniętéj tuż przed czasy Piastowe — więc już po dynastyi Popielów, przypada jedno z miejsc ostatnich, może piąte, lub szóste. Piąte, jeśli miał należeć do téj całości i „Wallenrod“; ostatnie — jeśli ta kreacya miała stanowić dzieło osobne.

W tym stanie rzeczy, jaki obecnie jest, posiadamy tedy tylko sam początek i koniec téj projektowanéj kolei legend. Lilla — to nawiązanie, a Balladyna — to dośpiew téj udramatyzowanéj Epopei przedbytu.

Główny pomysł Juliusza co do zawiązku narodu naszego i zgadza i nie zgadza się z tradycyą przekazaną o tém przez kronikarzy. Zgadza się z nią w głównéj rzeczy — rozmija w szczegółach. Poeta nasz idąc w szczegółowém rozprowadzeniu odnośnych okoliczności wbrew ich podaniom i po większéj części wbrew téż rezultatom ostatnich historyków, stworzył jednakże świat, który w sobie ogólną historyczną prawdę zamyka i nie tylko z poetyckiego, lecz i z historycznego punktu widzenia ostatecznie odpowiada powziętym powszechnie o genezie naszéj pojęciom. Bo że porządek rzeczy lechicki, jakkolwiek co do rodu nieobcy, cywilizacyjnie był czémś odrębném w słowiańszczyźnie: temu i historya nie przeczy. Że ten porządek zajął tu miejsce dawniejszych, nieco odmiennych, czysto słowiańskich stósunków: tego nauczają i dzieje. W tento jedynie też sposób mógł się tu począć ten żywioł polski, który pod wszelkim względem zawiera w sobie więcéj, aniżeli w sobie

mieszczą żywioły reszty rozsiadłego na niezmiernych przestrzeniach tu i owdzie słowiańśtwa. Historycznaa krytyka nie doprowadziła do pewnéj konkluzyi, skąd i kiedy i jak te lechickie pierwiastki przybyły między Słowian osiadłych po nad Gopłem i Wisłą. Lelewel, niezmiernie chwiejny w tym punkcie, to uważa w Lechach odcień tylko społeczny, zresztą miejscowy, to ich znowu gotów prowadzić z za Dunaju do Czech, a stąd nad Wartę. Bielowski wywodzi Polan od Daków czyli Traków, zatém z południa. Maciejowski od Swewów, więc z zachodu. Szajnocha od Skandynawów, zatém z północy. Nie brak na takich, którzy ten odłam plemienia przyprowadzają wprost z kolebki całego naszego szczepu, z za Kaukazu, zatém ze wschodu... Te różnice mniemań są tedy. Ale że nastąpiło jakieś przybytkowe wszczepienie latorośli nieco odrębnéj w pień miejscowego zaludnienia z dawniejszych czasów: na to się prawie wszyscy piszą jakby na fakt dowiedziony, a tradycya odwieczna o przyjściu Lecha w te strony, także to przypuszczenie potwierdza.

Jednakże historya pojmuje to przybycie nowych żywiołów na ziemię naszę w formie napływu. Przypuszcza napływ idei wyższéj, organizacyi odrębnéj, może też wreszcie nawet i rasy obcéj, lecz w taki sposób, że takowa bez wielkiego oporu potrafiła tu dokonać swego domieszania się do miejscowych zasobów i choć nad nimi wzięła przewagę, a następnie i panowanie, to jednak raczéj sama się do nich przyswoiła i rozpłynęła w ludności, którą napotkała w tych okolicach, niż żeby ją była miała w sposób gwałtowny wyprzeć albo wytępić.

Nasz poeta w tym punkcie zupełnie odstąpił od wyobrażeń utartych. Przedstawia on tę stósunków przemianę jako podbój, jako krwawe zetknięcie się dwóch przeciwnych sobie pierwiastków, co większa, jako bój dwóch różnych plemion o śmierć prowadzony lub życie w dosłowném wyrazu tego znaczeniu. Przedstawia przyjście Lechitów jako zagładę zupełną dawniejszéj tych okolic ludności — na korzyść przybyłéj rasy. I wziął sobie właśnie to konanie ustępującego z historyi i pokonanego plemienia za główny przedmiot swojéj tragedyi. Żywioł lechicki, zwycięski, dopiero poczynający tu życie — odgrywa w niéj rolę tylko deuteragonisty. Prawdziwym bohaterem dramatu jest to ostatnie pokolenie Słowian czyli „Wenedów" nadgoplańskich, które po długiém i rozgłośném niegdyś istnieniu w szerokich kraju swego granicach, legło pod rolandowym Lecha i rycerzy jego orężem. Jest to zatém per excellentiam tragedya idei, tragedya narodu i społeczeństwa całego — nie osób pojedynczych.

Sztuka się poczyna samym początkiem najazdu. Widzimy tu wprawdzie od razu króla Wenedów, toż obu jego synów w niewoli u Lecha, który już prawie władnie tym krajem; ale ten wielki obrót rzeczy sprawiła jedna bitwa, pierwsze już starcie.

— „Cóż myślisz starcze o ludach zachodnich?
Wczora ty byłeś panem téj krainy:
Dzisiaj do ciebie nie należy głowa,
Która rządziła wczoraj tymi ludy"... itd.

Od tych słów, włożonych w usta Lechowi do Derwida pokonanego, już się poczyna akt pierwszy. —

W poprzedzającym akt ten Prologu, którego czas przypada właśnie na chwilę owéj bitwy stanowczéj, chociaż się takowa toczy opodal gdzieś po za sceną: daje autor kilka zarysów, charakteryzujących położenie dziejowe. Dowiadujemy się, że Wenedzi skazani są na zagładę; że ciężv nad nimi jakaś klątwa, z przyczyny któréj upaść i zaginąć muszą.

— „Przekleństwo, przekleństwo, przekleństwo!
Ojczyzna nasza kona — i na wieki
Widzę umarłą"...
— „Na ziemi i w niebie
Lud nasz przeklęty — o biada nam, biada! —"

Słowa te wypowiadają Róża Weneda, starsza córka Derwida, będąca wróżką — i harfiarze, którym jako kapłanom narodowym, odchylona jest zasłona przyszłych przeznaczeń ojczyzny. Lecz nie oni tylko sami posiadają tę świadomość przyszłości. Myśl ta jak miazmat trujący, zdaje się przesiąkać całą atmosferę obrazu; odzywa się ciągle, przez cały tok dramatu, jak echo jakie złowieszcze. Uczucie to zbliżającego się końca ciąży ołowiem na wszystkich osobach, biorących udział w téj ostatniéj walce z najezdnikami... Poeta nie tłómaczy ani powodów ani bliższych okoliczności owego przekleństwa, rzuconego na cały szczep Wenedów. Możnaby go tu prawie posądzać o wprowadzenie jakiegoś ślepego fatalizmu. Tém bardziéj zaś przypuszczenie czegoś podobnego w tym dra-

macie mogłoby się zdawać na razie uzasadnionêm, że nie widzimy w Lechitach, którzy wszędzie zwyciężają Wenedów, żadnéj nad nimi wyższości. Przeciwnie, jest to rasa jakaś i fizycznie karłowata i duchowo napiętnowana jakimiś oznakami małości, skłonna do nikczemnych okrucieństw, daleka od wszystkiego, coby znamionowało wyższą naturę, rasa niekiedy prawdziwe popełniająca nawet obrzydliwości! Wszakże sam Lech, patrząc na rosłe ciała, na dumne postawy swoich jeńców zakutych w pęta, mówi do żony:

„Gwinono patrzaj, jaki to lud rosły!...
Ja komar — i krew z niego wycedziłem
I wycisnąłem w ręku jak cytrynę!...

Ściągając rzecz do jednego z synów Derwida, dodaje jeszcze:

Że ja maleńki, to on mną pogardza,
A wiem, że mego miecza nie udźwignie!“ —

Zdawałoby się, z tych chełpliwych słów wnosząc, że za tę drobność zewnętrzną ciała, natura wynagrodziła Lechitów nie tylko tęgością nadzwyczajną sił fizycznych, ale może i mocą duchową, rozumem, wielkością serca? Gdzie tam! Żona Lechowa, Skandynawka z rodu, bynajmniéj nie powzięła takich wyobrażeń ani o mężu, ani o jego orszaku. Zręczność w boju — tę im przyznaje, ale prócz tego — nic więcéj.

O jak rycerze ci są łatwowierni!
Najmniejsze kłamstwo, a już ich oszuka.
A choć szychową nić zobaczą, nie chcą

Wyciągnąć z kłębka — jedni przez lenistwo,
Drudzy, widzący w tém może pożytek
Albo zabawę: i tak oszukani
Fałszu krzewinie rosnąć pozwalają!“

Podnosząc tedy w ich charakterze lenistwo, prywatę i lekkomyślność, jako główne znamiona, zamyka Gwinona w dalszych wierszach ten sąd swój o całym rodzie Lechitów wyrzeczeniem niekoniecznie dla nich pochlebném, że to „lud głupi, z rąk rycerskich ale z głów niemyślących“ złożony, który, jeżeli ona go w opiekę swoję nie weźmie — przy lada burzy rozpaść się musi.

Na tosamo wychodzi, co w swój znowu sposób i przy innéj okoliczności o téj rasie wypowiada pocieszny i głupkowaty Ślaz, kiedy go ktoś w przytomności Wenedów za Lechitę ogłosił.

— „Cóż to? Czy mi z oczu
Patrzy gburostwo, pijaństwo obżarstwo,
Siedem śmiertelnych grzechów, gust do wrzasku,
Do ukwaszonych ogórków, do herbów?
Zwyczaj przysięgać in „verba magistri“ —
Owczarstwo — czy to wszystko mi do twarzy? —
Jeśli tak, wodą mię zlejcie gorącą —
Niechaj oblezie ze mnie pierwsza skóra“ itd.

Co dotąd przytoczono, wystarczy, ażebyśmy pozwolili sobie już w tém miejscu wyrzéc nawiasową uwagę, że widocznie przydzielił tu Słowacki Lechitom te wszystkie właściwości, które się późniéj okazały przywarami polskiego społeczeństwa, mianowicie w czasach upadku. Przywary te wytykają i teraz jeszcze umysły satyrycznie usposo-

bione polskim szlachcicom, rozumiejąc przez wyraz ten nie sam tylko cały ogół mniéj światłéj masy wyższego społeczeństwa naszego...

L e c h sam jest prototypem powyższych ułomności. Łączy on w sobie dziwne sprzeczności charakteru. Przy bohaterskich nieraz zapędach, przy błyskliwych powodzeniach oręża — słaby to duch, podległy lada wrażeniu, słowem pospolita natura! Daje wpływać na siebie, bez wyboru i bez różnicy, wszystkiemu i każdemu, kto go tylko otacza. Dopuszcza się co krok dziwnych, nieraz prawdziwnie pociesznych niekonsekwencyi (naprzykład przez cały ciąg aktu drugiego i trzeciego, gdzie chodzi albo o dotrzymanie obietnicy, danéj Lilli Wenedzie co do uwolnienia jéj ojca, albo też o narażenie się na gniew krzykliwéj a tyranizującéj go małżonki). Słowem, jest to prawdziwie nieodrodny, jak się sam autor w przedmowie do dramatu wyraził, „praszczur Sobieskiego“ — przy silnéj ręce, a Molierowskiéj w domu słabości. „Kontusz mu włożyć i bóty czerwone, gdy wróci z piorunowéj walki, siarką cuchnący i krwią oblany po szyję. Kontusz mu włożyć i żupan! niechaj panuje — bez jutra!“

Otóż zdawaćby się mogło, że skoro z takim wrogiem mieli do czynienia Wenedzi, to chyba ślepy jakiś fatalizm winićby o to trzeba, gdyby zagłada ich plemienia, na korzyść ich najezdców, miała rzeczywiście już tak koniecznie być nieuchronną. Przecież słuszność jest po stronie tych, którzy bronią swojéj ojczyzny. Przewagą liczebną także przewyższają Wenedzi nieskończenie Lechitów. Przymioty szczepowego ich charakteru zmu-

szają w dramacie często nie tylko do uznania, ale i do współczucia. Sam Gwalbert święty, człowiek obcego pochodzenia, zatém bezstronny, wprowadzony przez autora na scenę jako typ zbliżającego się i do tych już stron chrześcijaństwa, oddaje im świadectwo, „że to był dobry lud, choć nie chrześcijański". Dlaczegoż tedy Opatrzność, czy wreszcie szczęście samo łaskawszém być by miało dla Lecha i jego szyków, które równie Wenedzi jak nie są jeszcze chrześcijanami, aniżeli dla téj ludności spokojnie mieszkającéj u siebie? Jeżeli z tego powodu, że to pokolenie obarczone przekleństwem: to kto je niém obarczył? za jakie wykroczenie? przed czyim trybunałem?

Na te wszystkie pytania nie ma w dziele odpowiedzi gotowéj; ale całe jego przeprowadzenie i ostateczna katastrofa tragedyi staje za wymowne rozwiązanie całéj tu poruszonéj zagadki. Przekleństwo Wenedów wynika z nich samych. Jest to tylko symboliczny wyraz, malujący wewnętrzny stan ducha tego narodu. Wenedom zabrakło zupełnie na duchowéj sile żywotnéj, tak niezbędnéj do istnienia ciałom zbiorowym. Stracili wiarę w siebie, stracili serce. Odbiegło ich przekonanie, że potrafią się oprzéć nawet wrogowi, który w stal zakuty od stóp do głowy, poprzedzony sławą nabytą, przyszedł zabrać im ich odziedziczone siedziby. Trzymają jeszcze w rękach harfy, których cudotwórcza muzyka grała ich ojcom niegdyś tryumfalne hasła do zwycięstw: ale z tych dźwięków uleciał duch dający siłę zwycięstwa, a pozostały tylko głuche i puste brzęki. Tych brzęków oni już sami nie rozumieją! Pozostały im wróżby, na

których budują wszystko, a którym jednak sami nie dowierzają. Poczucie tego duchowego upadku udzieliło się całemu ich pokoleniu. Nikt z nich w przyszłość dalszą nie wierzy; nikt nie ma woli, żądać jéj i wymóc ją — nawet wbrew wszystkiemu, co onéj przeczy. I to jest owo przekleństwo, dla którego muszą ustąpić z widowni.

Wyższość Lechitów na tém właśnie polega, że lubo oni jak się powiedziało, podlegają tylu rozlicznym ułomnościom i niedostatkom moralnym, lubo nieliczni do tego stopnia, że się garstką tylko wydają w porównaniu z tysiącami Wenedów, lubo ciałem od nich mniejsi i słabsi: ufają w siły swoje i gwiazdę swoję i mają serce do boju.

Wśród wyrzutów, które nieraz w dramacie czyni Lechowi wyniosła jego małżonka: że dwa razy już utracił kraje prawie podbite, że się dał bratu Czechowi tak łatwowiernie oszukać, że mu już pozostała tylko jeszcze garstka rycerzy, że nie pamięta o losie dzieci i t. p. zmuszona ona jest jednakże powiedzieć mu i te słowa, wcale nie będące naganą, a tłómaczące naszę zagadkę:

„Ty zawsze ufasz w szczęście i odwagę
I w tę gorącość krwi, co ciebie rzuca
W niebezpieczeństwo. .“

A Róża Weneda kiedy opowiada swoje widzenie w przededniu walki, mającéj ostatecznie rozstrzygnąć o istnieniu lub nieistnieniu narodu: to w zupełnie inném świetle malować musi zachowanie się i usposobienie swoich Wenedów. Widziała ich w liczbie kilkunastu tysięcy, ale z wybladłymi twarzami, w grobowém milczeniu zajmu-

jących miejsca na przyszłém pobojowisku. Widziała ich w duchu swoim, jeszcze w przededniu bitwy, jako tam stali uszykowani do boju

„Równi, zimni, biali jako groby,
Miecz je walił, gdy piorun był niemy,
Czasem walił piorun i miecz razem.“

Powiada, że kiedy chcąc się przekonać, co się dzieje w piersiach tych zwątpieniem zatrutych ludzi, zajrzała do wnętrza kilku z tych bohaterów walki jutrzejszéj: to znalazła u jednego, „że w nim serce zbladło i tak trzęsło się, jak liść olchowy“. W piersi drugiego znalazła zamiast serca — kłębek robaków. A gdy rozdarła pierś trzecią i spojrzała w nią: — to była pusta! nie było w niéj nic miasto serca. I nie zazierała już daléj wróżka natchniona do serc ludzkich w swoim narodzie, bo się dowiedziała o wszystkiém...

Gdzie tak rzeczy się mają, tam i katastrofa gotowa. Gdzie tacy zapaśnicy, tam i wypadek walki z góry wiadomy. Nie byłoby o czém ani z czego i tutaj stworzyć dramatu. Jednakże są jeszcze przynajmniéj pojedyncze pomiędzy Wenedami osobistości, ktore grozę położenia pojmują, nie zapomniały godności narodowéj, zachowały choć iskrę wiary w skuteczność swoich poświęceń; które czują ciężar obowiązku i mają siłę go dźwigać. Są jeszcze ludzie, którzy jeśli nie więcéj, to pragną się bronić, żeby — jeżeli trzeba już poléc, legnąć przynajmniéj bez hańby, i oddać życie nie bez drogiego okupu i odwetu.

Stawmy przed sobą te wybitne charaktery słowiańskie, podtrzymujące akcyą tragedyi.

Oto najprzód Derwid, sędziwy król Wenedów. Znękany to starzec, w wysokim stopniu wyobrażający wszystkie braki swego plemienia, ruina, niemoc uosobiona... Ale ruina to, zdolna wzniecić i w wrogu cześć dla tego, czém była kiedyś. Mąż królewskiego ducha, który się śmierci ani okrucieństw żadnych nie lęka. Walczy — wprawdzie tylko słowami, ale słowami, które wroga prażą jak razy. Ożywia i zapala się — wprawdzie na tylko znikomą zawsze chwilę, żeby po wysileniu takowém opaść z sił w tém bezbronniejszą bierność. Ale wiary do harfy swojéj, tego symbolu narodowego zbawienia, nie traci nigdy i wzniósł się duchem na wysokość, z któréj dumnie zapowiada wrogowi:

„Że po narodach już wymordowanych
Jeszcze zostaje jakaś moc, przed którą
Ty musisz blednąć, i ciągle twe lica
Strupiałe nową krwią farbować musisz.“

Są daléj dwaj synowie jego — tak podobni do siebie, a tak jednak różni usposobieniem. Młodszy Lelum — to poeta, marzyciel, to Kordyan tamtych wieków, serce narodu. Starszy Polelum — to tego narodu oręż, grom, jego jedyna siła, która jeszcze zdolnaby była i w czyn rozkwitnąć zbawczy, gdyby to było rzeczą podobną, ażeby jeden stanął za wszystkich; gdyby jedna latorośl zielona mogła ożywić soki w całém

drzewie — zmurszałém!... Lelum-Polelum — dwie nazwy, dwa wyrazy niezrozumiałe dla dzisiejszéj epoki, choć przekazane tradycyą, połączył poeta w jeden więc pomysł. Skuł dwóch tych braci jednym łańcuchem, zaczepionym jednym końcem do prawéj ręki młodszego, drugim do lewéj starszego brata. Stawia ich obu jako jednego wodza w téj ostatniéj narodowej potrzebie, jako wodza o dwóch głowach, a jednym mieczu i jednéj olbrzymiéj tarczy. Miecz — dzierży prawa ręka Polelum; tarcza — zdana lewéj ręce drugiego brata. Tak oni walczą i giną na stosie. W tém połączeniu dwóch jestestw, przekazują oni po sobie ostatnie wspomnienie pamięci wieków potomnych. Dwa imiona mitologiczne, dotąd prawie śmieszne, a w każdym razie bezmyślne, nabrały więc w dziele obecném znaczenia. Znaczenie to nie jest bez ubocznego związku i z charakterem narodowym całych naszych dziejów następnych. Dwie głowy — a jedna ręka! Dwa niestety rozumy — a jedno tylko działanie. Nie jestże to rzeczywiście, jak poeta w przedmowie swojéj natrąca, wiekowe, tradycyjne „nieszczęście narodu?“ Nie jestże to przeznaczenie, nie tylko „przewodniczące tamtemu, przez Boga potępionemu ludowi“, ale i owym wojennym spadkobiercom jego krainy, którzy tu dalsze dzieje więcéj w jego duchu, niżeli w własnym rozsnuli?

Mamy w dramacie nakoniec dwie córy króla Derwida, Różę i Lillę Wenedę. I tutaj uwydatnił Słowacki stanowczy kontrast między obiemi siostrami. Starsza jest wróżką, kapłanką i ofiarnicą swego narodu. Nie tylko powołaniem, ale i

usposobieniem wyższa nad płeć swoję niewieścią — może sama jedna w pokoleniu owém całém obdarzona jasnowidzeniem tego, co się dzieje w duchu narodu i na co się w nim zanosi: wystaje Róża Weneda w dramacie, w kolosalnych, twardych, ostrych zarysach, po nad wszystkie inne w nim działające figury, i tą surową wielkością duszy zniewala do podziwienia. Na pozór poczyna ona sobie niekiedy jakby istota nieczuła, zdolna do krwawych tylko porywów, bez łez i serca dla siostry, dla braci, dla ojca pojmanego w niewolę i powracającego z niéj potém z wydartymi oczyma. Zamiast jakby się należało, powitać w téj scenie ten tak późny, tak niezupełny powrót rodzica swego do domu; zamiast otoczyć ciemnego starca tém przyjęciem, jakiego się mógł spodziewać ze strony dzieci, a raczéj ze strony jedynego dziecięcia, które nie dzieliło jego niewoli: Róża Weneda zwięźle i ponuro zagaduje Derwida, dlaczego bez swojéj harfy powraca? Derwidowi wprawdzie wiadomo, że od téj harfy zawisło ocalenie Wenedów; wiadomo mu, jakie miejsce w społeczeństwie narodowém starsza córka jego zajmuje; wiadomo mu, że ona czuje za naród cały i że tylko to jedno uczucie serce téj dziewicy zapełnia. A przecież, w takiéj chwili, nie rozumie on sam nawet Róży Wenedy. Pojąć tego nie może, żeby na widok wydartych jego oczu, na widok twarzy zlanéj tymi łzami krwawymi, mogła córka jégo, kobiéta, myśleć jeszcze o czém więcéj, jak tylko... o takim powrocie ojca! I karci, przeklina prawie to na pozór niedobre dziecko:

— „O gadzino!
Czy ty się z harfy mojéj urodziłaś,
Że ty mię witasz tak? — Gdym tu przychodził,
Skakały na mnie psy, wyjąc z radości,
A ty jak kruk“... itd.

„Ty jesteś harfą bez strun, czarownico!
O bogdaj pierwszy z tych piorunów złotych
Pomścił się za mnie!“...

Te wyrzuty starca świadczą jednak więcéj przeciw Derwidowi samemu, aniżeli przeciwko Róży. Dowodzą, że król Wenedów jest niezdolny — nie powiem: podzielać, ale nawet rozumieć tego nastroju ducha, do którego w takiéj chwili, jak tamta, wznieść by się powinna cała ludność zagrożona zagładą, przedewszystkiém zaś sam panujący, jako bezpośredni wyobraziciel idei swego narodu. To też bynajmniéj się nie miesza kapłanka nasza tymi gorzkimi wymówkami rodzica. Czyni co do niéj należy z tymsamym spokojem duszy, z jakim to czyniła przed przybyciem Derwida; a na jego wyrzekanie i skargi patrzy w milczeniu pełném boleści, jak na poczynanie sobie człowieka przeżytego i zdziecinniałego, który nie wie co czyni... W innych miejscach daje też poeta wymownie do zrozumienia, że i Róża Weneda ma serce, ale serce do czynów, do walk, do zemsty nareszcie, a nie do łez, które gaszą ogień serdeczny. Jéj słowa wyrzeczone do siostry:

„Nie czas żałować róż, gdy płoną lasy“

określają dostatecznie cały charakter téj roli.

Podczas kiedy starsza siostra działa w dramacie jak Eschylowska więc Eumenida, która „jednym strasznym czynem zajęta, stąpa po sercach ludzkich i kruszy je pod swymi nogami“, przydzielił poeta naturze młodszéj, Lilli, właściwości całém niebem tamtéj przeciwne. Zamknął w jéj piersi uczucia wdzięczne, miękkie, tkliwe, prawdziwie niewieście — uczucia właśnie w tym stopniu zmuszające do miłościwego współczucia, ile natura tamtéj tylko chłodny obudza podziw. Wizerunek ten dziewicy cichéj i łzawéj wykończył Juliusz z całą miłością artysty. Wymarzył sobie tę prawdziwą Antygonę słowiańską nad nagrobkiem, gdzieś w Szwajcaryi kiedyś widzianym, ze starożytnego Rzymu jeszcze epoki datującym, który mu teraz stał przed oczyma ducha, jakby był materyalnie obecny. W krótkich ale powiedziałbym magnetycznych wyrazach skarży się tam jakaś młoda męczennica pogańska na nielitość przeznaczenia swojego. „Julia Alpinula tu leżę — nieszczęśliwego Ojca nieszczęśliwa córka — bogów awentyńskich kapłanka. Wyprosić Ojca od śmierci nie mogłam. Nieszczęśliwie umrzéć w losach jego było. Żyłam lat XXIII“... Nowsza filologicznego skeptycyzmu krytyka dowiodła niedawno temu, że ten napis grobowy należy do apokryfów. Mniejsza o to! Napis może sobie być podrobiony: — pomysł jego jednakże nie pozostanie dlatego być pomnikiem autentycznéj, bo prawdziwéj poezyi. Z niewielu dat téj lapidarnéj kroniki, jak widmo wyziera powieść strasznego jakiegoś zajścia. Żywsza wyobraźnia dosnuć tu sobie potrafii cały poemat poświęcenia i miłości, tragicznie kontrastującéj

z ciemném tłem czasów, które pochłonęły tę białą postać dziewicy, zabitéj w swojéj wiośnie tak rychłéj. I nasz poeta z téj wymownéj, choć w słowa tak skąpéj skargi, z tego jęku właściwie nie nad sobą, ale jedynie nad ojcem, wywołał pomysł swojéj idealnéj Słowianki. Żeby wydobyć na jaw cały urok téj melodyjnéj duszy, przeciwstawił niewieścią jéj potulność — spiżowéj grozie starszéj córy Derwida. Róża jest kapłanką bogów rodzinnych, a Lilla — to już chrześcijanka — to pierwsza nawrócona w Słowiańśtwie! Tamta — już z natury surowa, ponura, duchem wyłączna, w sobie saméj zamknięta, zdolna myślą dźwignąć z posad całe arkanum państwa swojego ojca, a bez zmysłu dla cierpienia jednostek: a ta gibką swoją postacią, jak bluszczu zielonego gałązka, przeznaczenia swojego szuka jedynie około siebie; z uśmiechem na twarzy, ze łzą miłości w oczach, zawisa białymi ramionami u szyi ojca, braci, siostry co jéj w dzieciństwie zastępowała matkę, i tylko na to żyje, żeby dni drugich umilić, rozjaśnić, szczęściem umaić, dopóki można; żeby je okupić śmiercią swoją, gdy tego trzeba. O losy narodu, jako ogółu, nie pyta. Przyszłości — nie zna. Przeznaczeń — nie bada. Żyje w obecności — i to jéj wystarcza; pragnie szczęścia — dla każdego z osobna. Świat się do niéj uśmiecha — poznała miłość, jest zaręczoną: ale ta nadzieja szczęścia na ziemi nie więzi jéj jednak do ziemi. Pragnie żyć, lęka się śmierci — a jednak bez wahania niesie życie swoje w ofierze, byleby ocalić tych których kocha, od zguby.

Rzecz jasna, że z pomiędzy wszystkich osób wprowadzonych w ramy dramatu, Lilla Weneda

ma najwdzięczniejsze i najrzewniéj nastrajające zadanie. Jéj rola głównie sobie współczucie widza ujmuje. To też jeżeli która z tych pojedynczych postaci, to ona właśnie mogłaby być nazwaną bohaterką tragedyi. Rzeczywiście jednakże herosem sztuki naszéj jest cały lud Wenedów, o losy którego ostatecznie tu chodzi. W nim głównie poeta uobecnił i uwidomił tragiczność idei, która mu tu dała natchnienie. Nie ma zaiste rzewniejszego obrazu ani tragiczniejszego widoku, nad konanie szlachetnego narodu, jeżeli na konania tego przyczyny złożyły się rozliczne momenta z własnéj jego winy wynikłe, nie będące jednak taką skazą na obliczu jego duchowém, żeby sumienie widzów, na ten straszny dramat patrzących, nie miało im mówić, że to kara nieboska, że to katastrofa dla ludzkości bezpożyteczna, że to tryumf nie idei, ale potęg tylko doczesnych, korzystających chytrze i zmyślnie z szczęśliwéj dla nich okazyi... Takiego to konania tragicznym wizerunkiem mieli być w téj kreacyi Wenedzi. Czy nimi są? o tém możnaby sądzić różnie. Mnie się zdaje, że obraz rzeczy téj nie jest w dziele naszém zupełny. Autor zaniedbał wykończyć go z tą plastyką artysty i z tą historyozoficzną mądrością myśliciela, jakiéjby tu koniecznie było potrzeba. Odsłonił wszystko, co świadczy o upadku ducha i o rozkładzie siły żywotnéj Wenedów. A zapomniał skreślić dodatnie, nawet i teraz jeszcze, strony ich charakteru. Przynajmniéj nie wyrzeźbił ich z tą wymową skądinąd właściwą jego utworom, iżbyśmy czuć mogli nie tylko całą wagę i całą prawdę, ale i całą ironią skargi, włożonéj w usta ostatniego

z rodu Wenedów na końcu sztuki. Jest nim Polelum, stojący już na stosie, ażeby umrzéć na grobie swojéj ojczyzny. Spieszą ku niemu dwaj spadkobiercy puścizny pozbawionéj swego dziedzica, jak gdyby nieśli ocalenie dla plemienia, które właśnie skonało. Lech woła: stójcie, bo ja przynoszę wam życie! Gwalbert głosi: stójcie, bo ja wam wiarę przynoszę. Wtedyto wypowiada Polelum te słowa tłómaczące całą dążność tragedyi, i zarazem stawiające jakoby na piedestalu pomnikowéj w dzejach wielkości pokolenie owo, w dramacie pokonane:

— „Boże, patrzaj z nieba
Na tych dwóch ludzi przed stosem Weneda
Konającego! Patrzaj na tych ludzi
I pomyśl, jakim ty dajesz stworzeniom
Chwilę tryumfu i urągowiska!“..

Widzimy więc, że cała ta sztuka przyznaje uprawnienie Wenedom i w owéj jeszcze porze do bytu, tylko zatém porównawczo, względnie, pośrednio, t. j. o tyle tylko, że w porównaniu z nimi Lechici duchowo i fizycznie, w indywiduach swoich i w obyczajach, w rodzinie i po za jéj obrębem, wyglądają jak karłowate jakieś i pełne ułomności postaci. Ale własne, dodatnie i wprost przemawiające do wyobraźni zalety społeczności Wenedów pozostały po za ramami obrazu, co w każdym razie doniosłość téj kreacyi jako tragedyi osłabia i bynajmniéj nie przyczynia się do wydobycia na jaśnią istotnego w niéj założenia.

Bądź jak bądź, zamiar taki autora, jako zamiar, dostatecznie jednak z dzieła wyziera i wąt-

pliwości nie podlega, że główna rola spoczywa tu na tym właśnie czynniku. Ponieważ wszakże niepodobno było poecie, z artystycznych przyczyn, rozwinąć akcyi dramatu na tém jedynie tle działań i cierpień zbiorowéj osoby, jaką jest naród: musiał tedy osobę tę moralną pozostawić w idealnéj głębi obrazu, a zapełnić przestrzeń jego konkretną działaniem pojedynczych osób, o ile takowe najpełniéj i najwybitniéj wyobrażają stan ducha swego narodu. Osobami takimi są głównie obie córki Derwida. Starsza działa w miarę charakteru, jaki jéj przydzielono, przedewszystkiém mając na oku cały ogół narodu. O losy jednostek, chociażby sercu najbliższych nie pyta. Przygotowuje czyn ostatni Wenedów, przepowiadany z dawna w wróżbach jéj objawionych w sposób, że i tak i owak, jak wszystkie wróżby na świecie, może być wykładany. Ani się zbytecznie ku ufności skłaniając, boć zna usposobienie społeczeństwa swojego, ani też nie rozpaczając stanowczo o tém wszystkiém, co przyjdzie: rozsyła harfiarzy swoich na wszystkie pokolenia i zwołuje cały naród do walki. Jeśli ocalenie nie należy jeszcze do rzeczy przechodzących wszelki zakres możności, to ona siły do niego w Wenedach rozbudzi i zmusi ich do odniesienia zwycięstwa. Jeżeli zaś jest już rzeczą konieczną, żeby plemię to w własnéj swojéj dziedzinie przyjęło na się jarzmo obcego służebnictwa i zakończyło dzieje swoje upadkiem: to niechże raczéj ginie i skona, byle całe, byle na polu chwały, z orężem w ręku, biorąc do grobu z sobą świadectwo, że uczyniło w obronie swojéj, co mogło. Wtedy odwet za to zabicie narodu będzie poruczony przyszłości, choćby

najdajszéj. Pomsta przyjdzie, choćby ją spłodzić miały zmarłych popioły... Taka jest rola i taki kierunek działania Róży Wenedy.

Tragiczność roli téj w tém jest widna, że chodzi o przeprowadzenie czynu, do którego braknie żywiołów w społeczeństwie. Jest to walka z fatalizmem, przebój żywotności w jednostce z ociężałością i bezduchem ogółu. Na takich sztandarach imię idei nieśmiertelnéj jest wypisane. To ich prawo. Ale nie ma komu nieść tych sztandarów. To ich niemoc.

W zupełnie innym kierunku idzie działanie drugiéj córy Derwida. Lilla wyobraża żywotność idei słowiańskiéj w rodzinie. Jéj ideał — szczęście osób najbliższych sercu. Gdyby można było żyć dla ideału tego, nie pytając o to, co się tam daléj dzieje w narodzie: nie wchodziłaby pewnie i nasza bohaterka w żadne zawikłania z zewnętrznym nieprzyjacielem. Ale związek między rodziną a społeczeństwem jest nadto ścisły! Po wszystkie wieki iści się owo proste a tak głębokie słowo Wajdeloty, powiedziane o Walterze u Mickiewicza: „Szczęścia w domu nie znalazł, bo go nie było w ojczyźnie"... To też i w obecnéj tragedyi miłość rodzinna prowadzi doraźnie do podjęcia boju na zewnątrz. Jest to bój dziewicy, bój prowadzony o wybawienie tylko trojga pojedynczych osób z niewoli, bój nie na oręż, ale raczéj na rozum i na przebiegłe serce, ale zawsze bój straszny: i kończy się równie tragicznie, jak cała walka Wenedów.

Lilla podejmuje na się zadanie, wyprosić z jeństwa ojca i braci, których wzięto w niewolę już w pierwszéj z Lechitami potyczce.

„Ja braci moich, ojca mego zbawię.
O pobłogosław ty mi siostro moja
I wy mi starzy ludzie błogosławcie!
Ale nie proście Boga o nic dla mnie,
Tylko o rozum i przebiegłe serce,
Abym zbawiła tych, co są w kajdanach!
O bądźcie zdrowi! nie troszczcie się o mnie —
Za mną jest każdy kwiat i każdy gołąb,
Co biały jak ja, swą mię siostrą mniema.
I ten jest za mną, co nad gołębiami
W nieba błękicie jeszcze wyżéj lata;
A gdy mię nazbyt przyciśnie nieszczęście,
Gotów odebrać gołębiowi skrzydła
I mnie dać skrzydła, bym od ludzi poszła.
Jeśli nie zbawię ojca, umrę młodą —
A wtenczas płaczcie wy biednéj dziewczyny!“

W tych kilku wierszach zawiera się cały przebieg téj roli. Jest to rzeczywiście walka słabéj gołąbki z sępami, które tylko uznają racyą szponów swoich drapieżnych. Smutna, choć wzniosła walka miłości i poświęcenia — z egoizmem i nienawiścią... Pomysł téj właśnie części dramatu należy niezawodnie do najcelniejszych jego piękności. Tém bardziéj też żałować tego należy, że wcielenie pomysłu tego w szczegóły, że przeprowadzenie rzeczy w pojedynczych ustępach, dalekiém jest od tego, żeby miało zaspakajać pod każdym względem.

Lilla przybywa do Gwinony z zamiarem ujęcia jéj sobie pokorą. Przy pomocy Matki Bożéj, któréj za radą Gwalberta ślubuje czystość dziewiczą, spodziewa się Lilla Weneda, że potrafi skłonić nieprzyjaciół do prośby, z jaką przychodzi. Przybywa na nieszczęście za późno. Ukazują jéj ojca — już z wyłupionymi oczyma! To ją wprawia w oburzenie najwyższe. Ufna w opiekę Bogarodzicy, która (jak jéj to św. Gwalbert zapewnił) za ślub uczyniony czystości stoi po jéj stronie, daje nieoględnie wyraz uczuciu, jakie w niéj wre, i zapowiada żonie Lechowéj, że ta cała wściekłość przeciwko bezbronnemu jéj ojcu okaże się bezsilną, gdyż potrafi ona go wydrzéć z ręki oprawców, choćby i trzy razy wymyśliła Gwinona dla niego śmierć najokropniejszą... Gwinona złośliwie bierze dziewczynę za słowo. Przyrzeka puścić Derwida na wolność, jeżeli Lilla rzeczywiście tego dokaże, co tak chełpliwie wyrzekła, i potrafi na przekorę wszystkiemu co nastąpi, wybawić trzy razy ojca od śmierci. Z tego wywięzuje się dla Lechitki pochop do wymyślania po trzy kroć najwyrafinowańszych okrucieństw na zagładę oślepionego więźnia, a dla Lilli konieczność trzykrotnego udaremnienia tych usiłowań. Otóż więc w szczegółowém przeprowadzeniu tegoto założenia, zapełniającém w każdym razie większą połowę sztuki, upatrywać można jakby sprawdzenie własnych słów autora w przedmowie mimochodem rzuconych o sobie samym, że ile tylko razy przyjdzie mu zetknąć się z rzeczywistymi rzeczami, to opadają mu skrzydła. Wcielenie genialnego pomysłu, środkami artystycznéj techniki,

w materyą zdarzeń i zawikłań pomiędzy ludźmi — to należy w zawodzie poety niewątpliwie do rzeczywistych rzeczy. To też w ustępach, w których się powyższego pomysłu szczegółowe przeprowadzenie zawiera, okazuje zdaniem mojém dramat niniejszy najsłabsze swoje strony.

Pierwsze skazanie na śmierć Derwida już samo przez się jest zgoła nieodpowiednie warunkom środków scenicznych. Zawieszają starca na drzewie, za siwe jego włosy, nie zbyt wysoko po nad poziom, lecz tak iż stopami ziemi nie tyka. W téj postawie ma pozostać tak długo, dopóki albo nie umrze, albo przez córkę — bezbronną i bezsilną — nie zostanie wybawiony od śmierci... Autor sam czuł niepraktyczność artystyczną tego pomysłu, i przeto usunął widok ten, nawet samym oczom niemiły, po za kulisy, a na scenie daje widzieć tylko cień wiszącego Derwida. Niewiele to jednak rzeczy pomaga! Nie dość na tém. Przychodzi do ocalenia starca z téj napowietrznéj pozycyi w taki sposób, że jeden z synów jego zmuszony zostaje, wielce problematycznym, bo o sto kroków wymierzonym rzutem ostrego topora, przeciąć tę krótką smugę włosów w odstępie właśnie między głową a gałęzią, na któréj Derwid wisi. Myśl tę poddaje sama Lilla Weneda. Rzut się wprawdzie udaje, ale jakaż to scena okropna!... Otóż właśnie okoliczność, że rozpaczliwa ta próba była przez Lillę samą poddana, odbiera rzeczy znaczenie, jakieby miała, gdyby to był wymysł pochodzący ze strony udręczycieli. A reminiscencye, zawsze w razach podobnych niekorzystne, które

się tu każdemu czytającemu mimowolnie nasuwają, reminiscencye mówię z historyi Tella, i skądinąd zbyt znanéj i spożytkowanéj już nawet i w zakresie poezyi (Schiller) — psują do reszty wartość całego tego ustępu.

Drugi zamach na życie Derwida, udaremniony przez jego córkę (osnowa aktu trzeciego), wikle się w jeszcze gorszych niewłaściwościach. Na rozkaz Gwinony zostaje starzec wrzucony na spód jakiéjś zapadłéj wieży, zapełnionéj jadowitymi wężami. Ma on tam przez nie zostać pożarty. Lilla dowiedziawszy się o tém, porywa za harfę cudowną ojca swego i biegnie do owéj wieży. Równocześnie przysyła też i Matka Boska Gwalberta świętego na ratunek ojca i córki.

„Idź, bo stary Derwid kona!
Córka jego, mój gołąbek,
Z bolu umiera!...“

Te słowa usłyszał Gwalbert od objawiającéj mu się Bogarodzicy i pospiesza więc Derwidowi na pomoc. Po drodze wyprawia prawdziwie pocieszne a niepotrzebne zupełnie sceny, które go tylko kompromitują. Nie dziw też, że przybywa po czasie. Pomimo tego Derwid jednakże zostaje ocalony! Lilla grając na harfie, wywabiła węże z głębi wieży na wierzch do siebie, tak iż stanęły w krąg koło niéj wyprostowane, „jak morska fala wzdęte nad dziewczyną“. A ojciec jéj na spodzie wieży, nietknięty, mógł sobie zasnąć spokojnie.

Otóż nie wiedzieć, jak sobie cały ten ustęp tłómaczyć. Jeżeli wybawienie Derwida było dziełem

harfy cudownéj: to na cóż to całe, tak wiele słów kosztujące, a tak niezdarne współdziałanie w tém przedsięwzięciu i Gwalberta świętego? Jeżeli zaś łaską Bogarodzicy rzecz dokonana: to jakież wtedy znaczenie harfy? I czemużto w takim razie nie przychodzi do rzeczywistego uwolnienia starego króla Wenedów? Wrzucają go bowiem zaraz potém do innéj wieży, i to wraz z świętym Gwalbertem (!) gdzie obaj głodem zamorzeni być mają... Bądź jak bądź, czy przyjmiemy jedno, czy drugie: zawsze to wyratowanie Derwida okazuje się być aktem cudu jakiegoś. A dramat cudów, zwłaszcza takich, nie znosi. Ustępowi temu braknie tedy na wszelkich warunkach prawdopodobieństwa. Jest to jakby obrazek ładnie ukoloryzowany, ale bez żadnéj poprawności rysunku. —

Podobnie nie wytrzymuje krytyki i trzecie wybawienie od śmierci (w akcie czwartym). Gwinona powzięła zamiar zamorzyć tedy więźnia swojego głodem. Dwa dni już upłynęły, i nie wziął Derwid żadnego do ust pokarmu. Przychodzi przed Gwinonę Lilla, z wieńcem białych wodnych lilii na głowie, cała w łzach się rozpływając, pokorna — i otrzymuje pozwolenie widzenia się z ojcem przed tą śmiercią, teraz już nieuchronną. Idzie do więzienia i — nakarmia Derwida owymi liliami, w które była ubrana. Lilie te bowiem można spożywać i służą one za pokarm ludowi téj okolicy, na czém się nie spostrzegła Gwinona. Owoż wygrany więc i ten trzeci zakład z Lechitką! Podstęp przyodziany w pokorę zwyciężył nad okrucieństwem. — Przeprowadzenie tego ustępu w dra-

macie należy do najpiękniejszych części... jeżeliby chodziło o przecudne wiersze i o niezrównane w rzewności swojéj wyrazy (naprzykład cała początkowa scena aktu czwartego). Jeżeli jednak chodzi i o coś więcéj, jak o wyrazy i wiersze: to powiedzieć trzeba, że to pozór, że to złuda wybawienia od śmierci, ale nie wybawienie istotne. Lilla tu tylko spłatała figla, sztuczkę, ale nic więcéj. Człowieka, skazanego na zamorzenie głodem, nakarmić raz: to jeszcze nie jest zabezpieczenie go od śmierci z braku pokarmu! Gdyby Gwinona potrzymać chciała trochę dłużéj Derwida w owéj ciemnicy podziemnéj: coby jemu pomogły owe lilie na raz jeden spożyte?

Do tego tym razem jednakże na szczęście nie przychodzi. Zaszło zdarzenie tymczasem, które okrutną Gwinonę nastraja trochę łagodniéj dla tych jéj ofiar. Syn jéj Lechon został przez Wenedów schwytany i jest trzymany w niewoli. Ażeby go wybawić od śmierci, która mu tam zagraża, i wydobyć na wolność: Gwinona przyznaje Lilli i to więc trzecie zwycięstwo, jako szczęśliwie dokonane, w skutek czego Derwid będzie tedy wypuszczony z jéj mocy. Ale ażeby się zapewnić co do powrotu swego syna, stawia Gwinona teraz nowy warunek: albo Lilla, albo harfa Derwida pozostanie jeszcze w jéj rękach — dopóki Lechon żywy i cały nie powróci do domu... Wielkiéj piękności jest ustęp ten dramatu, gdzie się Derwid waha, kogo zostawić Gwinonie: córkę czy harfę? Od téj harfy zawisło ocalenie jego królestwa! Nie wybrać jéj, nie przenieść jéj nad córkę: to tosamo, co zgodzić się

na zagładę narodu. A przenieść harfę nad córkę? cóż się stanie w takim razie z najmilszém jego dziecięciem? Znane mu przecież okrutne téj Skandynawki instynkta! Prześliczne jest miejsce, gdzie się i w sercu Lilli odbywa walka — między życzeniem, ażeby ojciec wybrał harfę, a obawą że usłyszy, iż jest więc przecież coś na ziemi, co mu droższe nad Lillę! —

Na żądanie Lilli saméj, rzecz się kończy na tém, że onato pozostanie w rękach Gwinony! Odprowadzi tylko ojca do domu, a potém dobrowolnie odda się sama w jéj ręce — za harfę. Jeżeli wróci z Lechonem: to i harfa i córka zostanie zwrócona Derwidowi. Jeżeli wróci bez Lechona: natenczas — natenczas harfa wróci wprawdzie do rąk króla Wenedów. Ale córka jego podlegnie losowi, jaki jéj zemsta matki zabitego syna naznaczy. Ten układ Gwinona i mąż téjże przyjmują. Derwid wraca do swoich. Wypuszczają na wolność i św. Gwalberta, który (nie wiedzieć właściwie na co) razem z Derwidem był trzymany w więzieniu.

Gdzie się wielkie sprawy ważą między dwiema ostatecznościami, z których żadna w danym razie nie jest przez się niepodobieństwem, tam nieraz drobnostka najmniejszéj wagi szalę przechyla. Zwyczajnie daje ona przewagę stronie, która i bez tego większe miała nadzieje. Bo komu się już nie wiedzie, na tego się i sam przypadek sprzysięga. Taką to drobną małością między czynnikami naszéj tragedyi jest osobistość Ślaza. Chciał w nim poeta, jak w przedmowie nadmienia, wyobrazić „mniejsze mrówki ludzkości, pełne kłamstwa, wy-

biegów, tchórzostwa". Przyczepił rolę jego do głównéj akcyi w sposób nadzwyczaj luźny. Ślaz popełnia w ciągu sztuki różne niedorzeczności, ani szkodliwe, ani też nie pomocne niczyjéj sprawie. Jaki cel tego? trudno odgadnąć. Chodziło chyba o to, ażeby były ustępy pocieszne i humorem owiane między okropnościami — jedno zapewne z następstw studyów Słowackiego nad dramaturgią hiszpańską. Nie powiem, żeby cała ta rola Ślaza była jedną ze stron szczęśliwych Lilli Wenedy. Otóż zaczepia się działanie téj figury do toku właściwego działania — w istotny sposób — w jedynéj tylko scenie. Na nieszczęście przypada to na tę chwilę właśnie stanowczą! Przed powrotem jeszcze Derwida z niewoli, przychodzi w obozie Wenedów do rozstrzygnienia o losie Lechona. Na widok podłéj bojaźni tego młodego Lechity, wzgardliwie i wspaniałomyślnie zarazem postanawia Róża Weneda... darować mu życie i wypuścić na wolność! Wtém przyprowadzają na scenę Ślaza, który właśnie został pojmany jako szpieg lechicki, za jakiego go uważają. Szpiegiem on wprawdzie nie jest; ale jakże tu tego dowieść Wenedom, że on nie sprzyja Lechitom i że tu nie przyszedł na to, żeby szpiegować? Ażeby się wydobyć z trudnego położenia, zaczyna Ślaz rozpowiadać kłamliwe wieści. Opisuje zmyślone przez siebie zamordowanie Derwida i Lilli, jako okropności, na które patrzał. To doniesienie zmienia pierwotne postanowienie co do losu Lechona. Okrucieństwo Lechitów żąda odwetu: więc Lechon ginie! Zaledwie się to stało: przybywają na scenę Derwid i Lilla — po Lechona, żeby w zamian za niego wydobyć

z rąk Gwinony owę harfę, przy któréj graniu zapowiedziały wróżby ostatnie zwycięstwo Wenedów...

Tak więc samym przypadkiem ostatnie nadzieje Lilli w niwecz obrócone zostały. Co zrobiła dotąd, jest niczém! Widzi się zmuszoną wrócić w moc rozjuszonéj Gwinony — po harfę i żeby dotrzymać danego słowa.

Następuje, co musiało w danych okolicznościach nastąpić. Następuje i więcéj jeszcze. Gdzie bój między plemionami o śmierć lub życie, tam wszelkie układy z wrogiem tragicznie się kończyć zwykły dla téj strony, która w nie wierzy. Takato wiara jest w roli Lilli Wenedy, od początku aż do samego końca, jéj winą, jéj obłędem — choć obłędem szlachetnym i wzniosłą winą. To też zostaje za nią ukarana okropnie. Zostaje ukarana nie tylko śmiercią, ale i wiarołomstwem. Gwinona odsyła Derwidowi w cedrowéj skrzyni od harfy — za córkę jego, którą w napadzie mściwości bezlitośnie zamordowała — nie harfę, ale... ciało zamordowanéj!...

Wśród najzaciętszego boju, do którego tymczasem w skutek starań Róży Wenedy przyszło, i który się między Wenedami a Lechem odbywa, jak było przepowiedziano, w nocy, przy bijących piorunach... w chwili gdzie szale zwycięstwa wprawdzie chwieją się jeszcze na obie strony, lecz już zaczynają się chylić coraz widoczniéj na korzyść Lechitów — w chwili spotęgowanych zatém pragnień Wenedów, żeby usłyszeć cudowne przepowiedziane głosy z złotéj harfy królewskiéj: przychodzi do owéj kolosalnéj sceny, w któréj Derwidowi zamiast harfy — ciało jego Lilli podają.

Nic okropniejszego, nic poetycznie prawdziwszego nad owę scenę! Jest to rzeczywiście pieśń, zdolna i kamienie do zemsty i do życia poruszyć, którą tu gra rozpacz konającego ojca, kładącego ręce swoje na martwém ciele, na złotych włoskach, na zgasłych różach ust tak niewinnie zamordowanego swego dziecięcia! Takąto pieśń przepowiedziały więc wróżby, jako ostatnie tony, które wydobędzie z cedrowéj skrzyni ręka starca ociemniałego. Jeżeli czém, to też właśnie tą pieśnią mogliby najdzielniéj wskrzesić ducha swego Wenedzi do zwycięstwa, gdyby... gdyby były jeszcze w ich sercu jakie iskry życia i ducha.

Ale życie duchowe plemienia tego należy już do przeszłości, która niepowrotnie minęła. To też widok ów, zamiast zgalwanizować nawet trupi organizm, zabija w Wenedach otuchę do reszty. Ustami zaprzysięgają zemstę, ale schylają karki swoje pod miecze, „które ich rąbią, jak trzodę". Widzenie Róży Wenedy, oglądane dniem wprzódy, iści się całkowicie. Cała ludność wytępiona. Jutrzejsze słońce wznijdzie już nad mogiłą narodu. Młody wódz, ostatni z plemienia, staje na stosie i znajduje dobrowolnie koniec w płomieniach. Pozostaje przy życiu sama tylko Róża, wróżka — jakby uosobienie światodziejowéj Nemezy, cierpliwie a jednak tęsknie wyczekującéj odwetu — od czasów co przyjdą kiedyś.

„Kto konając we mnie uwierzy,
Skona spokojny.
Ja go zemszczę lepiéj od ognia i wojny,
Lepiéj niż sto tysięcy wroga,
Lepiéj od Boga!"

Jak tę zapowiedź przyszłości zamierzał autor rozwieść i uiścić w dalszych dramatach? to bezpośrednio nie jest wiadomém. Pośrednią jednakże odpowiedź na to daje Król-Duch.

— Zdaje mi się, że w powyższém dotknąłem już prawie wszystkich szczegółów, mających istotne znaczenie w składzie tego dramatu. Na zakończenie niech mi będzie wolno dołączyć tu tylko jeszcze jednę ogólną uwagę. Niewątpliwie należy Lilla Weneda do tych utworów Słowackiego, których założenie, idea, dążność, słowem cała idealna czyli wewnętrzna strona kreacyi sprawia w myślącym czytelniku imponujące wrażenie i wytrzymuje porównanie z każdém dziełem pierwszego rzędu. Jeżeli pomimo tego nie śmiałby z nas żaden pewnie zaliczać tragedyi téj do skończonych arcydzieł: to przyczyna tego w stanowisku poety i w całym sposobie jego poetyckiéj praktyki. I w Lilli Wenedzie widzimy się aż zbyt często w tém położeniu, że godząc się na pomysł, nie przystajemy na jego wcielenie; że przyklaskując intencyi (którą właściwie tylko odgadujemy), utyskujem albo nad niedość plastyczném téjże intencyi przeprowadzeniem, albo nad jednostronném i zbyt jakoś wyłączném wypowiedzeniem takowéj. Juliusz pomysły swoje pojmował tylko uczuciem, imaginacyą. Jego logika — nie była to rozumowa, reflexyjna, więc prawdziwa logika. Stądto u niego zawsze między ideałem a cielesném wyrażeniem tegoż ideału — przestrzeń ogromna. Pozostaje we wszystkiém coś niedomówionego. Domysłowi czytelnika

otwarte wszędzie pole szerokie, granice tego pola niedojrzane okiem cielesném. Stądto w płodach jego zawsze jakaś irracyonalność, dla któréj trudno je przekładać że tak powiem z języka poezyi na język rozumu, na język zwyczajnéj w ścisłym sensie logiki.

Stanowisko, które tu określamy, jest to skutek doprowadzonéj do ostatnich swoich kresów zasady romantyzmu, którego typem najwybitniejszym był w poezyi naszéj właśnie Słowacki.

Tak naprzykład żadną miarą nazwać nie można dość plastycznie przeprowadzonym pomysłu owych harf w rękach Wenedów, które im daje poeta jako ich tradycyjną, plemienną własność, na zasadzie wzmianek o tém w bizantyńskich kronikach. Wnikamy w jego intencyą — pojmujemy z niéj wiele: ale nie dociekamy wszystkiego, gdyż się rzecz w niektórych scenach gubi w głębinach symboliki — zamkniętéj siedmioma pieczęciami! Poeta ma tu na oku raz stósunki tamtoczesne, to znowu dzisiejsze stósunki nasze. Przywięzuje do harf to znaczenie poezyi jako najwyższéj potęgi w narodzie: to znowu myśl, że to broń mdła i bezsilna przeciw ostrzu i przeciw wadze żelaza! I tu jest prawda, i tam jest prawda: — ale jakże te dwie prawdy związać z sobą? Związaćby je można, ale tego nie uczynił poeta.

Przykład jednostronnego i wyłącznego, a zatém ostatecznie fałszywego wcielenia myśli w sobie może prawdziwéj mamy w całéj roli owego typu chrześcijańskiéj idei, jaką w téj sztuce jest Gwalbert święty. Rola to dziwnie niejasna!

W przedmowie czytamy: — „Oto jest stary i święty człowiek, który przyszedł łzawe Chrystusa oliwy zaszczepiać na płonkach sosnowych... Lecz o biada! o losy! — Słowo świętego starca miecz Rolandowy wyprzedził, i jeszcze jeden lud kona z wiarą okropną rozpaczy w przyszłość i zemstę.“ — Gdyby to założenie przeprowadzone było przez dramat w taki sposób, iżby każdy krok działania Gwalbertowego takie właśnie w widzach wywoływał wyobrażenia: byłaby to jedna więcéj z niepospolitych zalet niniejszego utworu. Ale czy istotnie jest tak oddana Gwalberta rola w Lilli Wenedzie? Zdaje się raczéj, jakby tu było autorowi chodziło o odsłonienie wszędzie niemocy religii w obec prądu rzeczy dziejowych. Toczą się one swoim torem. Krew się leje — zbrodnie i okrucieństwa mnożą się bez końca — niewinne ofiary padają pod brzemieniem swych cierpień. A interwencya religijnéj idei przybywa zawsze tak nie w porę, tak bezsilnie, tak na drobiazgi tylko wpływając, a nie dotykając rzeczy ważniejszych — że to na śmieszność zakrawa! Rzeczywiście też święty Gwalbert — mimo jasnéj aureoli, która jakby był z obrazka zdjęty otacza jego głowę promieńmi — odgrywa w dziele tém rolę głównéj figury komicznéj. (Ślazowi bowiem ani tego zaszczytu przyznać nie można). Jakież to suche i nieserdeczne u niego pojmowanie cierpień ziemskich ze stanowiska wiary! Jakaż obojętność na mord publiczny narodu, byle tylko religia nie wyszła przy tém bez jakiego takiego zysku!... Czy zaś ta poziomość osobistości świętego Gwalberta spada tylko na niego, czy na samą ideę, którą on wyobraża?

— z tego się autor bynajmniéj nie spowiada. Chcielibyśmy chętnie wierzyć, że tu chodzi tylko o skreślenie nieudolności osoby! Czy temu jednak możemy wierzyć, patrząc jak rzecz jest w dziele przeprowadzona?...

ROZDZIAŁ SZESNASTY.

Druga połowa roku 1842 i następne lata aż do 1847. — Wystąpienie Towiańskiego w Paryżu — ogólny sąd o duchu jego doktryny. Mickiewicz uznaje w Towiańskim posłannika bożego. Zawiązanie się Koła jego zwolenników. — Stósunek pierwotny Słowackiego do Towiańszczyzny — zdanie o niéj autora Przedświtu. — W roku 1842 Słowacki przystępuje do Koła — jego korespondencya z matką i z Krasińskim. Zerwanie się między nimi przyjacielskich stósunków. — Stanowisko Słowackiego późniejsze między Towiańszczykami — waśni i utworzenie sobie osobnego Kółka.

Nim przystąpię do osoby naszego poety i stósunków jego w ciągu roku 1842: zmuszony jestem w tym rozdziale dotknąć nasamprzód pewnéj ubocznéj okoliczności, która w czasach owych ważną odgrywała rolę w wychodztwie polskiém, o ile takowe gromadziło się w Paryżu. Sprawa ta zrazu poety naszego nie dotyczyła wcale; miała jednak niebawem zwrócić i jego umysł ku sobie, a następnie zadecydować głównie o kierunku dalszego jego życia i działania aż do samego końca.

Mówię o rzeczy niemiłéj, bolesnéj, upokarzającéj — o Towiańszczyźnie.

W siedm miesięcy po objęciu katedry słowiańskiéj przez Mickiewicza, w miesiącu lipcu 1841 r., stawił się przed nim człowiek aż dotąd nikomu prawie w emigracyi nieznany i oświadczył mu, że przybywa z polecenia bożego z kraju i ma do niego posłannictwo. Oznajmił mu, że się właśnie oto poczyna nowa era ludzkości; że nadeszły czasy nowéj Ewangelii, dni zmiłowania i litości bożéj — przedewszystkiém nad nami, a pośrednio, przez nas, i nad resztą narodów...

Mickiewicz Towiańskiemu uwierzył... uznał w nim proroka, jeśli nie zbawiciela. Od tej chwili można było uważać doktrynę i sektę Towianizmu za zawiązaną.

Nie mam zamiaru opowiadać tu w wyczerpujący sposób o wszystkich zdarzeniach, tworzących że tak powiem, zewnętrzne dzieje tego smutnego w życiu wychodźców naszych ustępu. Moją rzeczą jest tu tylko rzucić kilka ogólnych spostrzeżeń o znaczeniu i o naturze Towianizmu, o ile się takowy odbił na obliczu ówczesnéj naszéj literatury emigracyjnéj. Nie mam wprawdzie bynajmniéj uroszczenia do nieomylności w sądach moich o Towiańskim i jego apostolskich robotach. Wiem, że jeżeli w czém, to w téj rzeczy bardzo mylić się mogę. Patrzę bowiem na tę sprawę z oddalenia i co do miejsca i czasu; patrzę na nią może i przez szkła sztuczne, które przeistaczają rzeczywistą barwę przedmiotu. Rozumiem przez to te wszystkie różnych osób broszury, z których, na ich wiarę, czerpać muszę o tém wiadomość.

Lecz z drugiéj strony mam też tę znowu korzyść po sobie, że nie tylko znam materyały przeciw Towiańszczyźnie, ale i niektóre za nią świadczące, a przynajmniéj z niéj saméj wyszłe. Takimi są właśnie pisma Juliusza Słowackiego, pochodzące z téj doby jego życia, pisma nader rozmaitéj treści i formy, nieogłoszone nawet w pośmiertném wydaniu, a już z powodu saméj swojéj objętości żadną miarą nieobojętne. Mogę tedy porównywając jedne źródła z drugimi, starać się jeżeli nie o co więcéj, to o równowagę, o sprawiedliwość pośrednią. I zdaje mi się, że jestem co do tego punktu w każdym razie dalekim od uprzedzeń stronniczych.

Powiedzmy coś przedewszystkiém o osobie samegoż sekty założyciela. Jedni, t. j. zwolennicy jego, uważają go za posłańca bożego, za męża nie tylko działającego w najlepszéj wierze, ale i będącego w rzeczywistém posiadaniu objawień udzielanych jemu w nadprzyrodzony sposób od Boga. Drudzy znowu go okrzyknęli za oszusta albo w najlepszym razie za marzyciela na umyśle obłąkanego. — Po któréjże tedy stronie jest prawda?

Mnie się zdaje, że właściwie po żadnéj. Obłąkanego w zwyczajny sposób umysłu nie był bynajmniéj Towiański! Przeciwnie — mądry, przebiegły, wyrachowany to człowiek! Z drugiéj strony nie wątpię też i o tém, że co czynił, czynił z przekonania. To go jednak żadną miarą nie oczyszcza od ciężkich przewinień, jakich się — dodaję śmiało: z świadomością względem narodu swego dopuścił.

Bywają czasem pomiędzy ludźmi natury, w których szczera wiara i najobłudniejszy podstęp dzi-

wnie się łączą ze sobą ku wzajemnéj pomocy. Wyraz łaciński: pia fraus wybornie tę szczególną dwustronność serca ludzkiego wyraża. Człowiek taki chce dobrego i rzeczywiście wierzy najmocniéj w to wszystko, co rozgłasza. Ale ażeby jeszcze bardziéj poprzéć sprawę, na korzyść któréj wystąpił, ucieka się do sztuczek, i zmyślonymi, świadomie urojonymi szczegółami rzecz uzasadnia. Zdaje mu się, że działać tak... nie jest rzeczą niepoczciwą: bo wszakże to (wedle jego mniemania) chodzi o prawdy takie, które muszą odnieść zwycięstwo, które się pod każdym warunkiem powinny stać artykułem wiary powszechnéj.

Wyznaję wprawdzie, że co do mojéj osoby, nawet możności wewnętrznéj tego rodzaju wiary ja nie pojmuję. Bo gdzie wiara prawdziwa, tam też — zdaje mi się, byćby powinna i nieograniczona ufność w siłę i tryumf téj prawdy, którą się głosi. Na cóż jéj jeszcze pomoce sztuczne, na podstępnych sposobikach oparte? Prawda boża kłamstwa ludzkiego na sprzymierzeńca nie potrzebuje, ażeby się stać czynem i ciałem. Z tém wszystkiém tak doświadczenie jak dzieje niezaprzeczenie tego jednak dowodzą, że w każdéj religii i w wieku każdym zdarzały i zdarzają się takowe nadzwyczajne zjawiska w świecie psychicznym. Mahomet naprzykład był jednym z takich fanatyków kalkulujących. Możnaby i dzisiaj niejednego między nami doszukać się takiego, gdyby się tylko dobrze obejrzéć. Owoż i Andrzej Towiański zdaniem mojém był z tego rodzaju ludzi.

Głównym punktem wyjścia w genezie duchowego jego rozwoju było usposobienie jakieś mi-

styczne, połączone z wielką pochopnością do marzycielstwa. Młodym jeszcze będąc, jak powiadają, bliskim był zupełnéj utraty wzroku. Odgrodzony przez czas kalectwa od wrażeń i zetknień z zewnętrznym światem, zamknięty w wnętrzu własnego tylko jestestwa, a przytém przyciśnięty świadomością, że jest ciężkiém zagrożony nieszczęściem, znalazł on w tym wyjątkowym stanie aż nadto sposobności do rozwinięcia w sobie tych skłonności do jakiéjś extatycznéj zadumy, które snać już mu były wrodzone. Późniéj wyzdrowiał. Ale excentryczność i wiara w przeróżne przywidzenia chorobliwéj wyobraźni, które on nazywał wizyami i seryo za takowe uważał, już się u niego przemieniła w drugą naturę. I powiększała się z laty do tego stopnia, że go w kraju, na Litwie, wielu podobno uważało za człowieka o pomieszanych zmysłach. Nawet podobno z tego powodu miał on czas jakiś przebyć w szpitalu jakimś. Obłąkanie jego nie szkodziło wszakże nikomu, to go też niebawem wypuszczono na wolność i nie ograniczano jéj w niczém. Zresztą potoczne życie szczególnego tego człowieka niczém się nie różniło od innych. Urzędował sobie, jak drudzy; był regentem przy jakimś sądzie powiatowym na Litwie; późniéj gospodarzył na wsi, we własnéj majętności; ożenił się, miał dzieci kilkoro: słowem — był to co do swego zachowania się zewnętrznego, co się zowie „porządny, praktyczny człowiek i obywatel“. Od udziału w wypadkach roku 1831 trzymał się z dala i nie miał zwyczaju mieszania się do żadnéj polityki. Jak się wyrażał, miał on ostrzeżenie z góry, od Matki Boskiéj, że

się te roboty niedobrze skończą. To też nie tylko sam nie należał do niczego, ale i innych starał się powstrzymywać. A jako nie przesadzał więc w zapędach patryotycznych, tak też wolnym był od zbytecznéj żarliwości i w rzeczach religijnych. W téj mierze obojętność jego dochodziła nawet do tego stopnia, że przez cały ciąg lat 20 przed przybyciem swém do Paryża, zupełnie podobno zaniedbywał spowiedzi.

Pomimo tego wszystkiego, człowiek ten przez całe życie miał jednak ciągle do czynienia z cudami i widzeniami, a odbierał objawienia, które, jak rozumiał, przychodziły mu z nieba. Myśl jego cała zajęta była religią; ale nie w taki sposób, ażeby ją wykonywać, lecz ażeby ją poprawić. W tym przedmiocie — w kraju jeszcze będąc, pracował on i rozmyślał bezprzestannie. Czytać musiał bardzo wiele, najrozmaitszych książek, a mianowicie mistycznych. X. Semeneńko widzi w doktrynie jego wyraźne ślady studyów nad magią i nawet nad kabałą żydowską. Wiele także się podobno zajmował i magnetyzmem. Godzi się wnosić, że przyswoił on sobie znajomość i wypadków główniejszych w zakresie niektórych istotnych umiejętności w ich nowoczesnym rozwoju; choć z drugiéj strony widać i to jak na dłoni, że nie jego to pole! Rozumowa i naukowa strona w rozwinięciu Towiańskiego musiała w ogóle być nad wszelkie wyobrażenia zaniedbaną. Podstawy i zdolności naukowéj u niego nie ma. Pojąć coś jasno, wyrazić z precyzyą, w trafnych i naturalnych wyrazach — to nie jego rzecz! Słyszał więc o niejedném, co badania umiejętne w ostatnich czasach

wykryły, otarł się o jakieś wypadki nauk; ale snać przyszedł do nich dorywczo i pojął je bałamutnie. Ani zatém nie rozumiał dróg, którymi się w sposób należyty do twierdzeń takich przychodzi, ani też jasno istoty ich nie przenikał. Wiedział jednak, że dzwonili, chociaż nie wiedział, w którym kościele...

Pod wpływem takich tedy okoliczności usnuł sobie Towiański, na Litwie jeszcze, rodzaj nowéj religii. Nie podejmuję się, jak to wyżéj już powiedziałem, odtworzyć wizerunku tego nowego systematu dogmatów. Powiem tylko, że charakterystycznêm doktryny Towiańskiego znamieniem zdaje się być w ogóle dążność stworzenia czegoś, coby stanęło niejako w pośrodku między tą nauką, jaką daje kościół, a stanowiskiem nowoczesnych rezultatów, a raczéj kierunków umiejętności, które pod niejednym względem odstępują od rzeczy w kościele za pewniki uznanych. Chodziło mu tedy o zapełnienie tego że tak powiem rozstępu pomiędzy wiarą a wiedzą dzisiejszą, do jakiego pod tym i owym względem w postępie wieków przyszło. Zamierzył zaś tego dokonać łatanym, eklektycznym sposobem. Co mu się podobało z wypadków wiedzy, to brał za pewnik i podnosił do wysokości dogmatu. Resztę zaś nauki odrzucał z pogardą „jako mądrość świata tego“, jako wymysły „ziemi“ i dumy ludzkiéj. W takiż sam sposób przebierał i pomiędzy artykułami objawienia chrześcijańskiego. Jedne z nich przyjmował, jak są; drugie wykładał po swojemu i tylko je pod tym zatrzymywał warunkiem; a trzecie — milcząc mądrze i skromnie — usuwał na bok, jakby ich wcale nie było. W taki

więc sposób powstało coś, co niby godziło z sobą te dwa odrębne światy pojęć i wyobrażeń duchowych, co miało zastąpić i wiarę i wiedzę, i religią i mądrość świecką; co miało zbliżyć do siebie tak prostaczki jak mistrze świata tego i stawić ich wszystkich jako zastęp kierowany jedném poczuciem, jedną ideą, jednym popędem — zastęp, przed którym niczém są wszelkie potęgi ziemskie — niezwyciężony, bo milionogłowy, a jeden...

Jeżeli z jednéj strony, oceniając dążność tego pomysłu, nie można mu nie przyznać pewnego sensu a nawet godziwego celu: — to z drugiéj dziwić się tylko należy nad sposobami, którymi spodziewał się Towiański dokonać swego zamiaru. Bo i cóż to było takiego, co on ludziom w zamian przynosił za to wszystko, co im odbierał?

Spytajmy naprzód: byłaż to wiedza, a raczéj, byłże to owoc wiedzy? Byłaż to rzecz, któraby ludziom zastąpiła ich wyrozumowane pewniki? — Bynajmniéj! Doktryna jego zbyt była skażona marzycielstwem, żeby obóz, wyłącznie kierujący się myślą, był go mógł przyjąć za swego. W jego mętném pojmowaniu wszystkiego, o czém bądź prawić zaczynał, a bardziéj jeszcze w jego arcyniezgrabném tłómaczeniu swoich urojeń — obóz ten widział jedynie nieudolność nieuka i jako takiego też go traktował.

A w tym samym znowu stopniu zastęp wiary, hierarchia, kościół — nie mógł nic innego w nim widzieć, jak chyba tylko sekciarza. Wprawdzie Towiański sam dawał się zawsze za najwierniejszego syna kościoła. Nie przyznawał się do śmierci, żeby w czém zbaczał od tradycyjnéj nauki chrze-

ścijańskiéj. Z tém wszystkiém daremne i tylko wybiegliwe były to zapewnienia! Wątpię, żeby on sam wierzył temu — bez przenośni i bez tak zwanéj restrykcyi mentalnéj. Księża Zmartwychwstańcy dowiedli mu jak na dłoni, że dogmata jego nie są dogmatami kościoła. Nauka Towiańskiego potępiona też została przez stolicę apostolską, jako herezya.

Założyciel nowéj religii nie uznawał wprawdzie tego potępienia i na przekorę temu wszystkiemu, co się stało od czasu jego wystąpienia, ciągle się widział w jedności z kościołem. Pochodzi to stąd jednakże jedynie, że uważał się względem chrześcijaństwa, jak takowe jest reprezentowaném przez kościół, w takim stósunku, w jakim się miał Chrystus do starego zakonu. Chrystus nie na to przyszedł, ażeby dawny zakon obalić, lecz ażeby go dopełnić i wytłómaczyć. Podobnie i Towiański żył w przekonaniu, a raczéj urojeniu, że dopełnia i wykłada tylko dawną naukę kościoła, że ją w swoję doktrynę wciela i podnosi, nie zaś obala ani jéj przeczy. Stąd też to zatrzymuje sekta jego wszystkie katolickie symbole, wyrażenia, godła, obrzędy i praktyki; ale im prawie zawsze poddaje nowe znaczenie i wyciska na nich piętna taką pieczęcią, która nie ma żadnéj wspólności z katolickim kościołem.

Rozważmy wreszcie, w imię czego czynił to wszystko Towiański? — Na mocy objawienia i posłannictwa, danego sobie z góry. Że zaś chodziło tu o nie mniéj ani więcéj, jak o przeistoczenie tego porządku rzeczy w religii, któréj założycielem był Chrystus: więc się Towiański stawiał w roli

nowego zbawiciela i mesyasza, choć nie miał odwagi nazwać się nim wręcz i otwarcie.

To powiedziawszy o samym Towiańskim i o duchu jego doktryny, spojrzmy teraz na okoliczności, pośród jakich takowa wprowadzona została w życie.

Wystąpienie Towiańskiego jako proroka niedopiero w Paryżu przyszło do skutku. Jeszcze mieszkając na Litwie zaczął on napomykać o swojém objawieniu i posłannictwie. Tu jednakże nie szczególnie mu się wiodło. Udało mu się wprawdzie znaleść kilku takich, co w niego uwierzyli i zostali jego uczniami. Należeli do liczby takowych malarz Wańkowicz i doktor Gut, szwagier Towiańskiego. Ci mu też i za granicę w religijnych celach jadącemu towarzyszyli, nie chcąc odstępować już mistrza. Z tém wszystkiém grono zwolenników w kraju jeszcze pozyskanych było nadzwyczaj szczupłe. Oprócz dwóch powyżéj wymienionych i chyba rodziny własnéj reformatora, która apostolstwo jego może brała na seryo, nikt więcéj podobno w kraju nie dał się wciągnąć w tę sprawę.

Wypadło zatém próbować szczęścia w innych prowincyach, a w najgorszym razie na emigracyi. Jakoż wyjechał Towiański z domu podobno około roku 1837 i najpiérw się pojawił w Poznaniu. Było tu staraniem jego pozyskać dla sprawy swojéj przedewszystkiém... głowę całéj hierarchii w Księstwie, arcybiskupa Dunina. Lecz arcybiskup po niewielu już konferencyach przeniknął człowieka jako marzyciela, a w każdym razie katolika wątpliwéj prawowierności i wzbronił mu dal-

szego przystępu do siebie. Trzeba więc było szukać sobie gdzieindziéj takiéj powagi, pod któréjby skrzydłami dały się krzewić z pomyślnością plany ukartowane. Za taką wybrał sobie teraz Towiański generała Skrzyneckiego w Bruxelli. Pojechał do niego, zawiązał z nim stósunki, i zrazu była wszelka nadzieja dobrego powodzenia, sprawił bowiem pewne wrażenie na generale, kiedy się przed nim opowiedział wysłańcem bożym do niego! Dla Skrzyneckiego to też napisana była owa „Biesiada“, w któréj rzucił Towiański ogólny zarys swoich pojęć religijnych, kładąc przez to niejako pierwsze podwaliny do dzieła. W dalszych stósunkach jednakże nabożny i ściśle po katolicku myślący generał przekonał się o bałamutnéj dążności całéj owéj misyi nieznanego sobie człowieka i zerwał z nim.

Teraz dopiero przyszła kolej na Mickiewicza. Nie powiodło się z głową kościoła, nie powiodło się z wodzem naczelnym: może się powiedzie (pomyślał sobie Towiański) z największym z polskich poetów. Powaga Mickiewicza naówczas stanowiła niejako dyktaturę duchową w całym narodzie. Po zajęciu katedry słowiańskiéj imię jego nabrało nowego blasku — i miało znaczenie nawet we Francyi. Idźmyż zatém do niego! Zyskajmy sobie Mickiewicza, a wszystko nasze...

W roku 1841 w miesiącu lipcu przestąpił po raz pierwszy Towiański progi mieszkania poety. Tym razem próba powiodła się nad wszelkie spodziewanie! —

Zdaje mi się, że kto tylko zastanawiał się nad duchem poezyi Mickiewicza i nad jego życiem

wewnętrznêm, ten się ze mną zgodzi na to, że łączyły się w tym genialnym człowieku jakby dwie zgoła odrębne natury. Zazwyczaj był to mąż głębokiéj myśli, trzeźwo poglądający na rzeczy — organizacya duchowa zdrowa, realna, zdolna zdać sobie świadomą sprawę ze wszystkiego, co tylko czynił. Takim go też widzimy w jego listach, których zbiór zamieszczono w obu ostatnich dzieł jego wydaniach, a oprócz tego też tu i owdzie po pismach peryodycznych. Ale Mickiewicz miewał w różnych chwilach żywota swego tajemnicze jakieś podrywy i zachwyty, które go przenosiły w stan taki, że tracił niejako z oczu wszystko, co jest rzeczywistém, i wzosił się duchem do excentrycznych krain extazy. Wtedy nie w sensie retorycznéj przenośni, lecz literalnie przestawał być poetą, a był wieszczem; z artysty przeistaczał się w narzędzie poezyi, nieświadome tego co czyni. Bywał w razach takich czasem duchem jasnowidzącym, niekiedy... marzycielem, nie biorącym za nic odpowiedzialności na się.

Tak naprzykład Grażyna, Wallenrod, Pan Tadeusz i t. p. — to były dzieła stworzone w normalném usposobieniu. Oda do Młodości, Dziady, a zwłaszcza Dziadów „Część trzecia“ — to owoc natchnienia, wyższego nad świadomość artysty.

Co się Dziadów tyczy, jest dowiedzionêm, przyznaném przez samego poetę, że są tam ustępy, których zupełnego znaczenia on sam nie umiał sobie wyjaśnić.

W podobnie wyjątkowém usposobieniu zostawał Adam od czasu ponownego przybycia swego

do Paryża z Lozanny. Zajęcie katedry rozbudziło w nim życie ducha w najwyższéj sile. Rehabilitacya że się tak wyrażę i apoteoza napoleońskiéj tradycyi i napoleońskiéj idei, dopełniona aktem sprowadzenia ciała cesarza z wyspy św. Heleny, na rozkaz samego króla, i to właśnie w czasie, kiedy Mickiewicz miał zająć nowe to stanowisko, rehabilitacya ta mówię sprawy, która u poety naszego stanowiła zawsze artykuł wiary, nie mało się też przyczyniała do nastrojenia jego ducha na jakieś tony mistyczne.

Miewał on w owym czasie przywidzenia, które uważał za widzenia, za objawienia rzeczy, jakich zdaniem jego nie było dano zwyczajnym ludziom oglądać. Te widma extatycznéj fantazyi tak dalece nabierały w jego oczach znaczenia przedmiotowego bytu, że je poczytywał za kształty, za ciała — nie przez siebie stworzone.

„W miesiącu grudniu (1840), dnia nie pamiętam (tak pisał o sobie sam Mickiewicz w szesnaście miesięcy późniéj do Skrzyneckiego), kiedy oglądałem przygotowania do exekwii za Napoleona, miałem w dzień biały widzenie: widziałem człowieka z głębi kraju jadącego wózkiem jednokonnym, w biedzie, po błocie i mgle; i uczułem że ten człowiek wiezie wielkość! wielkie rzeczy! Nie brałem tego za widzenie prorockie, ale za nadzwyczaj żywy obraz poetycki. Chciałem go opisać, ale postrzegłem niepodobieństwo do prawdy i dałem pokój. Po poznaniu się z Andrzejem, nie prędko dowiedziałem się o szczegółach jego podróży, i uznałem prawdę widzenia“...“ (Z listu z d. 23 marca 1842 r.).

Tesame prądy wstrząsały też Mickiewiczem już w chwili owéj drugiéj improwizacyi na wieczorze Januszkiewicza *).

W ciągu roku 1841 przyczyniło się do utrzymania Mickiewicza pod ciągłym wpływem mistyki zapadnięcie żony jego w stan najopłakańszy ze wszystkich, jakie tylko dotknąć mogą rodzinę, w stan obłąkania umysłu. Wypadła potrzeba wśród zajść najboleśniejszych wysłać ją z Paryża na wieś do jakiegoś zakładu chorych — z małą nadzieją, żeby było rzeczą podobną uchylić to nieszczęście w zupełności i na zawsze.

Człowiek przywalony nieszczęściem skłonny jest zawsze wierzyć w cudowność, gdzie tylko się

---

*) Z okazyi tego wieczoru tak się wyraził Mickiewicz w tymże liście do Skrzyneckiego, który w całości przytoczono w Przeglądzie Poznańskim 1858 r. Tom XXV, półrocze I, zeszyt 2.

„W roku przeszłym kilkudziesiąt Polaków dawało mi ucztę. Czułem się w wielkiém podniesieniu ducha i powiedziałem im, „że wszyscy są na złych drogach, że ich rozumowania i zabiegi nigdzie nie doprowadzą; że jeśli Bóg zlituje się nad nami, to przyśle człowieka, który będzie dla nas prawem żywém, którego słowa, czyny i gesta będą artykułami"... Nie pamiętam, pisze daléj Mickiewicz, słów poezyi (improwizacyi), ale ta była ich treść; zaklinałem, żeby ją pamiętali. Wielu już zapomniało. Kiedy Z. (Zan?) Stefan przyszedł nazajutrz do mnie, powiedziałem ze smutkiem głębokim, że gdyby mi wówczas nie przerwano, wielką bym rzecz oznajmił. Ale już nie byłem nazajutrz w stanie podnieść się do téj wysokości. Przerwano mi wówczas; jedni protestowali w imię rozumu, drudzy myśleli, że mówiłem o X. Czartoryskim, kiedy wołałem, że tylko z takiego męża przeznaczenia mogą wyjść kapłani, królowie i hetmani"...

z nią spotyka; a jeżeli kto, to Mickiewicz był prawdziwie nieszczęśliwy w tym czasie. Owoż takito zbieg przypadkowych a dziwnych okoliczności mieć tu należy na względzie, ażeby pojąć, że taki człowiek jak Towiański, był zdolny wywrzéć wpływ na Mickiewiczu i podbić ducha jego pod panowanie swoje. Zresztą były prócz tego wszystkiego i inne jeszcze przyczyny, dla których łatwo było Towiańskiemu wkraść się w zaufanie poety. Albowiem zdaje mi się, że nic prawdziwszego, jak co powiedział Krasiński o stósunku dwóch tych ludzi pomiędzy sobą: — „Pan Adam — to olbrzym, Pan Jędrzéj — to magnetyzer, co obudził olbrzyma. To zrobił, co robią kobiety, gdy iskrę śpiącą w łonie męszczyzny zapalają“ (obacz Wyjątki z listów str. 209). — Rzeczywiście! Właściwym twórcą tego, co dziś Towianizmem zowiemy, był to sam raczéj Mickiewicz. Doktryna Towiańskiego — to tylko odbłysk i udogmatyzowanie tego wszystkiego, co w różnych chwilach w kształcie wichrowych pomysłów jak przelotne iskry przechodziło przez głowę porwanemu prądem natchnienia poecie.

Kiedy się naprzykład czyta „Część trzecią Dziadów“, utyka się co kart kilka na miejscach, które mimowolnie przypominają Towianizm. Tasama tu dziwna niechęć przeciwko wiedzy, zdobytéj rzetelną pracą, na korzyść jakichś mistycznych i gotowych skądsiś pewników; tasama wiara przesadna w siły wewnętrzne pojedynczego człowieka; tasama mesyaniczna ufność w wyjątkową wszechwładzę ludzi, z urodzenia przeznaczonych do władztwa nad resztą społeczeństwa; tesame zachcenia

despotycznego zwierzchnictwa w śiewcie duchowym; tosamo wreszcie przeczuwanie człowieka, który nas przyjdzie zbawić — słowem mesyanizm. Nie brak na miejscach podobnych i w Księgach Narodu i Pielgrzymstwa Polskiego. —

Owoż przekonaniem jest mojém, że zagłębianie się w znaczeniu takich urywkowych napomknień w dziełach Mickiewicza, niepoślednią czasu swego odgrywać musiało rolę w genezie pomysłów Towiańskiego. Natchnienia Adama jeżeli nie rzuciły pierwszego zarodu w myśli tego marzyciela, to przyczyniły się w każdym razie do znakomitego posunięcia go na drodze, po któréj szedł. Cały system jego marzeń — było to tedy tylko rozwinięcie i dodać można: spaczone, rozmazane rozwinięcie niektórych wieszczo i mistycznie rzuconych słów Mickiewicza. Pomimo jednak niezręczności w ich powiązaniu, było oczywiście pewne pokrewieństwo wyobrażeń pomiędzy nimi, które wzajemne porozumienie się ułatwiało.

A najwięcéj je ułatwiło nakoniec rozmyślne i obliczone podejście dobréj wiary poety, jakiego się Towiański zaraz na samym wstępie dopuścił. Użył bowiem wszelkich sztuczek, ażeby go już w pierwszéj chwili przekonać, że człowiekiem bożym jest; że to ów przewidywany dawno przezeń zbawca społeczeństwa przyszedł dom jego nawiedzić.

Przedewszystkiém więc powitał go po staropolsku imieniem bożém, tak jak to było przepowiedziano w Dziadach:

„Ty pojedziesz w daleką, nieznajomą drogę,
Będziesz w wielkich, bogatych i rozumnych tłumie,
Szukaj męża, co więcéj niźli oni umie;
Poznasz, bo cię powita pierwszy w imię boże.
Słuchaj, co powie“...

Potém, w dalszéj rozmowie, przeszedł na własną przeszłość poety i wyłożył mu, co w własnych jego dziełach mogło być dla niego niezrozumiałém. Wyrażenie w Dziadach:

„On ślepy, lecz go wiedzie anioł pacholę,“

zastósował do siebie, boć i on w młodości przez czas jakiś był pozbawiony wzroku. „*A imię jego czterdzieści i cztery*“ wytłómaczył w taki sposób, że znaczy to hufiec złożyć się mający z czterdziestu czterech mężów wybranych, który stanie na czele nowéj budowy kościoła i społeczeństwa *). Wiarę Mickiewicza w Napoleonizm zuży-

*) Rzeczywiście zaraz potém uformował się zastęp najwyżéj w hierarchii Towianizmu położonych zwolenników téj sekty w liczbie *czterdziestu czterech*. Kiedy w roku 1842 rząd francuski wydalił Towiańskiego z Paryża, najzaufańsi uczniowie jego podali do ministra rodzaj protestacyi czy też ubolewania swego nad tém rozporządzeniem rządowém, dając świadectwo nieskazitelnym Towiańskiego postępkom przez cały czas bytności jego we Francyi. Akt ten, datowany z dnia 7 sierpnia 1842 roku, podpisany jest przez 43 męszczyzn i 2 kobiety. A zatém, gdyby do tych 43 podpisujących doliczyć jeszcze samego Towiańskiego, który oczywiście musiał należeć także do grona przodujących, jako jego najwyższy zwierzchnik, byłaby żądana liczba 44. Kobiety, jak się samo rozumie, stanowiły osobny poczet i dla tego się tu nie liczą.

tkował w taki sposób, że mu oznajmił, iż wcieleniem nowém ducha Napoleona jest on sam właśnie (Towiański); że zatém posłannictwo jego na tém zależy, ażeby dzieło przez cesarza poczęte prowadzić daléj i ostatecznie wykonać. Nakoniec oświadczył, że nie tylko dana mu jest moc żonę jego uzdrowić, ale i wyjawić mu najskrytsze zajścia z jego życia upłynionego. Jakoż opowiedział Mickiewiczowi takie zdarzenia z jego przeszłości, o których (jak się późniéj sam poeta wyraził do Franciszka Szemiota) nie mógł wiedzieć nikt, chyba tylko Bóg jeden.

Co do téj okoliczności, wyjaśniło się późniéj, po śmierci już poety, że się oto tak rzeczy miały. Mickiewicz razu jednego, w młodości jeszcze, rozgadał się był o tych niewiadomych nikomu zajściach swojego życia w zaufaniu przed Odyńcem. Było to wtedy, kiedy wspólnie podróż odbywali po Niemczech i Włoszech. Następnie Odyniec, do kraju powróciwszy, komuś trzeciemu, czy też może nawet samemu Towiańskiemu, mieszkającemu wtedy jeszcze na Litwie, opowiadał o tém wszystkiém; tak iż nie trzeba było na to żadnego cudu, ażeby to wiedzieć. Mickiewicz w ciągu czasu zapomniał, że kiedyś przed Odyńcem spowiadał się z swoich tajemnic; wziął przeto wiadomość o nich u Towiańskiego za rzecz objawioną jemu sposobem nadprzyrodzonym.

Samo nawet uzdrowienie Mickiewiczowéj, lubo jest jedyném zdarzeniem w całéj téj Towianizmu historyi, mającém rzetelne pozory cudowności, daleko więcéj okazuje ostatecznie w Towiańskim wprawnego psychologa, niż cudotwórcę. Po-

jechali obydwaj, on i Mickiewicz, do choréj; pomimo oporu lekarzy odebrali ją z zakładu i zabrali ze sobą. Przybywszy do Paryża, kazał jéj Towiański w swoim charakterze proroka, jakim był już wtedy znany i przez nią, klęknąć na ziemi, klęczącą zgromił surowo za grzéchy, a potém kazał jéj powstać i iść do spowiedzi. Poszła i — powróciła zupełnie uzdrowiona.

Przyczyny obłąkania były snać tylko psychiczne. Targnąwszy silnie za wyobraźnię, przywrócił jéj jednêm skinieniem szczęśliwie zastósowaném tę równowagę umysłu, któréj jéj zwyczajne leki nie zdołały przywrócić.

Takie to więc były okoliczności, skutkiem których obałamucony został zdrowy sens wielkiego naszego poety do tego stopnia, że w Towiańskiego uwierzył. Znając je, dziwić się już nie można, że mógł pisać w kilka miesięcy potém do Skrzyneckiego:

„Moja wiara w słowa Andrzeja jest skutkiem całego mojego życia, wszystkich moich usposobień i prac duchowych. Ktoby czytał pisma moje, przekonałby się o tém. Nie wspomnę o drobnych, w młodości rzuconych w świat pieśniach (Romantyczność — Oda do Młodości); późniejsze dzieła, a mianowicie Księgi Pielgrzymstwa i Dziadów część III świadczą, żem to, co się dzieje, przeczuwał...

. . . Widzisz także, że uzdrowienie mojéj żony nie było powodem mojéj wiary. Jeszcze żona moja była w domu chorych, a już na słowa Andrzeja, który jéj nie widział był, ogłosiłem krewnym, że będzie zdrową. Wziąłem ją wbrew zdaniu lekarzy, niewzruszony ich zaklęciami, bo zaręczali, że ją trzeba będzie zaraz z użyciem

gwałtu napowrót zamknąć. Wziąłem żonę w zupełném pomieszaniu, w kanikułę, w gorąco i w czasie burzy. Tegoż dnia odzyskała przytomność. Dotąd jest zdrowa i coraz pewniejsza zdrowia na przyszłość. Uzdrowieniu mojéj żony towarzyszyły okoliczności cudowne. Opisywać je byłoby długo. Bogu wiadomo, że prawdę piszę — wracam dziś z rekollekcyi, którą odbyłem u XX. Jezuitów, i po spowiedzi i po przyjęciu P. N. Sakramentu to piszę"... (Z listu z d. 23 marca 1842 r.) *).

Skoro tylko udało się Towiańskiemu mieć Mickiewicza po sobie: dalsze zabiegi nie spotykały już na żadne trudności. Osoba Adama dawała dostateczną rękojmię, że co rozgłaszano, nie było ani oszukaństwem ani szaleństwem. A na skłonności już gotowéj do poddawania się takim wpływom, pomiędzy emigrantami naszymi nie brakowało. W ogóle bowiem wiara jakaś mistyczna we wszystko, co tylko cudowne i tajemnicze, stanowiła jedno z celniejszych znamion społeczeństwa naszego téj generacyi, jak się o tém przekonać można, spojrzawszy na literaturę naszę owego czasu. Było to naturalne następstwo położenia narodowego...

Nie będę kreślił wywodu dalszych przejść, jakie sprawa ta krok za krokiem przebywała. Poprzestanę na wzmiance, że pierwszymi, których na zwolenników zjednano, byli Sobański i poeta Górecki Antoni. Ten jednakże niezadługo zmiarko-

---

*) List ten, i drugi podobny, dano w całości w Przeglądzie Poznańskim, rok 1858, tom XXV, str. 162 i następne.

wawszy, że rzecz nie jest tak prawdziwemu kościołowi i jego nauce wierną, jak się to w pierwszéj chwili zdawało, odczepił się od wszelkiéj spółki z Towiańskim. W ogóle ludzie silniejszéj wiary w duchu ściśle katolickim wyjątkowo chyba przyłączali się do grona, które się zawięzywało. Z téj też przyczyny i Zaleski, choć zagadnięty owym prześlicznym wierszykiem Mickiewicza: „Słowiczku mój" — odpowiedział wprawdzie dumką niby potakującą i ułożoną na tę samę nutę, ale jednak nie dał im się zwerbować na zwolennika. Inni poeci, śmielszéj myśli, niecierpliwsi w wyczekiwaniu lepszéj przyszłości, jak naprzykład Goszczyński, dali się złudzić stanowczym zapowiadaniom bliskich zdarzeń cudownych. Z wojskowych przyłączył się najrychléj i najgorliwiéj do Towiańskiego pułkownik Różycki. Reszta adeptów rekrutowała się najwięcéj pomiędzy Litwinami, ci bowiem i skłonnością swoją do mistycyzmu i stósunkami osobistymi najwięcéj byli zbliżeni do Mickiewicza. W przeciągu roku, od chwili pierwszego pojawienia się Towiańskiego w Paryżu aż do czasu, gdzie go z Francyi policya paryska wydaliła, uformowała się przeto gromadka dość liczna Towiańszczyków, jak ich już odtąd nazywano.

Teraz zwróćmy uwagę naszę na Słowackiego i obaczmy, jaki był jego stósunek do tego wszystkiego, co się wtedy działo wśród emigracyi.

Samotne i nieraz przykrości pełne życie jego w Paryżu, usposobienie z natury melancholijne, tęsknota do kraju, wrodzony pociąg do wszystkiego

co excentryczne — wszystko to mogło z góry wzniecać żywą obawę, żeby się ta zaraza nie czepiła i jego ducha. Szczęśliwym trafem było wszelako coś, co go na czas jakiś zabezpieczało od tego niebezpieczeństwa. Tą prezerwatywą były niesnaski z Mickiewiczem! Sama ta niechęć wystarczała, żeby nie dać Juliuszowi widzieć w złudném świetle roboty, w któréj tamten był ostatecznie głównym czynnikiem. To też przez przeciąg czasu dość długi nie widać w listach jego ani śladu, żeby był miał przywięzywać jakie wyższe znaczenie do tych cudów i proroctw, tyle wtedy sprawiających wrzawy między Towiańszczykami. Przeciwnie, usposobienie jego było wówczas więcéj towarzyskie i światowe, niż kiedykolwiek.

. . . „Ja, co dawniéj lubiłem samotne wieczory (donosił w ciągu pierwszéj połowy roku 1842), teraz już sam wysiedzieć nie mogę. „Nuda mię ogarnia — nie wystarczam sobie wieczorami, jak dawniéj, kiedy w świeczce mojéj paliły się różne nadzieje tęczowe i brylantowe...

. . . „Posłałem Ci moje wizerunki — twarz więc sobie będziesz miała oddaną. Teraz wiédz, że ubieram się zawsze z dosyć wielką elegancyą, jak to sobie kiedyś przyrzekłem za młodu, bojąc się, żeby mię zwykłe memu zajęciu się zaniedbanie nie owładnęło. Otóż więc zawsze biorę dobrego krawca, który mi oszczędza niepotrzebnych wydatków. Najczęściéj chodzę czarno, ale nigdy prawie zupełnie czarno, bo to ma minę księżą. Zawsze tak staram się być ubranym, abym bez przebierania się mógł pójść wszędzie; a nigdy tak, aby wiedziano, żem się wystroił umyślnie. Taka jest moja

polityka co do ubioru. — Nie jestem wcale tłustszy niż byłem; ale jestem zupełnie weselszy. Jakby po walce z ludźmi odbytéj, używam pewnéj spokojności i to mi się w uśmiechu maluje. Muszę Ci także wyznać, że może tracę więcéj, niżby należało. Ale cóż robić?" itd.

W tymże samym prawie czasie musiał Słowacki pisać coś o Towiańskim do Krasińskiego. Listu tego wprawdzie nie mamy; ale z odpowiedzi Krasińskiego, znalezionéj między papierami Juliusza, można sobie zrobić wyobrażenie, o co mniéj więcéj mógł być Zygmunt zapytywany. Odpowiedź rzeczona zasługuje na przytoczenie. Była pisana dnia 27 października 1841 roku z Monachium.

„Drogi Julu! W cuda wierzę zawsze i wszędzie — w cudotwórców prawie nigdy; nie znam zaś próżności próżniejszéj nad tę, która siebie uważa za konduktorkę płynu cudów. Nie pochodziż to nieco z téj urzędo-namiętnostki, tyle zawsze burmistrzującéj w naszych sercach? — W Piśmie — księga proroków następuje po księdze królewskiéj; w dziejach bieżących tosamo się objawiło. W sferze nibyto widoméj wystąpił tytuł, urząd, zaszczyt — nazwa miasto rzeczy — blichtr miasto istoty — słowem królewskość. W sferze niewidoméj, w kościele, w poezyi — awansowano na proroków. Jest to także stopień — dignitas. I znowu tu, jak tam, tytuł wprost rzecz samę skaził. Kształt obrócił się przeciwko treści — wyniknęła komiczność! — Co za wiek, Julu! — co za świat! — co za koléj zgubna, porywająca wszystkich do otchłani — nie Dantejskiéj, ale stokroć głębszéj, bo stokroć dalszéj od zmartwychwstań nieba; chcę mówić — do otchłani

śmieszności! — Za dni moich widziałem dzieci — ponure — dzikie — jeszcze ssące pierś mamki, a już recytujące wiersze byrońskie i piszczące usteczkami pełnymi mleka: „To piołun!“ — Widziałem piętnastoletnie dziewczynki, wołające Boga na usprawiedliwienie się przed nimi, jak Hiob niegdyś — jak Faust późniéj — i szpilkami grożące gwiazdom Widziałem olbrzymów ducha, przez czas jakiś zapełniających serca ludzi imieniem swojém — a potém idących na starość do św. Pelagii i głupstwa, brednie, próżnostki same drukujących! — orłów, co w słońce patrzeli, spadłych w staw i przemienionych na pływające pośród pleśni kaczki. — Widziałem za dni moich, acz nie długich — zbłaźnienie wszystkiego — i zaczyna mi smętno być w duchu. Tém się jedynie pocieszam, żem zda mi się, doszedł ukrytéj sprężyny tych wszystkich zjawisk: zowie się brakiem dumy, a przesytem próżności. Jak cud jest rodzajem pewnéj niepracy w naturze, pieczonego gołąbka, co spada z nad chmur do gąbki: tak i w duchu ludzkim próżność jest wieczną żądzą chwały bez pracy; kiedy duma wbrew przeciwnie jest wieczną żądzą chwały, lecz za pomocą olbrzymiego trudu. — Kto dumny, ten i pokorny zarazem — a duma, połączona z pokorą, stanowi wielkość człowieka. Duma bez pokory — to próżność, pokora bez dumy — to podłość. — Na pozór tylko sprzeczne to władze duszy — a w istocie wielkość prawdziwa bez nich obydwóch obejść się nie może!...

... „Teraz mój drogi Julu, o Tobie słów kilka. Ucz się, patrząc, do czego wiodą rozmaite dusz słabości, unikać wszelkiéj — nie zapadaj w niemoc, bo niemoc nie jest pokorą — ni znów rośnij w dzikie przekonanie, że można jedną strofą wieki przewrócić

— bo takie przekonanie nie jest dumą. — Bądź dumny a pokorny! — Lecz kiedy się korzysz, to korz się przed Panem wiekuistym — lub przed wszechświata pięknością, lecz nie przed tą dziwną Madonną, któréj za podstawę dałeś piersi swoje...

. . . „Ty wiesz, żem Cię kochał zawzdy — Ty wiesz, że Cię kocham — może nie wiesz, ale się dowiesz, że nigdy nie przestanę “

Pomimo takich przestróg, zajść jednak musiała już w ciągu miesiąca lipca następnego roku (1842) w Słowackim stanowcza zmiana...

Nie umiem opowiedzieć, jakie w szczególności zdarzenie dało do tego powód, że się zbliżył do niego Towiański, czy też on do Towiańskiego. Dość że od owego czasu począwszy, usposobienie naszego poety, co tylko jeszcze tyle światowe, zmieniło się zupełnie, a sądy jego o tém wszystkiém, co się działo około Mickiewicza, ustąpiły miejsca zgoła innym wyobrażeniom. Pierwszym objawem tego zwrotu w pojęciach był list pisany do matki dnia 2 sierpnia (1842), zawierający ustępy, do których dawniéj nigdy nic podobnego nie pisał.

. . . „Co do mnie, wiele nadziei zwiędłych boża miłość i łaska ożywiła we mnie. Już nie wyrzekam, ale ufam. Otoczył mię krąg ludzi kochających, kosztuję nowego stanu duszy — zdaje się, że błogosławieństwo boże jest nademną. Wszystko to podobném jest do snu i do marzenia, i wytłómaczoném być nie może...

. . . „Świat glansowanych rękawiczek i woskowanych posadzek zupełnie zniknął z oczu moich, bo cóż

z niego można wydobyć? Jest to próżny teatr dla igrających myśli — dla słów ulotnych: a mnie trzeba dziś być wewnętrznym człowiekiem — ile można, doskonałym i dobrym. Wierz mi, droga, że ta przemiana ze źródła płynie głębokiego. Tę zimę jeszcze tu spodziewam się przepędzić"...*)

W następnych listach, co miesiąca już teraz pisywanych do matki i do Januszewskich (wuj Juliusza wrócił z wygnania właśnie pod koniec roku 1842), coraz więcéj znajdowało się już takich zwierzeń mistycznych. Przerażały one matkę poety. Wieści o zawiązaniu sekty Towiańszczyków doszły były tymczasem aż na Wołyń i niemało w całym kraju obudzały zdumienia. Pani Bécu nie pojmowała tego stanu, jaki wiał z tajemniczych wyrazów, kreślonych ręką jéj syna. Kiedy to wszystko, co jéj teraz pisał o sobie, porównywała z doniesieniami, które zaledwie trzy lub cztery miesiące pierwéj otrzymywała jeszcze z rąk jego, a w których aż do dziwnéj jak na poetę drobiazgowości posuwał się czasem Słowacki w opisywaniu naprzykład swego ubioru, swojéj predylekcyi do bócików lakierowanych, do „żółto-blado-białych" rękawiczek, których jedynie jak powiada używał i t. d. to ta sprzeczność między jéj synem ówczesnym a obecnym taka była uderzająca i nagła, że matka w głowę

*) Jak wiadomo, Towiańszczycy żyli w nadziei, że chwila ich powrotu do kraju już niedaleka. Dlategoto i Słowacki tylko jeszcze owę zimę miał przepędzić w Paryżu. Zmienił więc swoje mieszkanie roczne na tymczasowe i zamieszkał wtedy *rue Ponthieu* Nr. 30.

zachodziła rozmyślając, coby to wszystko znaczyło. Zapytywała go z boleścią, z niedowierzaniem, z nieśmiałością, czyby i on miał także należeć „do tych jasnowidzących?“ Badała go, czy nie zamyśla zostać księdzem? czy zaszło co nadzwyczajnego w jego położeniu zewnętrznóm? czy go nie spotkały jakie straty? czy mu nie grozi coś, co go trwoży? czy zdrów? „czy mu czoło nie pała“? dlaczego listy jego takie niezrozumiałe?...

Przypuszczenia takowe draźniły i zasmucały Juliusza. Oto, co jéj odpowiadał na takie zapytania:

. . . „Zasmuciłaś mię bardzo. pisząc mi z trwogą i z pewném niedowierzaniem, myśląc żem ja się jasnowidzącym oddał i w sny ich uwierzył. Nigdy nie byłem tak nisko, żeby mię lada kto mógł wziąć za głowę. Ale drgnięciu wewnętrznemu ducha bożego uwierzyłem, i słowom prostym a bożym dałem się przekonać.“

— — — „Wszyscy, którzy niezdolni są wskrzesić siebie i oddać się nowéj, wielkiéj pracy, są przeciwko nam z wielkim gniewem i oskarżają nas wynajdując różne fałsze, i stawią nam różne przeszkody. Wiele więc może próżnych ech dojdzie do Ciebie. Więc jeżeli mi nie uwierzysz: będziesz się smuciła, myśląc, żem się zaparł rozumu mego i zszedł z drogi, na któréj mię witano Albowiem teraz mi przyznają rozum dawny i prawość dawną, a na teraźniejszego i prostego człowieka utyskują. Ale ja wiem, że mię Bóg nie opuści; bom ja także nie opuścił żadnéj pracy około świata, ale poznałem tylko drogę prowadzącą do niéj, i już nie tylko głową, ale całym sobą wojuję, a najwięcéj wnętrzem najczystszego czucia. A tak czyniąc, nie tylko za siebie, ale i za tego, który leży w grobie

na Rossie *) i wszystkiego jeszcze nie spełnił, ja odrabiam pracę i wiem, że go to raduje...

„Przebacz mi najmilsza, że tak piszę; ale wiedz, że piszę po spowiedzi i po przyjęciu Sakramentów, a musiałem szukać prostaczka wielkiego, aby mię rozgrzeszył; bo rozumni wypędzają nas z domu świętego, oskarżając o walenie domu tego przedtém i teraz, a boją się o siebie i nie widzą ani pojąć nie chcą, że to jest odbudowanie jego prawdziwe w czystości i pokorze"... (Z listu z d. 17 listopada 1842 r.).

. . . Są położenia, że trzeba z miłości własnéj zrobić ofiarę, t. j. nie ukrywać się z niczém i być otwartym, choćby serce przeczuwało, że ludzie krzywo tę otwartość osądzą, nazwą ją złością lub zazdrością. Otóż dokompletowałem siebie czynem. To jest, spotkawszy mego przeciwnika (Mickiewicza) na wyższém stanowisku, podniesionego ku prawdzie prawdziwie bożéj, już nie w jezuityzmie — podałem mu rękę i teraz jesteśmy razem. Jesteśmy — ja, on i jeszcze trzeci... równie zajęci sercami naszych braci, równie pomagający duchem i życiem, ile go który ma w sobie. Życie takie podobne jest do życia aniołów, i nieraz ozłocone uśmiechem są twarze nasze, a prawie zawsze serca spokojne. Nie miéj więc, o droga! żadnéj bojaźni o mnie; bo jeżeli kiedy, to teraz sam nie jestem, a nikt mnie nienawidzieć nie może. Bo wszystkich ukochałem i sercem zapragnąłem, i muszą to kiedyś uczuć, choćby już nigdy więcéj moich słów nie słyszeli"... (Z listu z d. 18 stycznia 1843 r).

. . . „Nie tracąc chwili odpisuję, abym Cię wyprowadził z trwogi i uspokoił; bo pojmuję, ile Cię taki

*) Mówi to o ojcu swoim Euzebiuszu Słowackim.

straszny domysł zatrważać musi Nie, nie zostanę nigdy księdzem! Onito Faryzeusze miłość udający obrzydzali mi próg kościelny i pokazywali do Boga drogę maleńką i pełną fałszów, po któréj tylko robactwo ludzkie pełznąć mogło“... itd. (D. 18 marca 1843 r.).

Wstrzymuję się od wypisywania miejsc takich więcéj. We wszystkich listach ich pełno. Natomiast staje się korespondencya Słowackiego od tego czasu nad wszelki opis ubogą w szczegóły o życiu jego potoczném i zewnętrzném. Człowiek ten odtąd przestał prawie już żyć dla otaczającego go świata. Nic go już na nim nie zajmowało. Wszystkie myśli jego krążyły jedynie około pojęcia Boga, Ojczyzny, przyszłości rodu ludzkiego, słowem około zagadnień doktryny; i nie było nic ważniejszego dla niego, o czémby matce donosił, jak ten ciągły rozbiór tych niewielu mistycznych pojęć, około których się cały Towianizm kręci. Przy tém ją jednak ciągle zapewniał, że się czuje bardzo szczęśliwym.

„Uleciał smutek odemnie — powiadał jéj — i wpuścił więcéj niż nadzieję do domu mego. Przybyła także większa prostota -- mniéj zachceń ziemskich, a więcéj prawdziwéj żądzy dobrego. Duch mój się podniósł i ciało nabrało więcéj mocy, tak że mię ludzie zaledwo poznają. Widzę, że do końca życia mam drogę pełną słońc i tęcz prawdziwych, i to mi wystarczy, choćbym żył najdłuższe lata“... (Z listu z d. 18 marca 1843 r.).

Czasem mu matka robiła wyrzuty, że ją samymi tylko zbywa rozumowaniami, a nic rzeczy-

wistego nigdy nie donosi o sobie. W takim razie odpisywał jéj, jak naprzykład d. 12 sierpnia 1844 r.:

. . . Dlaczego Ty droga chcesz szczegółów życia mego i materyalnych okoliczności? Na wszystkie pytania, któreby mi zadał człowiek pospolity, chcąc osądzić, czy jestem szczęśliwy: odpowiedziałbym w taki sposób, że człowiek ten osądziłby, iż mi wszystkiego, co do szczęścia należy, niedostaje. Albowiem jeśli szczęściem jest zabawa — téj ja nie znam; jeśli pieniądze — tych mam tyle, ile mi potrzeba, ale mniéj niżby ich owemu człowiekowi dla szczęścia żądać przyszło; jeśli szczęście jest w pochwałach od ludzi odbieranych i w oczy mówionych, to takich ja nie słyszę, a ile razy słyszę, to wzdrygam się, czując niby wstyd jakiś i uczucie upokorzenia. Gdybym Ci opisał droga, życie moje zewnętrzne, Ty sama możebyś zwątpiła o szczęściu mojém... możebyś podniosła krzyk ku Bogu, wyrzucając mu, że Ci dziecko Twoje nie podług miary obdziela. A jednak, jeżeli Ty prawdziwie szczęścia mego żądasz, to powinnaś mi wierzyć teraz, kiedy mówię, żem jest pełen jakiéjś wnętrznéj radości, która się czasem aż w głosie moim, tonem śpiewu przebija — jak gdyby coś we mnie śpiewało, girlandami tonów rzucając przez błękity. W sile ducha mojego jest coś, coby chciało się porwać i unosić, jak dziecko w przestrachu śmiejące się, bo pewne opieki. — Pytasz mię droga, czy jadłem wielkie święcone? A ja Cię proszę, abyś nie zwracała oczu na ludzi, którzy szynkami karmią tłum niewybrany i potém głośno mówią: daliśmy jadła i słudzy nasi pożarli je... Albowiem nie o jedzenie chodzi, ale o to, aby kto był zdolny duchem nakarmić i serca przelać ogniem, upoiwszy je z pa-

łących kielichów — i stawiać ciągle święcone pod nieba błękitem, i takiém jadłem wiązać ludzi, aby więcéj nie rozchodzili się, ale zebrani zostali wiecznie, nie mogąc oderwać się od tego, który karmi. Dla wiadomości Twojéj jednak powiem, że i na tamtém święconém byłem, ale smętny aż do śmierci, widząc że przeszłość jadła, aby żyła“...

— W ciągu tego samego czasu korespondował też Słowacki, jako już Towiańskiego zwolennik, i z Krasińskim. Widocznie było gorącém życzeniem jego, aby dla sprawy nowéj doktryny pozyskać tę potęgę duchową. W listach tych znajdują się wydatniejsze, aniżeli w korespondencyi do matki, zarysy tego jak on sobie słowa Towiańskiego tłómaczył. Jest to zatém jedno z ważniejszych źródeł do wyrozumienia, o co ostatecznie Towiańszczykom chodziło. Źródeł takich bardzo mało pozostało. Im więcéj bowiem osoby, po za tą sektą będące, były pochopne do rozgłaszania rozmaitych wieści o zajściach, które się wewnątrz Koła takowéj działy: tém uporczywsza była niechęć w tych ostatnich powierzania drukowi jakichkolwiek wiadomości o wewnętrznych tegoż Koła stósunkach albo dogmatach. Jak wiadomo, Biesiada, albo raczéj dwie Biesiady — jest bowiem jedna z roku 1841 (dla Skrzyneckiego pisana), a druga ogłoszona 1845 r. p. t. „Biesiada z bratem Karolem“ (Różyckim) — stanowią jak dotąd jedyne drukiem rozpowszechnione dokumenta Towianizmu, wydane z samego łona téj szkoły. I z tych atoli dokumentów, choć były ułożone przez samego Towiańskiego, został jeden, t. j. owa Bie-

siada rychlejsza, w następnych latach o tyle unieważnionym i niejako odwołanym, że Towiański przeciwnikom swoim oświadczył, iż ją pisał jedynie dla wyż wymienionéj osoby, a nie dla wszystkich — i w celu, ażeby ją ustnym dopiero wykładem własnym uzupełnić, nie zaś żeby każdemu służyło prawo wysnuwania z niéj wniosków swoich.

Choćby zatém z tego już tylko powodu, że to nowy a autentyczny materyał do wewnętrznych dziejów téj sekty, poczytuję za stósowne przytoczyć tu kilka wyjątków z rzeczonéj, skądinąd nieco monotonnéj korespondencyi.

W pierwszym tedy z listów pisanych w téj epoce do Krasińskiego (d. 14 grudnia 1842 r.) — tak się Słowacki odezwał:

. . . „Otóż wiédz, że jest człowiek, który rozwięzuje duchy i stawia je nad ciałami, wkładając im wszelkomożne korony — wpajając w nie królewskość mocy — łącząc z Bogiem, a to wszystko prostą, ożywczą, bożą siłą — jedném słowem, które świat materyalny robi snem w oczach człowieka, a wyciąga z niego dążność ku nieśmiertelności bożéj... A nauka jego nie potrzebuje się rozwijać, bo ci, którzy są gogotowi, przyjmą ją — a ci, na których czas nie przyszedł, odrzucą — a jednak odrzuciwszy, będą mieli targane sumienia i serce do krwi rozdarte !... Otóż ta idea w świecie duchowym jest jak systemat naszego Kopernika... Dosyć było powiedzieć któremu uczonemu astronomowi przeszłości, że słońce stanęło: a on już sam w obserwatoryum swojém od lunet i teleskopów dowiedziałby się reszty. Ale gdybyś Ty jednak wiedział, jak ten szlachcic litewski wśród sosnowych la-

sów wyciągnął z myśli bożej wszystko i wszystko odtworzył na nowo, z prostotą pastuszą i z pohamowaną w sobie ludzkością: — wziąłbyś go pewnie za Pana i za przewodnika"...

... „Ty, który od dawna jesteś ogniem tych, którzy w okrąg Ciebie stoją, musisz koniecznie gotować teraz podobnych nam i przyjść nam z legionem twórczo-duchów w pomoc. Wam wtenczas świat będzie musiał uderzyć czołem, i ja — choć już wśród was bez życia i ruchu — będę się radował ze zwycięstwa nad światem i nademną"...

... „Poganizm cały krzyczy i jeszcze występuje do walki. Palcem posągowym pokazuje wszędy formy swoje — zasłania się nimi i teraźniejszéj chwili tylowiekowym głosem wyrzuca niewdzięczność. Jam go przeklął; ale jeszcze nie mogę zapomnieć, że mi był litosnym panem, że jego Dyany były mi kochankami, a jego trwałość — prawie wiecznością... Ale zwyciężyły go już piorunowe objawy ducha, a jam resztką czucia rzucił się dopomagać silnym a nieśmiertelnym prawdziwie. W tych kilku słowach jest cała moja historya. W Anhellim ją na końcu przeczułem i oprócz Anioła, co siedział nad trupem i zabraniał budzić go, wszystko się sprawdziło"...

Na to zagadnięcie niezwłocznie nastąpiła odpowiedź. Odpowiedzi téj między listami wprawdzie nie znaleziono. Z piérwszych słów atoli drugiego listu, który zaraz potém napisał do Krasińskiego Słowacki, daje się wnosić, że odpis Zygmunta ułożony być musiał jakoś dyplomatycznie, ani nie przecząc, ani nie potakując.

Początek rzeczonego listu Juliusza jest taki:

„Kochany mój! Twój list apokaliptyczny świeci mi jak lampa w gotyckim kościele — jak różyca różnokolorowa, przez którą patrzy słońce — ale roztęczowane, niepewne! Odgadłeś kilka kształtów: i w wzroku, który Adam rzucił na jednego ze swoich uczniów, kiedym mu o liście Twoim mówił, widziałem że mistrz taksamo tłómaczy niewiastę w słońcu na włosach, z księżycem pod nogami *)... Ale czy to starczy? Czy to jest wszystko? Czy nie czujesz, że ta idea musi być działalną na ziemi, to jest czynioną przez ludzi, nie głoszoną przez usta ludzkie"...

W dalszym ciągu napotykamy jeszcze jeden ustęp godny zastanowienia:

. . . „Każdego z nas inaczéj uderzyło Mistrza słowo i z innéj struny każdy wydobywa dźwięk swój, który się w pokorném k ole braci układa do harmonii. Co do mnie, najmocniéj mnie zajmuje twórczość ducha, który podług słów św. Pawła, jeżeli z Duchem Bożym łączy się, jest jedno. — Uczuciem więc, ogniem miłości, ściągnięciem woli bożéj na ziemię możemy odbudować świat i postawić go w kształcie zupełnie nowym. — Praca więc powinna się zacząć od nas samych, to jest powinniśmy w sobie wyrabiać doskonałą moc czucia — zlewać go — spiorunować w sercu: a to wszystko z cichością i prostotą ludzi mocnych i mających wielkie rzeczy do wypełnienia. — Stwórz sobie myślą takiego człowieka, postaw go sobie przed oczy — niech przemówi do Ciebie twarzą pogodną, wnętrzném uczuciem siły nieśmiertelnéj, mocą

*) To miejsće służyćby mogło pod pewnym względem za komentarz do tego ustępu Króla-Ducha, który jest dany w rapsodzie Iszym pieśni Iszéj strofie 17.

magnetyczną wyższości prawdziwéj: — a ujrzysz nasz ideał. Każdy Duch, z Boga wetchnięty w organizacyą, ma misyą bożą, to jest przebicie się przez materyą, wyrabiając ją twórczością swoją w coraz doskonalsze kształty — aż będzie mógł ostatecznie powiedzieć słowo przez Chrystusa wykrzyknione na krzyżu: wypełniło się! — Uczucie to skończonéj, wypełnionéj misyi zaczyna nową drogę ducha wyłamanego już z materyi, uwolnionego z organizacyi. — Wierzymy więc w niedopełnioną pracę ducha i w łańcuch żywotów, które podług téj skazówki wyduchowiania się uważane, są Ewangelią dowiedzione. — Wierzymy w narodowości, to jest w solidarne misye duchów powiązanych z sobą wspólną odpowiedzialnością; a stąd wypływa, że miłość ojczyzny jest instynktowém uczuciem téj odpowiedzialności; a poświęcenie się za nią nie jest szaleństwem, ale koniecznością ducha w świecie duchowym, tak jak to materyalne pomaganie sobie, które stworzyło kontrakt socyalny. — Wierzymy i w to, że kogokolwiek duchem zaczepimy, stajemy się duchem odpowiedzialni za ducha. — A tak utworzywszy sobie świat wnętrzny i zrozumiawszy go, stworzył się nam szereg cnót nowych duchowych i grzechów, które dotąd w konfesyonałach nie były słyszane..

„Wszystko to jest proste i nie do rozumu Twojego, ale do serca Twojego pisane. Lecz powiedzże, czy sercom nie trzeba było takiéj wiary? takiéj religii? — Czy ta myśl, że duch — już skończywszy misyą i rozwiązany z organizacyi — jeszcze jest odpowiedzialny za duchy leniwsze pozostałe w pracy, nie tworzy Ci najcudowniejszéj kolumny świętych pańskich, którzy muszą podszeptywać, pomagać, a przez łaskę czasem zjawiać się na ziemi wierzącym w nie, aby

wypełnienie misyj narodowych przyspieszyły?... Zamyśl się z tą myślą, a usłyszysz cudowną harmonią między duchowymi pracami a boleściami ciał, które są chłostą niby bożą i przymusem i nauką duchów. Jednéj plagi, jednéj choroby nie ma przysłanéj napróżno. Narody wydają się jak indywidua, także słusznie karane lub wynagradzane. Historya, ta męka ciał, staje się nauką duchów; wszystko się wyjaśnia: Bóg się pokazuje z każdéj mgły, z każdéj chmury. Taka więc jest ta metempsychoza, o którą nas księża katoliccy oskarżają." (List ten, długi bardzo, datowany jest z d. 17 stycznia 1843 r.). —

Teraz dopiero nastąpił odpis (z Rzymu d. 26. stycznia 1843), o którego treści można dać bliższą wiadomość, jest to bowiem jeden z owych listów dziesięciu. Co w nim szczególnie uderza, to jakaś dziwna wyrozumiałość Krasińskiego na obłąkanie całego tego grona w Paryżu, chociaż je był rokiem pierwéj z takiém oburzeniem potępił.

Oto kilka ustępów z rzeczonéj odpowiedzi:

. . . „Czemuż się tak żegnasz na wieki z pięknością pogańską? Czemu myślisz, że nieśmiertelne umrzeć potrafi? — W arcydziele Pana nic nie ginie, wszystko coraz żywiéj żywie, wznosi się i wzmaga! Nowa, pełniejsza od wszystkich poprzednich poczyna się epoka. Nazwieszli ją królestwem bożém, czy przyjściem Ducha św., czy jeszcze inaczéj: — to pewna, że ona być musi epoką nieznaną dotąd — życia czyli czynu! Czyn albowiem, rzeczywistość, życie — to cel, ku któremu ostatecznie wszelkie poprzednie przygotowanie się garnie. Natura stąpała ku człowiekowi — historya stąpa ku ludzkości. Dwie

sfery przygotowawcze przebiegliśmy dotąd; każda z nich wzięła na się rozwinięcie jednéj z jednostronnych części składających całość czyli życie. — Piękność czyli prawdę kształtu pojęło pogaństwo; prawdę czyli piękność myśli, chrześcijańska era upłyniona od dni Chrystusowych. A czémże czyn, życie, świat przyszły nasz, jeśli nie doskonałym zlewem tych dwóch jednostronności?" itd.*)

. . . . „Więc owszem ja ci mówię, że gdy tak prawdziwie pojmujesz czyn, tak głęboko wzdychasz doń, to wcale się nie odsuwasz od tego, co nieśmiertelném z świata pierwszego ludzkości pozostało — od piękności! Przeciwnie, Ty żądasz, by myśl Chrystusowa, która dotąd tylko idealną prawdą była, wcieliła się w widomą rzeczywistość, w kształt powszechny, planetarny, godzący wszystko, organizujący wszystko; a czémże kształt prawdy, jeśli nie piękność? Zatém dążysz ku piękności nie już tylko w marmurach, płótnach, dźwiękach i mierze wierszowéj, ale ku piękności żywéj, ku najwyższemu stanowisku piękności"...

W dalszym wywodzie wykłada Krasiński swoję własną teoryą o ludzkości i składających jéj organizm narodowościach, jako niezbędnych członkach téj harmonijnéj całości, w sposób jak w przedmowie do Przedświtu. I w końcu ten system swéj wyobraźni przysądzając Towiańszczykom, zamyka rzecz w następujących słowach:

. . . „O to kusicie się bracia moi — to waszém jest usiłowaniem! I błogosławieni jesteście za to, żeście

*) Cały powyższy ustęp prawie żywcem jest wzięty z Cieszkowskiego Historyozofii.

pierwsi pojęli to i postarali się to uczynić! Ale pamiętajcie, że wszechstronność pierwszą cnotą waszą być powinna; że nic nie odrzucać — niczém nie gardzić, ale wszystko wywyższać — wszystkiemu miejsce dać, a piękniejsze i lepsze — powinniście! — O! zaklinam was: nie zwężajcie się jako cząstka świata — ale rozszerzajcie się jako całość świata! — Bądźcie pełniejsi miłości od tych, którzy twierdzą, że ich rzemiosłem jest miłość! Nie intolerancyą walczcie intolerancyę! Owszem, wszystko pojmijcie, wszystko pochłońcie — bądźcie jako kopuła, co ziemię widnokrężnie opierścienia. — Miasto gołębicy dawnéj, chciałbym by dziś taki błękit uznany został za symbol Ducha świętego! Niechże i waszych działań będzie on symbolem!“

A zatém, jak widzimy, Krasiński ostatecznie nic więcéj nie znalazł do wytknięcia mistycznéj owéj doktrynie, jak tylko ten fanatyzm, tę wyłączność bezmiłosną i jednostronną, tę do najwyższego stopnia posuniętą intolerancyą, jaka znamionowała i słowa i postępki Towiańszczyków, od Mickiewicza począwszy aż do najbezmyślniejszego szeregowca téj szkoły, we wszystkich ich zetknięciach z światem zewnętrznym. —

Ta teoretyczna pobłażliwość autora Przedświtu dla Towiańszczyzny nie wystarczała jednak bynajmniéj Słowackiemu, który go pragnął do obozu tego przeciągnać. Z téj przyczyny korespondencya zobopólna się przedłużyła i nadal, ale w taki sposób, że w wyrazach Słowackiego coraz dotkliwiéj przebijać zaczął „pewien kwas melancholijny“ przeciwko człowiekowi, którego dawniéj tyle uwiel-

biał. Na uwagi cierpkie, wstępnym bojem sobie czynione, Krasiński odpowiadał życzliwie i z miłością, lecz je odpiérał jednakże. Wreszcie się ta rozmowa listowna między nimi urwała... Potém nastąpił (w tymże roku, w jednym z miesięcy latowych) ślub Krasińskiego z Branicką — a następnie napisany i ogłoszony został „Ksiądz Marek“.

Nie można samemu tylko przypadkowi tego przypisać, że się w tym poemacie znajdują rzeczy, które boleśnie dotknęły Krasińskiego. Są tam wyrażenia i zajścia, ubliżające rodzinom, z których tenże albo pochodził albo z nimi był połączony. Uraza musiała być tém żywsza, że nie można było niewidzieć, że tu wyraźnie o to tylko chodziło, żeby dokuczyć. Uszczypliwości są po większéj części naciągnięte i w kolorach mocno przesadnych; a to, co się bezpośrednio do Krasińskich odnosi, nazwać należy nawet bezwarunkowo niesprawiedliwém, zwłaszcza, że dzieje barskiéj konfederacyi bynajmniéj do tego nie dawały powodu.

Ta publikacya położyła na zawsze koniec serdecznym stósunkom pomiędzy Słowackim a Krasińskim. Zerwały się one od owego już czasu, a nie dopiéro w skutek wiersza „Do Autora trzech Psalmów“, jak to zazwyczaj sobie wyobrażają. W późniejszych latach podali sobie wprawdzie obaj poeci raz jeszcze ręce do zgody; ale była to już tylko... łatana przyjaźń i chłodna — jak się to w swojém miejscu opowie.

Ażeby zakończyć już ten rozdział sprawie Towianizmu wyłącznie poświęcony, dodaję jeszcze

słowo o zachowaniu się Słowackiego względem saméjże szkoły, któréj był uczestnikiem. Bynajmniéj nie należy sobie wystawiać, że to był bierny tylko i potulny wykonawca zleceń mistrza swojego, albo powolny potakiwacz słowom lub téż uchwałom drugich. Owa sprężysta samodzielność, owa „odśrodkowa siła negacyi", którą mu przyznał był już Krasiński w owéj rozprawie swojéj z r. 1841, podsycana wrodzoną a teraz okolicznościami spotęgowaną drażliwością umysłu, dawała się i w téj życia jego epoce czuć wszystkim z jego strony przy lada sposobności. Mianowicie zgoda z Mickiewiczem żadną miarą nie była bezwarunkową ni długotrwałą.

W piérwszéj chwili uwielbienie jego dla Towiańskiego nie miało granic. Pod jednym wierszem, który jako numer V. znalazł miejsce w tomie Iszym Pism jego pośmiertnych na stronie 71, napisał był takie wyrazy bezpośrednio do niego skierowane.

„Temu, który nie słowy ani nauką, ale przyjściem swojém i zapowiedzeniem sprawy bożéj ducha mojego z więzów uwolnił i przejściu w krainę wiedzy dopomógł,

Andrzejowi Towiańskiemu,

niniejszy wyraz, jako wywołaną z ducha mego odpowiedź i miarę wyrozumienia Sprawy Bożéj, ofiaruję i poświęcam, — narodu mego prosząc o uwagę dla człowieka, który słowa te: że wszystko przez Ducha i dla Ducha stworzone jest, wyrzekłszy, podobnie jak Kopernik, a więcéj jeszcze, bo nie świat fizyczny, ale świat wiedzy, na syntetyzmie zatrzymał i postawił." —

Ale już krótko po przymusowym wyjeździe Mistrza z Paryża, znalazł się Słowacki w konieczności wystąpienia z powszechnego i jedynego jeszcze naówczas koła Towiańszczyków i założenia frakcyi własnéj, osobnéj. Powód zdarzenia tego nie jest mi wprawdzie dobrze wiadomy; ale nie wątpię, że do tegoto zajścia odnosi się następujący urywek z listu, ktorego początek znalazłem na ulotnéj kartce pomiędzy luźnymi papierami poety:

„Piszę do Ciebie, Bracie Andrzeju, abym Ci wypowiedział z ducha mego słowa, które przed światem uczyniłem dotąd tajemnicą, ciężarem téj tajemnicy obciążywszy samego siebie; abym nie mógł być w żaden sposób przez Ducha Twego oskarżony przed Bogiem, jako odstręczający świat od sprawy Ducha wykryciem zgorszenia. Gdyś zjawił się, świadectwo braci moich o Tobie świadczących przyjąłem; w dobréj wierze połączyłem się z uczuciem ich — w czystość Twoję zawierzyłem, wiernym byłem — w postępkach moich starałem się być bez poszlakowania — w pracy mojéj pomocnym Tobie — w usłużeniu Sprawie pierwszym — w cielesnym koła porządku ostatnim. Jeżeliś tego nie czuł duchem, dowiaduj się, a ludzie ust prawdziwych przyświadczą, że tak było. Wystąpienie moje z Koła ciche, a Tobie bynajmniéj nie uwłaczające, wywołało z Ciebie sąd pismu powierzony, w którém ducha mojego osądziłeś. Odważnym będąc w sądzie, bezsilnym w osądzeniu“ — — — (dalszego ciągu nie ma).

Podobnych śladów częstych nieporozumień między Słowackim a resztą Koła, mógłbym przytoczyć i więcéj. Są nawet protestacye formalne z jego strony przeciwko jakimś krokom czy téż

zamiarom Mickiewicza i jego zwolenników, których już dzisiaj dokładnie się dorozumieć nie można z powodu tajemniczości, w jakiéj się wszystko tam odbywało pomiędzy nimi. Oto jeden z ciekawszych dokumentów tego rodzaju.

„My niżéj podpisani, którzyśmy stanęli przy sztandarze sprawy Bożéj, z najwyższego ducha miłości i prawdy chcąc wysnuć siły ku zbawieniu Ojczyzny naszéj...

„Przekonawszy się, że dotychczasowi wodze nasi, którym z miłości poddaliśmy się i z pokory, nie odpowiedzieli zaufaniu naszemu, ale powiedli Koło nasze ku tym idealnym absolutnym celom, na których wszelka różnica, czasem i charakterem między narodami położona, ginie...

„Nie oskarżając bynajmniéj przeciwników Koła o złą wolę, ale z sumienia naszego czyniąc krok według nas potrzebny i konieczny...

„Zostawiamy odpowiedzialnymi przed Bogiem i przed narodem oweto nasze przewodniki za dalsze ich postępowanie. Sami zaś nie odbierając sztandarowi prawdy i miłości, serc i sił naszych, powierzamy obronę“ — —

Dalszy ciąg téj protestacyi jest wydarty w książce, w któréj się mieści, zawierającéj w sobie różne notaty Słowackiego. Ale zaraz na trzeciéj stronie daléj w tymże raptularzu jest koncept listu, który choć jest bez daty, oczywiście odnosić się musiał do téjże okoliczności:

„Do Koła całego tak zwanych Towiańszczyków, czyli uczniów pewnego Andrzeja Towiańskiego, na ręce zastępcy mistrza onego, Adama Mickiewicza.

„Bracie Adamie!

„Przypominam Ci, że przyjęty za brata w kole Waszém przez Andrzeja Towiańskiego, który publicznie mię bratem być wyznał: w dniu 1 października 1834 roku“ (liczba oczywiście zmylona, zamiast 1844, albo może 1843) „listem do koła braterskiego pisanym nie wyrzekłem się bynajmniéj braterstwa, ale położyłem Veto z ducha polskiego — przeciwko dążności rosyjskiéj, która mszę i nabożeństwo publiczne za ducha nienaszéj wiary i nienaszéj idei podyktowała.

„Przypominam, że jako pierwéj, tak i teraz Veto moje nie zdjęte z Koła trwa na wieczność, a témsamém czyni nieprawnymi i bezskutecznymi wszelkie kroki, które Koło w tymże duchu łączącym nas z Rosyą przedsiębierze.

„I żądam, aby ta nowa protestacya przeciwko ugięciu ducha polskiego przed Cesarzem Mikołajem zakomunikowaną była w Kole dla wiadomości.

„Zostawiając sobie dalszą wolność czynienia kroków, które mi się wydadzą potrzebne dla ratunku ducha Ojczyzny mojéj —

„W braku aktów, do którychbym wnieść mógł tę protestacyą, oświadczam, że powierzę ją pamięci narodu mojego.

Brat

Juliusz Słowacki.“ —

Do któregoby się czasu to wszystko odnosiło, trudno bardzo dzisiaj odgadnąć. Wnoszę jednak z różnych okoliczności ubocznych, że dziać się to musiało 1844, albo co jeszcze prawdopodobniejsza, w r. 1845.

Dopisek do drugiego wydania.

Ponieważ postanowiłem sobie uzupełnić to dzieło wszystkiém, co tylko w skutek jego pierwszéj publikacyi z jakiéjkolwiek strony do rąk moich nadesłane zostało: zatém i do niniejszego rozdziału dołączyć winienem wzmiankę o pewnym liście, przez nieznajomą mi osobę w roku 1868 mi przysłanym, treści następującéj:

„Szanowny Panie!

Przeczytawszy dzieło „Juliusz Słowacki“, w którém Pan potępiasz Sprawę, którą z woli Bożéj czyni Andrzéj Towiański: jako sługa téj Sprawy od lat 20tu, kreślę do Pana słów kilka w boleści nad obrazą Bożą i nad bliźnim, który ją popełnił.

Osądziłeś Pan Rzecz Bożą, któréj nie znasz i poznać nie chcesz — dla podparcia sądu Twojego, podałeś rozniesione przez nieprzyjaciół fałszywe pogłoski i potwarze jako fakta rzeczywiste — przypisałeś nawet Sprawie Bożéj najprzeciwniejsze duchowi i zasadom Jéj chrześcijańskim ostatnie utwory ś. p. Słowackiego, w chwili zgonu przez niego samego zganione (?), chociaż wiedziałeś, że powstały one (czy wszystkie?) dopiéro po odstępstwie Jego od Sprawy téj... Tém wszystkiém dałeś Pan nową podnietę bezbożności, prześladującéj to, co Bóg w Miłosierdziu Swojém zesłał dla ratunku znękanéj Ojczyzny naszéj.

Pragnąc podnieść Słowackiego (?) nie wiesz Pan, jakie rany zadajesz Duchowi Jego, wielbiąc (?) zdradę Boga i Ojczyzny w zaparciu się Jego Sprawy, którą on (kto?) uznał za ratunek Boży dla Ojczyzny, używając imienia i sławy Jego literackiéj dla obalenia téj Sprawy!...

Oklaski dawane pisarzowi mogą zaćmiewać przed Tobą Panie prawdę i krzywdę, jaką téj prawdzie uczyniłeś, mogą nie dopuścić do duszy Twojéj życzliwéj przestrogi bolejącego nad Tobą Rodaka; ale ja spełniam powinność moję, przypominając Tobie Panie, że tryumf fałszu jest krótko trwały; że prawda prędzéj czy późniéj, z wolą czy bez woli Twojéj, okaże się Tobie, jaką jest, i że wtenczas ciężka odpowiedzialność spadnie na Ciebie za obrazę Bożą i za krzywdy Ojczyźnie i Rodakom wyrządzone... Obyś mógł Panie uniknąć téj strasznéj chwili, zastanawiając się w sumieniu Twojém przed Bogiem, co czynisz!...

Życzliwy Rodak
Józef Cz...

Kraków, ulica Lubicz Nr. 14.
dnia 17. Marca 1868 r.“

(Nadmieniam, że autor listu, nieznajomy mi osobiście ani pośrednio, położył pod nim całe swoje nazwisko i że to ja daję tylko początkową z niego tutaj literę, z łatwych do wyrozumienia powodów).

Pan Cz. zarzuca mi zatém, że sprawy, którą sądzę, n i e z n a m i poznać n i e c h c ę. Jakkolwiek wyrzekłem zdanie moje o Towianizmie na podstawie dopiero wszystkiego, co o tém pisano tak w emigracyi, jak w kraju: mogę jednak rzeczywiście być tylko niedostateczne powiadomionym o rzeczy i „n i e z n a ć j é j“. Ale na czém opiera się zarzut, że jéj „p o z n a ć n i e c h c i a ł e m?! A g d z i e ż? i j a k można poznać Wasze roboty, najgłębszą tajemnicą zakryte przed narodowym

ogółem, przystępne tylko wtajemniczonym, to jest takim, którzy z zamkniętymi oczami w te cuda z góry już uwierzyli i do Koła jako jego zwolennicy przystali? — „Zostań Towiańszczykiem, a będziesz znał naszę Sprawę“ na to tylko skarga pana Cz. chyba wychodzi! Jeżeli mnie chciano upomnieć, przestrzec, nawrócić, to jedynym sposobem na to było powiedzieć: Oto te a te rzeczy, te a te fakta, twierdzenia i t. d. są w Twojém opowiadaniu nieprawdziwe, albowiem miały się one tak a tak... Autor listu wolał pójść inną drogą — drogą wszystkich swoich współwierców a i samego Mistrza swego, t. j. przeczyć wszystkiemu, co tylko o nich kto gdziekolwiek powiedział, ale przeczyć tylko w czambuł: a nie tylko nic a nic dodatniego nie wyrzéc o tém od siebie, ale nawet nie wyjawić, które to mianowicie fakta o nich wiadome miałyby być „fałszywymi pogłoskami i potwarzami“. Ten manewr jednak już jest zużyty i nie czyni wrażenia.

Zupełnie mylném téż jest twierdzenie, żeby się z dzieł Słowackiego, w jego już towiańszczykowskiéj epoce powstałych, nie godziło utwarzać sobie wyobrażenia o téj doktrynie; ponieważ „one powstały dopiero po odstępstwie Jego od Sprawy téj, i były w chwili zgonu przez niego samego zganione“. Ksiądz Marek i Srebrny Sen Salomei powstały przecież w każdym razie przed jego jeszcze zerwaniem z Panem Andrzejem i Mickiewiczem. Są to zatém owoce jego jeszcze solidarności z doktryną, dokumenta téj doktryny, a swoją drogą właśnie najbałamutniejsze utwory, jakie kiedy wypłynęły z pióra Juliusza. „Zganionym“

przez poetę samego — został chyba tylko jedyny Król-Duch, a to przez ów wyraz powiedziany w saméj chwili już zgonu. Ale i to nie może być rozumianém w tym sensie, jak to tutaj autor listu wykłada — o czém się nieuprzedzony czytelnik sam niżéj w swojém miejscu przekona. Słowacki, już umierając, nie stósował do tego ostatniego dzieła swego słów, które wyrzekł, w tym sensie, żeby miał był odwoływać albo potępiać dążność i ideę owego dzieła; ale raczéj nazwał on te literackie, doczesne wysiłki swoje głupstwem znikomém, jak niém można snadnie nazwać i każdą inną pracę rąk ludzkich, jeżeli się ją postawi wobec majestatu wieczności, mającéj pochłonąć w sobie konającego człowieka.

ROZDZIAŁ SIEDMNASTY.

Dalszy ciąg rozpoczętéj materyi. Autorska czynność Słowackiego pod wpływem Towianizmu. Ksiądz Marek — Sen Srebrny Salomei. Zdanie matki poety o tych utworach i jego odpowiedź na to. — Znaczenie literackie obu dramatów. — Różne poezye liryczne i ulotne — poemat z dziejów Nowogrodu — Poeta i Natchnienie — Zawisza Czarny — Samuel Zborowski — Genesis z Ducha.

Przystąpienie Słowackiego do koła Towiańszczyków wywarło wpływ przeważny na charakterze jego jako poety. Cały zawód jego autorski otrzymał odtąd inny kierunek. Tém zdarzeniem, życie jego na emigracyi wydaje się jakby przecięte na dwie połowy. Między pracami jego z przed roku 1842 a potém, mało jest związku organicznego. Są to dwa osobne działy czynności literackiéj, daleko bardziéj odgrodzone od siebie, aniżeli owe okresy rychlejszéj części życia, które przedzieliło w r. 1831 dobrowolne usunięcie się na wygnanie.

6*

Piérwsze następstwo téj tak stanowczéj zmiany wyobrażeń, a raczéj tego zupełnego przewrotu wszelkich pojęć dawniejszych, okazało się w tém, że Słowacki prace swoje dotychczasowe od téj chwili bardzo mało już cenił. Co już było wydane, tego oczywiście nie było można cofnąć z obiegu. Ale co jeszcze leżało w tece, to też już w niéj i na zawsze miało pozostać!... Ta jest przyczyna, dlaczego wszystkie owe w poprzedzających rozdziałach jako fragmenty wymienione utwory Słowackiego, nie tylko nie zostały do druku i do rąk publiczności oddane, ale co gorsza, puszczone w poniewierkę, rzucone między niepotrzebne papiery, do tego stopnia na powolne wystawione były niszczenie, że największa ich część doszła rąk naszych zaledwie tylko w urywkach.

Zupełnie mylne byłoby przypuszczenie, że zatrata tylu wybornych rzeczy zaszła dopiéro po śmierci autora w skutek niedbalstwa spadkobierców, albo też, jak to niektórzy myślą, z powodu, że Słowacki w ostatnich chwilach życia miał żądać, ażeby część jakaś jego literackiéj pozostałości była wrzucona w ogień.

Przeszłego życia mego nie żałuję — pisał do matki d. 18 marca 1843 r. — ani pogardzam tą podstawą, którą sobie wybudowałem i z któréj mi téraz łatwiéj postępować wyżéj. *Sądzę, że w kwiatach, które mi kwitły, są niektóre wonie prawdziwe i potrzebne stworzeniom oddychającym.* Ale dzięki Bogu, żem przez te flety nie wydał całego ducha i nie wylał całéj duszy mojéj; a to co zostało, nie będzie stracone“... „Módlcie się

więc, aby Bóg jak najprędzéj raczył spełnić swoję łaskę dla świata i przybliżał czas odkwitu. Każda godzina bowiem teraz jest ważna, a lenistwo ducha grzechem jest“...

A zatém przypuszczał wprawdzie Juliusz, że między dawniejszymi jego dziełami niektóre może są woni prawdziwéj i przydatnéj oddychającym; lecz od téj pory zadanie swoje pojmował już inaczéj. Chodziło o to, aby to, co w nim zostało z ducha i nie było jeszcze straconém, jak najprędzéj się dokonało; każda bowiem godzina ważna! Nowe zatém przedsięwzięcia zwróciły na się całą jego usilność. A dawniejsze prace poszły na odstawkę — w zapomnienie...

Jedyny z utworów dokonanych już dawniéj, który został ogłoszony po przystąpieniu autora do Towiańszczyzny, był to:

Książę Niezłomny Calderona. Paryż roku 1844. 12⁰ str. 172.

Dawniejszy zamiar stworzenia cyklu z sześciu fantastycznych dramatów, osnutych na tle legend z przedhistorycznéj narodowéj przeszłości, zamiar ten poszedł obecnie w zapomnienie.

Dalsza praca nad Beniowskim postępowała wprawdzie swoim torem i po roku 1842, ale postępowała dorywczo i że tak powiem, targana coraz innym duchem, jaki wrzał wtedy w piersi poety. To jest przyczyna, dlaczego ten poemat przedstawia w drugiéj, niedawno ogłoszonéj części swojéj, postać tak choatyczną, chociaż ustępy

z osobna brane są nieraz niepospolitéj siły i piękności. Wreszcie w r. 1843, a najpóźniéj 1844, została praca ta zupełnie zarzucona. Natomiast pojedyncze pomysły, które podług pierwotnego planu miały wnijść w skład téj rozległéj kreacyi, a może też nawet i były już w niéj przeprowadzone, zostały teraz podjęte na nowo i wykonane z innego wcale punktu widzenia. Jeden z nich dotyczył chwili samego zgonu owéj proroczéj postaci, która tak wydatnie występuje w Beniowskim; drugi polegał na ubocznym epizodzie przygód rodziny Gruszczyńskich. Tak powstały dwa dramaty oddzielne: „Ksiądz Marek“ i „Sen srebrny Salomei“. Odpowiednie pieśni Beniowskiego uległy w skutek tego umyślnemu może teraz zniszczeniu; tak iż tylko dochowane mimo autora woli urywki, odszukane na ulotnych i luźnych kartkach, dostarczają świadectwa, że sceny te już i kiedyś dawniéj zaprzątały fantazyą Słowackiego — w odmienny sposób.

Ksiądz Marek był pisany w ciągu roku 1843, w miesiącach latowych, najpóźniéj w lipcu, — jak to wynika niewątpliwie z zestawienia okoliczności opowiedzianych w rozdziale poprzedzającym, ze wzmiankami niektórymi o tém w listach Słowackiego do matki. Wyjście z druku rzeczonego dramatu przyszło do skutku w listopadzie onegoż roku. Imię autora było wyrażone na samém czele tytułu:

„Juliusza Słowackiego **Ksiądz Marek.** Poema dramatyczne w 3 aktach.“ Paryż 1843. 12°. stron 158.

W piérwszych dwóch tygodniach tegoż miesiąca listopada (1843) zaimprowizowany został drugi ów dramat, który wyszedł z pod prasy dopiero w styczniu 1844, pod tytułem:

„Juliusza Słowackiego **Sen srebrny Salomei.** Romans dramatyczny.“ Paryż 1844. 12°.

W kilka miesięcy po wydaniu tego drugiego utworu znalazł Słowacki sposobność posłania matce przez znajomą osobę obydwóch tych ostatnich dzieł swoich razem; a wyprawiał je tém skwapliwiéj, że się spodziewał, iż je matka z radością powita i z dumą będzie odczytywała, jako dzieła, które (zdaniem jego) podyktowało natchnienie, do wysokości jakiego nigdy on się w dawniejszém swojém życiu jeszcze wznieść nie potrafił. Tymczasem przyjęcie książek tych przez panią Becu było zupełnie inne! Wprawdzie nieznane mi są względy, pod którymi głównie dramaty te sprawiły niemiłe wrażenie na światłéj matce ich autora; listu jéj bowiem pisanego o tém (jako i żadnych w ogóle listów matki do syna) nie czytałem. Że uwagi jednakże udzielone Słowackiemu w rzeczonéj chwili o Księdzu Marku i Śnie Salomei musiały być niekorzystne i bynajmniéj niezachęcające autora do dalszych kroków na takiéj drodze: o tém przekonywa jego odpis, dany wtedy w odpowiedzi na owe uwagi matki. Był to odpis niezmiernie długi, a jeszcze więcéj cierpki i prawiebym powiedział gromiący! Gorycz jego dochodziła do tego stopnia, że napisawszy go, sam Juliusz spostrzegł się wcześnie, że się w rozdra

żnieniu za daleko posunął. Czując zatém niewłaściwość tonu, jakiego sobie tym razem względem matki pozwolił, nie oddał listu tego na pocztę, ale napisał inny, krótszy i spokojniéj ułożony; tamten zaś list pozostał u niego między papierami, z których go dopiero po śmierci poety, porządkując wszystkie jego rękopisma wydobyto i jako ciekawy dokument dołączono do całego zbioru korespondencyi.

Ażeby wyrozumieć ówczesne, nad wszelki wyraz excentryczne usposobienie poety, uważam za stósowne przytoczyć z rzeczonego listu kilka dłuższych wyjątków.

. . . „Jest zwyczajem Anglików, zwłaszcza w klasie piwowarów krwistéj organizacyi, że co miesiąc używają emetyku, a bez tego zabiegliby krwią, obrośli sadłem, stracili wszelką myśl i energią. Dla tych ludzi Bóg stworzył dawno emetyk; a teraz przysłał doskonalsze lekarstwo, to jest denerwującą muzykę Chopina. — Gdy zobaczysz taką ciężką istotę, nad którą ciało otrzymuje codzienne zwycięstwo, radź jéj jednę lub drugą kuracyą. Lecz lękaj się obu dla ludzi zwiędłych i schorzałych, bo po emetyku część ciała własnego wyrzucą, a po koncercie Chopina część duszy własnéj utracą. I Ty droga moja — czuła — dobra — litośna — miłująca — siadłaś pisać do mnie, wypłakawszy się w kącie z duszy całéj — wypłakawszy się napróżno, więc grzesznie — wypłakawszy się dlatego, bo Cię semitonami i dyssonancami polonezy Chopina łaskotały po wszystkich nerwach. Wiesz więc, co napisałaś? — Oto list, który dla nerwowego, sentymentalnego człowieka wydałby się pełnym czułości —

a dla człowieka prostego, z sercem — jest listem zupełnie bez serca pisanym!... Ja także, droga moja, bardziéj teraz niż Ty otwartym być muszę, bo tu o duszę Twoję nieśmiertelną chodzi. Otóż powiem Ci, coś napisała. — Zaczynasz od prostego wyrzutu, że marnuję moję zdolność, od wyrzutu, że nie piszę tak, jak dawniéj pisałem. — Jeżeli ja rzeczywiście byłem kiedyś w szczęściu, a dziś podupadłem, bo bogactwo myśli jest państwem w aniołów krainie; jeżeli więc prawdziwie (a Ty wiesz, że bez winy własnéj) podupadłem: to powiedz mi, czy to do Ciebie należało, pokazywać mi, że w płaszczu dziurawym ujrzałaś mię w swoim eleganckim szopenowym salonie? — Drugi, gorszy grzech popełniłaś, cytując mi zdanie Adama, które on, umiejący dobrodusznie a głęboko urągać, rzucił przed piętnastu laty, przeczuwszy że ta plotka, gorsza stokroć, niż artykuł dowodami wsparty, będzie biegała po kraju. Ludzie leniwi wzięli ją i przyjęli za zdanie powszechne. Przez piętnaście lat stanowiła ona u niejednego niby szacunek mojéj osoby. Niejeden już na słowo Adama nigdy nie zajrzał do pustego kościoła poezyi moich. — Jam to wszystko przełamał, upornie idąc krok za krokiem — nie artykułami gazetowymi, ale samém wnętrzem pism moich. Ta plotka jak nietoperz czarny gdzieś ulatywała w kąt niebios: — a Ty mi ją, z całą świeżością, nową oddałaś w liście!... Cóż następuje? Oto rada, abym się nie spieszył z drukowaniem, a ochłonąwszy z gorączki odczytał utwór mój, jak gdyby był utworem innego pisarza. — Pomyśl droga, jak ta rada jest złą i fałszywą! Więc Ty chcesz, abym ja przez pryncypium zwyczajne świata, to jest emulacyjną zazdrość, postępował i tę brał za podstawę i duszę moich czynów?

To jest: jeżeli przeczytałbym jaki własny poemat a pomyślał: — ach! teraz Adam pęknie z zazdrości — albo Szekspir wróciwszy z grobu omdleje: to w takim razie powinienbym być kontent z siebie?... Widziałem raz dziecinę, któréj na nowy rok bardzo ładne cacko matka kupiła; a ta, uniesiona radością — wykrzyknęła: otóż teraz Józia pęknie z zazdrości! Ta Józia była to jéj przyjaciółeczka, dziecię uboższych rodziców, które tak piękném cackiem pochwalić się nie mogło... Teraz pomyśl Ty, że natchnienie jest darem aniołów — i zrozum, jakim Ty sposobem zalecasz mi oszacowywać radość moję z podarunku...

„Nareszcie koniec listu jest, że utwory moje dlatego Ci są miłe, że w każdym mówię o sobie, a Ty sobie moję postać przypominasz... Powiedzże mi droga, jakże ja do tych przemawiać będę, którzy mi nie są matkami? — Najokropniejszą to jest krytyką wierszy moich, droga moja, że one wszędzie o sobie gadają! — Nareszcie ostatnią prośbą jest, abym się nie gniewał i nigdy za złe Ci nie miał niczego... Boga na świadka biorę, żem ten list krytyczny skrytykował duchem, wiedząc dobrze, że on nie z głębi Twojéj wyszedł, ale z téj nieszczęsnéj atmosfery smętnéj błąkających się teraz dusz najpiękniejszych, które chcą koniecznie, aby im ludzie smętku do smętku dolewali. Chorzy jesteście i chcecie, aby wszyscy podobnie wam jęczeli. Nerwami już, nie sercem czujecie! Lubicie, co wam nerwy rozczula — a wstręt macie do zdrowych pokarmów. — Widziałaśże Ty, żeby kto nazajutrz po rozczuleniu wielkiém, przez Chopina muzykę sprawioném, stał się lepszym — piękniejszym — litośniejszym. wyrósł na bohatera? — Jednę mi osobę zacytuj, a wyznam, żem nie miał racyi potępienia...

. . . „Jednak i ja nie jestem bez winy — bo winą moją jest użycie imienia świętego; a to wcale mi do głowy nie przyszło, kiedym pisał...*) Lecz i tu pomyśl Ty droga: gdybym ja napisał naprzykład Indianę stylem pani Sand, i tę kobietę dwa razy niewierną — dwa razy splamioną — biegającą po mieście aż do mieszkania amanta, nazwał Twojém imieniem — ale to wszystko nie z prostotą człowieka, ale z Chopinową całą dyssonansowo - kwaśno - melancholiczną potęgą i sztuką draźnienia nerwów i błyskotnością kolorów posłał Tobie...? Rzekłabyś, że cud cudów!! Więc jest jakiś sposób mówienia rzeczy ohydnych, które je zmienia w anielskie?... Droga moja, pomyśl nad tém, nim potępisz którekolwiek z moich wyrażeń, nim je nazwiesz niewłaściwymi i nie po polsku!.. A te nie po polsku — co za wyrażenia? Więc jest kilka frazesów przyjętych, w które ja koniecznie muszę się ubrać, nim wystąpię? Zamiast powiedzieć krótko: kocham Cię — drukując tosamo muszę wyrazić się w bezokolicznym trybie, naprzykład posiadasz serce Twego syna? — To okrągło i pięknie! — Tak gadają i piszą umarłe narody! Piszą językiem, którego potém w mowie potocznéj użyć nie mogą. Taką jest literatura włoska. Patrz, jakie cudowne poemata — patrz, jak łatwo Włochowi napisać sonet lub dytyramb: wszystkie frazesy ma gotowe, całe toki mówienia przeżute. Lecz wiérz droga, że Włoch tensam listu napisać nie umie! Znajduje się w podobnym razie, jak nasza sawantka, która musi użyć francuskiego języka.

---

*) Widać matka Juliusza bynajmniéj mu nie dziękowała za to, że takiéj właśnie osobie, jak bohaterka w Śnie Srebrnym Salomei, odważył się dać jéj imię chrzestne.

Inni więc krzyczą na użycie francuszczyzny — przeklinają eleganckie salony; a ja staram się inaczéj o wyprawienie za drzwi tego jegomościa — to jest, daję wam w poezyi język gadany, prosty, niewymuszony, który każdą myśl, jak potrawę — ciepłą na stół podaje...

„Słowem, widzisz droga moja, że w tym liście Twoim ani razu nie byłaś opiekuńczym duchem, ale córką moją, która mi zamyślonemu głęboko rady daje, a ja słuchać ich muszę, ale się wewnętrznie uśmiecham... Inaczéj było z pierwszym listem! Był on prosto wypowiedzeniem uczucia Twojego serdecznego i był świętym dla mnie... Odrysowałaś w nim poemat, o jakim marzyłaś, a to marzenie było prawdziwie piękne! tak piękne, żem uczuł niemoc własną, jak architekt ogromnym planem budowy podanéj mu do wykonania zatrwożony,.. Widzisz więc droga moja, że nie wtenczas, kiedy Cię wyższą i piękniejszą od siebie samego duchem zobaczę, ja smucę się; ale wtenczas, kiedy Cię widzę ze światem gdzieś daleko za mną zostającą, to mię rozpacz bierze! Bo za Tobą wprzód idącą ja zawsze dolecę kiedyś i będę przy Tobie. Ale dla Ciebie wrócić — ani ojczyzna, ani sprawa boża mi nie pozwoli...

. . . „Biada duchowi Twemu, jeśli Cię ten list obrazi albo zasmuci. Zatrwóż się wtenczas w sobie i pomódl się, i odczytaj go znowu — spokojnie i święcie. Odczytaj mówię, te wyrzuty Twoje i rady — i pomyśl, czyliby one mogły były dane być przez Chrystusa? Z tym jednym tonem ewangielicznym możemy równać nasze utwory, aby zobaczyć ich wartość. Otóż ja Ci powiem, że przed Chrystusem nie śmiałbym deklamować z zapałem ani „Szwajcaryi" ani innych osobistych

poematów. Ale deklamowałbym spokojnie opis walki na stepie z trzeciego aktu Salusi, albo też Wernyhory dramę w piątym... Więcéj Ci powiem: wystaw sobie chłopka bogatego z rodziną już czytać umiejącą — za sto lat — w cichym gdzieś domku pod Krakowem. Odpoczywa po wojnie — szczęśliwy! — ogień pali się w izbie, a przy kalendarzu już i niektóre książki znajdują się na stole. Wystawże go sobie, że czyta Balladynę. Ten utwor bawi go jak baśń — a razem uczy go jakiéjś harmonii i dramatycznéj formy. Bierze Lillę — tosamo. Mazepa trochę mu się już wydaje nadto deklamatorskim. Lecz ujrzał Godzinę Myśli, albo Lambra — i rzucił ze wzgardą te melancholiczne skargi dziecka niedorosłego! Otóż dla tego chłopka jest Salomea — Ksiądz Marek — i Książę Niezłomny, ten Książę który mi kości wewnętrzne połamał — gdzie są pioruny poezyi, a z którym Ty nie masz żadnego związku, bo nie na nerwy, ale na samo czyste czucie uderza — nie melancholią, ale boleść obudza — nie rozhartowywa czytelnika, ale go czyni silnym i podobnym spokojnemu aniołowi. — Proś Boga najwyższego w dzień i w nocy o poezyą dla żywych ludzi... Kto pierwéj z taką poezyą przyjdzie, ja mu ze wszystkich książek moich postument zrobię i sam się położę pod nogami, aby stał wyżéj i prawdę zawsze oglądał z wysoka. A póki takiego nie ma, nie równaj mnie z nikim — ale proś o ducha świętego i z ducha tego dawaj mi rady, a wtenczas będziesz mi prawdziwie opiekunką.“

Matka poety załączyła była do listu, na który Juliusz obecnie odpisywał, nie wiem w jakiéj właściwie myśli, dwa wizerunki Najświętszéj Panny:

jeden z nich był kopią jakiéjś artystycznie, wytwornym pędzlem wykonanéj Madonny i był przeznaczony dla Juliusza; drugi wyobrażał z całą prostotą obraz Matki Boskiéj berdyczowskiéj i był tu dołączony jako podarunek dla — Kirkora (w Balladynie). Do tychto więc dwóch obrazków ściągało się, co mówi autor w poniżéj przywiedzionym ustępie:

„Z listu Twego wypadł naprzód obrazek N. Panny — ale nie ten Twój, tylko ów drugi, rycerzowi mojéj tragedyi posłany. O jakże mi widok téj prostéj Królowéj w koronie... z berłem w ręku i z maleńkim Zbawicielem, a już z dzieciątkiem niby chudém i smutném — w płaszczu który mi się wydał błękitnym, liliami złotymi uhaftowanym... jak mi ten widok był rozczulającym i rodzinnym!... A napis: „Berdyczowska“ — tasama, która nademną sto dzikich koni niby na skrzydłach anielskich przeniosła, abym był żyw dotąd i służył Bogu...*) o jak to wszystko mi łzy wydarło! Natychmiast w jednéj chwili te wszystkie wspomnienia — królewskość jéj — w tym sztychu nawet jakaś święta niemoc prostoty — uderzyła na mnie cudowną potęgą... A potém w liście Twoim druga... pięknie ubrana, z dzieckiem rumianém, w któréj nic nie było świętego, tylko myśl Twoja i chęć Twoja i dotknięcie rąk Twoich. — Wieszże Ty, kto to jest Najświętsza Panna? Oto przez cztery tysiące lat cała

---

*) To się odnosi do rzeczywistego wypadku, który się zdarzył kiedyś w dzieciństwie Słowackiego, kiedy on razem z matką odbywał jakąś podróż z Krzemieńca do Żytomierza i Berdyczowa.

natura — wszystkie ludy przeczuwały, że raz przez kobietę rozmiłowaną w Bogu złamane będzie prawo natury najpierwsze... Poeci przeczucie to zamieniali w kształt i ciągle o tém gadali; bo przyszłość tego cudu dawała się czuć duchowi świata. Stąd tyle Nimf greckich lub dziewic, które z Bogiem są zamężne. Wielkość tego przeczucia zatrważa — powszechność jego zadziwia! Otóż duch Najświętszéj Panny spełnił cud — i ludzkość cała, jakby otrzymawszy to czego się spodziewała, przestała marzyć o półniebieskich związkach...*) Jakiżto więc duch był wielki i zdolny cudownéj bożéj miłości, kiedy zaspokoił serca bijące przeczuciem od lat tylu, w tylu ludach! A ta Matka, ściśniona miłością bożą, z jakim strachem i uszanowaniem musiała patrzeć na dziecko własne — ona jedna, która wiedziała, że miłością bożą ducha boskiego wywołała z niebios — i ten duch siedzi na rękach u niéj — dzieciątko małe, a już cierpiące nad światem!... Ja, droga moja, byłem w Nazarecie i poszedłem do lasu oliwnego, siadłem przy studni i czekałem, azali mi się jaka postać podobna między Nazarenkami po wodę przychodzącymi nie zjawi... Otóż nie podług Twego obrazka oczekiwałem czegoś podobnego do niéj — ale podług téj Berdyczowskiéj, tylko w tęczowych kolorach — z niebieską przezroczystością i blaskiem. Wiem ja, że wizerunek jest niczém — ale jednak powinien być duchem wybrany podług uczucia. A ja chciałbym, ażeby uczucie Twoje było srebrne, jak gołębica. Kirkor swój obrazek może nosić na piersiach podczas batalii — i po batalii leżeć

*) Porównać z tém miejsce w Królu-Duchu w tomie Pism pośmiertnych IIgim na stronie 203 i 204.

z nim, cały krwawy, twarzą do Boga. A ktoby zobaczył, zapłakałby mówiąc: oto święta jakaś z jego ojczyzny przyniesiona... Ja mój obrazek za lustrem zatknąłem i jest mi drogi — ale nie odpowiada memu smutkowi i często bolesnéj twarzy"... itd.

W tym sporze między matką a synem my czytelnicy dziś podobno będziemy musieli stanąć stanowczo po stronie pierwszéj; a możemy to uczynić z tém większą pewnością siebie, że i sam autor, już we dwa lata późniéj, z żalem i wstrętem wspominał — wprawdzie nie o obu utworach, których wtedy tak gorąco przed matką bronił, ale o Księdzu Marku. Przytoczę w jednym z dalszych rozdziałów dosłownie, co w téj mierze w r. 1846 Słowacki do Krasińskiego wyrzekł o owém dziele i o stanie duszy, który to dzieło spłodził. Tutaj zaś tylko dodaję, że jeżeli téj gorzkiéj krytyki nie rozciągnął wtedy autor nasz i do Snu Salomei, to tylko przeto, iż nie było przy owéj sposobności żadnéj do tego przyczyny, żeby mówić także i o owym drugim utworze. Gdyby go jednakże był kto wtedy zagadnął i o Sen Salomei: toby był przyznał pewnie i tutaj poeta „wątłość dzieła i nędzę zewnętrzną w wykonaniu".

Rzeczywiście bowiem miała słuszność matka poety, kiedy twierdziła, że obydwa te dzieła jak niebo od ziemi różnią się od wszystkiego, co dawniéj pod piórem Słowackiego powstało. Sam już styl i zewnętrzna forma takowych okazuje coś szczególnego. Są to rzeczy niby dramatyczne, a ileż jednak zdarzeń najistotniejszą część osnowy tworzących, jest zbytych tylko w luźnéj formie opo-

wiadania. A jakie też nieraz dziwne jest ono opowiadanie! W ogóle dykcya tu przypomina rozbujałość poezyi wschodniéj. Jest ona jakaś nieunoszona i nieujęta jak powódź, a leje się dyalogiem wezbranym nad wszelkie karby prawdopodobieństwa i miary. Po półtora sta, po półtrzecia sta, czasem po cztéry sta wierszy z górą jest włożonych w usta jakiéj figury perorującéj jednym tchem — bez żadnéj przerwy ze strony ludzi, do których prawi. Szczególna ta gadatliwość osób dramatu nie daje się spostrzegać w żadnym z dawniejszych utworów autora Mazepy.

Może niejeden z czytelników zechce tę dziwną rozwlekłość tłómaczyć uwagą, że w owéj porze Słowacki szczególniéj zajmował się Kalderonem. Zasiadł do Księdza Marka wkrótce po dokonaniu przekładu El principe constante. Wyobraźnia iego nastrojona więc była, że tak rzekę, na ton tego hiszpańskiego poety. — Nie chciałbym żadną miarą przeczyć temu, iż niejedna odrębność formy czy to Księdza Marka czy Snu Srebrnego składaną być rzeczywiście powinna na karb tegoto wpływu. Aż do pewnego stopnia mogła niezawodnie ta bujność wyobraźni i wysłowienia, ta przewaga opowiadawczych i lirycznych żywiołów nad ścisłą akcyą, równie być następstwem przejęcia się tradycyami sceny hiszpańskiéj, jak ów wiersz krótki ośmiozgłoskowy, którym obydwa te dramaty są ułożone, albo jak wreszcie ów podział Snu Salomei na „Zmiany“ w taki sposób, że każda w akcie „piérwsza“ zmiana odpowiada scenie drugiéj według skądinąd używanéj praktyki, a „druga“ zmiana

znaczy tyle, co t r z e c i a s c e n a itd. Mimo to wszystko nie sądzę jednak, żeby wszystko, co nas razi w tych Słowackiego pracach, dało się tłómaczyć samym tylko Kalderonizmem. Poeta nasz w owych latach nie mógł być naśladowcą na oślep obcych zalet i obcych błędów. Zresztą jest też niewątpliwie u niego tych wszystkich rzeczy, co zadziwiają, daleko więcéj, aniżeli u Kalderona; a raczéj — w téj ostateczności i przesadzie, u Kalderona nie ma ich wcale!

Byłżeby Kalderon lub sam autor Lilli Wenedy dawniéj darował sobie, gdyby mu kto w jego utworze był pokazał taki oto np. ustęp?

„Wtém, o Panie, na ohydne
Cmentarze i uroczyska,
Pod ciemne lip wężowiska,
Od kurhanów na kurhany --
Wiodąc świateł złotych roje,
Przez miesiąca ołowiany
Blask — sunąc chorągwi tęcze,
Na wieczności gdzieś pokoje
Snujący złote obręcze
Wąż — pogrzeb wioszczany lichy,
Pachnący czarnym jałowcem,
Wszedł i rzucił nad grobowcem
Trumienkę, bez żadnéj pychy
Ale ubraną w kielichy
Narcysowe i w konwalie;
Jasna bo w niéj anielica,
Ubrana jak na batalie
Z piekłem, w słoneczności lica
I w niewinności ubiory,

I w te ostatnie kolory
Śmiertelnéj podobne zorzy,
W ostatni rumieniec przedboży,
Leżała.“ *)

To wszystko jest jedno zdanie! jeden obraz pogrzebu ciągnącego zwolna przez stepy. I mówi to najrozumniejszy człowiek w dramacie, jedyna w nim prawdziwie bohaterska natura, rycerz nie gawędzeniem wsławiony, ale dzielnością. Słowem: Sawa to mówi! Peroruje zaś tak przed samą bitwą, wśród półtrzecia sta wierszy takiéj saméj dalszéj gawędy, ujętéj w zdania mniéj więcéj tegoż kalibru!

Żeby takie rzeczy pojąć — u Słowackiego! — nie można się zaprawdę zaspakajać odwoływaniem do tych lub owych okoliczności literackich, jak np. do studyów nad Kalderonem. Był to raczéj skutek przewrotu, jakiemu podległo całe stanowisko poety od piérwszéj chwili, kiedy do koła Towiańszczyków przystąpił. Był to owoc — że tak powiem: jego nowéj wiary.

Od téj pory wyrobił on w sobie bowiem to przekonanie, że wszystko piękne i prawdziwe i wielkie, czego człowiek dokonywa, nie dzieje się jego własnym rozumem, ale się staje za sprawą należnego doń ducha. Duch ten — wedle niego — to istota najzupełniéj odrębna, będąca w ciągłym prądzie działania w wytkniętym ściśle kierunku.

*) Z aktu IVgo sceny pierwszéj Snu Salomei, str. 267 i 268 wydania lwowskiego. Nie jest to bynajmniéj miejsce szczególnie upatrzone, lecz wzięte na chybi-trafi.

Ciało i cała osobistość człowieka, ze wszystkimi nawet władzami umysłowymi — to tylko doczesny pobyt onego ducha, jakby naczynie które on zapełnia, ażeby je po zużyciu odrzucić i zamieniać po kolei na coraz inne. Ponieważ duch mieszkający w człowieku, nie może w ciągu jednego życia dopełnić całéj misyi, dlatego po zgonie albo się rodzi napowrót w nowém jakiém ciele i ciągnie daléj pracę poprzednich żywotów, albo też jako duch niewcielony i niewidzialny okrąża głowy ludzi mających w sobie pokrewne duchy i wpływa swoją potęgą na nich, ażeby im do ostatecznego spełnienia danego posłannictwa dopomóc. Im więcéj tedy człowiek się poddaje tajemniczemu pchnięciu czy to tego ducha, który przez niego działa, czy też owych duchów, które go okrążają: tém pewniejszym być może, że to co działa, jest jego obowiązkiem istotnym. Przeciwnie, im więcéj polega na sobie samym i na własném swojém zastanowieniu, im więcéj ufa swojéj, w trudzie i znoju pozyskanéj wiedzy i bierze rzeczy, jak to mówią, na rozum: tém więcéj właśnie przez to stawia oporu owym wyższym nieśmiertelnym natchnieniom, a tém samém tém więcéj błądzi i grzeszy...

. . . „Wystaw więc sobie — są słowa poety naszego wyrzeczone w liście do matki z d. 28 lipca 1843 r. — że duch każden ma swoję misyą na ziemi; że duch każden zawięzuje stósunki z podobnymi duchami bez ciała już będącymi, które także podobną misyą miały i o dokończenie jéj dbają. Możemy więc uczuciem łączyć się z nimi, a one wtenczas nam dają natchnienia, i według naszéj wiary i czystości coraz wyraźniéj je

mówią do serc, a potém nieraz do uszu i do oczu. Cały więc lud nasz umarły dawno jest z nami — i to jest obcowanie świętych, którego księża nie mogli nam wytłómaczyć, to jest wlać go w wiarę naszę. O! uczuj to droga i wypracuj, a obaczysz, w jakiéj my wielkiéj rzeczypospolitéj żyjemy; obaczysz, dla czegom ja po morzach wędrował i po pustyniach błądził, a nigdy mi się nic złego nie stało. Bo wiedziały duchy, że ja w swoim czasie może będę potrzebny.“ itd.

Przyjąwszy tedy powyższe założenie za dogmat, miał poeta nasz to przekonanie, że kiedy chodzi o dobitne a skuteczne przelanie w ludzi tego co im potrzebne jest wiedzieć, czy to za pomocą mowy czy pisma: starać się trzeba o jak najzupełniejsze poddanie całego swego jestestwa téj bezpośredniéj mocy ducha, co działa przez nas, a o jak najdalsze od współdziałania usunięcie tych wszystkich władz naszych własnych, któreby kontrolować może chciały to co się czyni z ducha. Będąc tedy autorem, im się bardziéj pisze na oślep, jednym tchem, duszkiem: — tém lepiéj!

Z téj to przyczyny znajdujemy często takie oto wyrażenia w jego korespondencyi:

„Droga moja! trudność mam wielką w pisaniu tém; albowiem nie jest to pisanie i uwiadamianie Ciebie, ale przelewanie ducha, który mię ożywia, w Twojego ducha“... (D. 18 marca 1843 r.).

... „Jak szalony piszę prędko, chcąc aby jak najwięcéj ducha wylało się ze mnie i poszło utwierdzić, żywić Ciebie i rozmiłowywać w Bogu i przywiodło do celu, nie katując

mię cieleśnie, ale łagodnie prowadząc *(sic)*. On staremu memu duchowi, co już długo musi na świecie żyć, bo wiele sobie instynktowie przypomina z dawnych żywotów, pozwolił teraz dowiedzieć się nareszcie, jak mam dopełnić misyi, abym nie potrzebował już wracać i oblekać gorsze lub lepsze ciało, ale abym już poszedł między aniołów i stamtąd jeszcze natchnieniami, miłością dopomagał tym, co za mną idą... Pisałem tak, żem się aż zmęczył, i lękam się odczytać słów napisanych, bez ładu bowiem i z przeładowaniem być muszą. Ale cóż robić! Ty dobra, Ty miłą jesteś wielu dobrym duchom tych, co już poszli ze świata; będziesz więc miała wielu tłómaczów i tych, którzy prawdę potwierdzą." D. 28 lipca 1843 r.).

Zastósujmy to, co tu w liście czytamy, do tamtoczesnych dzieł poetycznych Juliusza: a będziemy mieli wytłómaczoną całą zagadkę. Pisał on wszystko w téj porze, że tak powiem, jednym pędem, nie zastanawiając się wcale nad tém, co pisał i jak pisał. Nawał pomysłów i obrazów, cisnących mu się w gorączkowo usposobionéj wyobraźni pod pióro, uważał za przysłany sobie z woli wyższéj i nie przebierając robił użytek ze wszystkiego. A napisawszy — nie śmiał już nic wykreślić ani odmienić, ponieważ poczytywał to sobie za podyktowane niejako z góry. Nie był Słowacki tedy już względem utworów swoich artystą, sędzią, twórcą odpowiedzialnym; ale widzimy w nim jedynie ślepe narzędzie w dłoniach czegoś drugiego, coby trudno było sprowadzić do jakiejś nazwy.

W najdosłowniejszém zatém znaczeniu uważać można obydwa te dramaty jego ostatnie za prawdziwe improwizacye. Były to improwizacye i ze względu na dykcyą, na wiersz, na całe wykonanie zewnętrzne — i ze względu nawet na pomysł. Boć i nad tą wewnętrzną stroną kreacyi nie rozmyślał on już odtąd zbyt wiele. Przyszła mu jakaś idea na myśl — uczuł w sobie, jak się zwykł był wyrażać, jakby mocne pchnięcie od Ducha do pracy: porywał tedy za pióro w piérwszém natchnieniu i tak — bez artystycznego obmyślenia inwencyi — rosły postaci i zdarzenia pod tém pióerem jego rozbiegłém, aż dzieło stanęło całe. Rozumie się, że nie kto inny, tylko poeta je stworzył; ale sprawy on z nich sobie ani zdawał ani chciał zdawać. Nie sądził bowiem, żeby i to jeszcze należało do niego.

. . . „Teraz Ci powiem, droga moja (pisał d. 30 listopada 1844 r.) że ja sobie żadnego z moich utworów teraźniejszych wytłómaczyć nie mogę. Nie wiem bowiem, skąd przychodzą, i dokąd idą; ale czasem względem nich są dziwne okoliczności, które mi dowodzą dziwnego związku tych rzeczy z światem niewidzialnym, a stąd i potrzeby ich dowodzą. Widzisz Ty, jak ja ukochałem Księcia Niezłomnego, w którym Chrystus w Afryce zwycięża, lecz nie przez miecz, ale przez męczeństwo. A ledwom ja to wymalował na nowo i pokazał: odpowiedział mi zaraz Chrystus grzmotem dział i pokazał różnicę, jaka między jego przeszłymi a przyszłymi zwycięstwami być powinna. W kilka godzin upadło przed nim Tangierskie mocarstwo... W innym rodzaju, ale nie mniéj dziwny

wypadek był z moim Salmonem z Lilli Wenedy. Oto w istocie w rok potém pewien Salmon zabił jakiegoś Juliusza w lesie — nie dla pieniędzy, ale tak jak w tragedyi, dla wzięcia papierów i nazwiska zabitego człowieka. Zabójstwo to zostało odkryte i ukarane. A dla mnie jest rzeczywistą krytyką, przez jakieś duchowe władze krwawymi literami napisaną. Mniejszych mnóstwo mógłbym Ci zacytować wypadków. Kurd jeden, który mi konie wynajął w Jerozolimie, gdym jechał do Nazaretu, nazywał się Kirkor — tak samo jak ów Kirkor, który wykrzykuje w tragedyi (w Balladynie), że gdyby był przy męce Chrystusa, to zbawiłby zbawcę itd. Dlaczegoż ten rycerz pokazał mi się w Jerozolimie?... Rzeczy te małe, uważane dowodzą, że spełniamy jakąś misyą; że nas trzeba było, kiedyśmy byli; a nie będzie, jak nie będzie potrzeba"...

Po tém wszystkiém, com powiedział, rozumiem, że nie będę się potrzebował tłómaczyć przed czytelnikiem, dlaczego nie uważam za stósowne podejmować właściwego rozbioru Księdza Marka i Snu Salomei. Są to rzeczy, któreby rozbioru szczegółowego wcale nie wytrzymały. W Księdzu Marku znajdują się niewątpliwie tu i owdzie (a szczególnie w akcie I) ustępy genialnie napisane i takiéj siły, że małoby który utwor dawniejszy — nie tylko Słowackiego, ale któregokolwiek z najznakomitszych poetów naszych, potrafił ukazać w składzie swoim coś podobnego! Ale całość kompozycyi i ogólne autora założenie żadną miarą myślącego człowieka zaspokoić nie może. Czytałem przed kilku laty jakiś nibyto rozbiór tego dramatu, napisany przez jakiegoś bezimiennego,

który o nim sądził inaczéj. *) Argumenta owéj krytyki niestety nie zdołały mi otworzyć oczu na osobliwe piękności, jakie w nim autor szanowny ten upatrywał! Zdaje mi się, że trzeba szczególnego bałwochwalstwa dla talentu Juliusza, ażeby posunąć się aż do wyrzeczenia słów, że „głęboko pomyślany i mistrzowsko rozprowadzony jest ten dramat“. Byłbym niemało wdzięczny autorowi, gdyby krótko a węzłowato raczył wypowiedzieć ów pomysł, który mu się w Księdzu Marku wydawał tyle głębokim; i gdyby nie w luźnych słowach, ale w sposób właściwy chciał wskazać objawy upatrywanego w nim mistrzowskiego przeprowadzenia. Możebyśmy przy téj sposobności usłyszeli jakie nowe idee estetyczne, któreby nam przyniosły nowe kryterya piękności w sztuce... Że w Księdzu Marku trafiają się tu i owdzie potężne szczegóły, to sam z góry przyznałem. Takowe jednakże nigdy się z sobą nie kleją i nie tworzą w połączeniu takiego ogólnego obrazu, któryby czytelnika zachwycał i podnosił... Ksiądz Marek ma skądinąd tę jeszcze niepospolitą zaletę, że czuć w nim pęd bezpośredni natchnienia i surowę wiarę pisarza w to wszystko, co wypowiada. Widać też i obecność utajoną na dnie serca poety, pewnéj żywotnéj myśli, o któréj na jaw z wielkim trudem wydobycie mu chodzi. Myśl ta wszelako zaledwie się snać dopiero była zrodziła w otchłaniach jego ducha. On jéj sam nawet jeszcze twarz w twarz nie ogląda! A i my ją

*) Obacz pismo krakowskie peryodyczne Turowskiego Niewiastę (r. 1862. Nr. 13 i następne).

w dziele jego zaledwie odgadujemy. Nie przyszło bowiem do tego, ażeby idea zamieszkała w całéj osnowie dzieła i była przeprowadzoną jak prąd elektryczny przez wszystkie jego włókna i części.

W ogóle trzebaby być choć do połowy Towiańszczykiem, ażeby mieć zdolność pochwycenia całéj intencyi autora. Wszystko tu bowiem polega na przypuszczeniach, na które, jeśli się nie jest w tym wirze pojęć, wcale przystać nie można. Każdy krok w postępie dramatu polega na interwencyi władz nadzmysłowych. Od cudownego wystrzału z działa, kiedy Ksiądz Marek Krasińskiego do pozostania w Barze na początku sztuki namawia, aż do śmierci bohatera w samym jéj końcu, wszystkie prawie sceny są to cuda! a co gorsza, cuda nieuzasadnione ze stanowiska poprzednich działań. Takie powiązanie zdarzeń, taka logika faktów — to już sfera, w któréj człowiekowi być zaczyna duszno i straszno i tak nieswojo, jak na cmentarzu o północnéj godzinie.

— „Sen Srebrny Salomei“ nierównie więcéj ma okrągłości i wykończenia, aniżeli utwor poprzedni. Mimo to jednak i tutaj ostateczny zamiar autora nie jest tak jasny, żeby sam przez się uderzał w oczy. Na piérwsze spojrzenie zdaje się to być tylko prosta udramatyzowana powiastka o dwóch małżeństwach, których dojście do skutku stało się podobném dopiero w skutek różnych nieszczęść i trwóg krajowych, jakie przeszły ludziom ówczesnym po nad głowami. Dlatego też zatytułował to dzieło swoje poeta romansem dramatycznym — a więc niejako powiastką, romancą.

Z tém wszystkiém przezierają i tutaj pewne ukryte, zaledwie dostrzeżone intencye głębsze, które ze sprawą tych dwóch małżeństw w przypadkowym tylko zostają związku, a dotyczą najżywotniejszych kwestyi całego społeczeństwa narodowego. Gdyby związek między osnową sztuki, stawioną że tak powiem na pierwszym planie, a tymi ideami ogólniejszego znaczenia był wydatniejszy; gdyby te idee, te wieszcze przekonania poety, te sądy o społecznych narodu naszego winach, fatalnościach a w najdalszéj perspektywie wreszcie nadziejach były więcéj sformułowane i artystycznie wcielone; gdyby nakoniec nie było ze strony i saméj formy tyle powodów do protestacyi: byłoby to jedno z najznaczniejszych arcydzieł naszych. Byłby to pomnikowy wyraz wieszczéj teodycei ducha polskiego! Ale właśnie téj pewnéj ręki, téj dokonanéj myśli artysty i filozofa nie widać w Śnie Salomei! Są tu tylko zarody i błyski genialnego pomysłu; ale do rozprowadzenia tego pomysłu i postawienia go na jaw wszem wobec i każdemu z osobna — na nieszczęście nie przyszło! Migają się tedy tylko od czasu do czasu przed oczyma naszymi złudne skazówki, w myśl których idąc, zdaje nam się, że potrafimy podążyć w ślady za pędem ideału poety. Ale każda taka skazówka przez krótką tylko chwilę wiedzie do celu, a niebawem potém zawodzi. Albo ją bowiem zgoła tracimy z oczu, albo też doprowadza nas ona do takich punktów widzenia, że patrząc z nich na to co się daléj otwiera, nie radzibyśmy szli dłużéj tąsamą drogą; zdaje nam się bowiem, że błądzimy po jakimś labiryncie, z którego nie ma wyjścia...

Dlatego też jeżeliby się miało określić etyczny sens Snu Salomei, trzebaby treść dramatu do połowy prawie zapomnieć. Tylko bowiem z oddalonego spojrzenia na całość téj zawiłéj i przeładowanéj kreacyi można odważyć się do robienia wniosków o głównéj intencyi jéj autora. Niejednoby też dopiero trzeba nadłożyć, a i niejedno jako niepotrzebne i zawadzające usunąć, jeżeliby miał stanąć przed nami czysty i cały pomysł poety.

— Po ogłoszeniu Księdza Marka i Snu Salomei Słowacki nie ustawał w ciągłéj pracy to nad tym, to nad owym przedmiotem. Nowe wyobrażenia, które wstrząsały całém jego jestestwem, nasuwały mu coraz dalsze widoki i zażegały go do coraz innych przedsięwzięć. Chodziło o poetyckie na jaw wydanie tego wszystkiego. Rzecz była trudna nad wszelki opis. Najoderwańsze pojęcia, najmglistsze filozofematy, najniklejsze błyski w genialnéj lecz chorobliwéj fantazyi, miały się przywdziewać w ciało i przetwarzać w kształty plastyczne. Najczęściéj kończyło się też na zamiarach, na planach, na samém tylko wreszcie zaczęciu dzieła. Już to niestósowność w samym wyborze przedmiotu, już przechodząca po za wszelkie granice sztuki przedmiotu tegoż rozległość, już nakoniec i samo to nieustające nasuwanie się coraz nowych projektów wytrącało poecie pióro z ręki nad rzeczami co tylko rozpoczętymi...

W następstwie tych wszystkich wyjątkowych okoliczności pozostało z téj epoki życia Słowackiego wiele pism różnych, noszących wyraźnie znamię jego usposobienia w tych latach. Jest między nimi

znaczna ilość wierszy ulotnych i lirycznych, po większéj części teozoficznéj treści. Niektóre z nich świadczą wymownie o dawnéj sile tego genialnego poety, niektóre znowu giną zupełnie w mglistościach mistycyzmu. Z téj też przyczyny zaledwie połowa tego, co się z lirycznych poezyi dało wyszukać w papierach po śmierci autora, mogło znaleść pomieszczenie w pozgonnym zbiorze dzieł jego.

Nie brak także i na dłuższych utworach, najczęściéj dramatycznego zakroju, które przypadają na one lata. Wszystkie pisma téj kategoryi doszły nas tylko w niewykończonych ustępach i urywkach, które zapewne nigdy nie tworzyły całości. Urywki te jednakże dochodzą niekiedy obszerności kilku set, a czasem i kilku tysięcy wierszy.

Jest między nimi np. znaczna część jakiegoś dramatu osnutego na tle starodawnych dziejów Nowogrodu. Chodziło, zdaje się, o okazanie despotyzmu Mongołów nad spodlonymi książęty Rusi. Rzecz ta jest bez dokończenia, obejmuje wierszy 628. Jest pisana pod wpływem tradycyi Kalderonowych, owym dyalogiem długim i przeobfitym, któryśmy już wytknęli przy innéj sposobności. Nie zdawało mi się, żeby dzieło to zasługiwało na ogłoszenie; w tym stanie bowiem, w jakim ono pozostało, małoby kogo osnową swoją zajęło. Nad wszystkiém góruje tu mistyka i niezrozumiałość.

Do pism tegoż rodzaju i czasu odnoszę fragment liryczno-dramatyczny, który zamieściłem

w piérwszym tomie mego wydania pod napisem **Poeta i Natchnienie**. Ze stanowiska ówczesnéj doktryny autora, natchnienie nie znaczy podniesionego stanu duszy człowieka, ale istotę odrębną, która go okrąża i jest osobnym duchem. Dał mu tu autor nazwę Atessy. Utworowi niniejszemu nie można odmówić pewnego wdzięku i artyzmu w oddaniu; chociaż podobać się tylko mogą poszczególne ustępy, a całość jest niezrozumiała. Niezrozumiałości téj nie to przyczynę stanowi, że fragment nie tworzy większéj całości, ale że nam tak zupełnie braknie klucza do otworzenia sobie i wglądnięcia w ten cały świat mistycznych wyobrażeń i przypuszczeń, wśród jakich w owym czasie brnął wyobraźnią i wiarą swoją Słowacki. Cała treść utworu, o którym tu mówimy, ściąga się do przeszłych żywotów, jakie autor w najodleglejszych epokach przypisywał sobie jako przebyte przez siebie. Trzebaby przeto te wszystkie marzenia jego ówczesne znać szczegółowo, żeby rozumieć urywkowe alluzye do nich odnośne, których taka obfitość w tym poemacie. A to jest rzeczą tém bardziéj niepodobną, że tego rodzaju marzenia ciągle się w duchu Juliusza przeistaczały, jak się to wykaże dowodnie w rozbiorze Króla-Ducha.

Pozostały też fragmenty z nader rozległego jakiegoś przedsięwzięcia, którego przedmiotem miał być **Zawisza Czarny**, ten rycerz bez trwogi i fałszu, słynny w ciągu panowania Władysława Jagiełły. Jest to utwor dramatyczny z rodzaju rzeczy nieprzeznaczonych dla sceny. Zawiązek sztuki sta-

nowi zwycięstwo Jagiełły nad Krzyżakami pod Grunwaldem. Zachowanie się obłudne cesarza Zygmunta względem króla polskiego, zdaje się, że miało posłużyć za tło dla dalszéj osnowy. Wplata się też do tego i romans jakiś. Ale pierwszorzędną potęgą z ducha i sprężyną wszystkich zdarzeń, które się tylko tam dzieją, jest w tym poemacie Zawisza, osobistość tajemnicza, głęboka, nieodgadniona, słowem mesyaniczna — coś nakształt księdza Marka w zakresie konfederacyi barskiéj, lub Wernyhory pośród scen rzezi humańskiéj. — Stan rękopisu mieszczącego w sobie ten utwor, daje wnioskować, z jaką trudnością połączony był dla autora, pracującego dawniéj z taką łatwością, ten trud wcielania w dramatyczne kształty poezyi, mętnych i niechwytnych pojęć nowéj doktryny. Niektóre części są przemazane po piérwszym rzucie i przerobione inaczéj, i to nie tylko po raz drugi, ale niekiedy i trzeci. Wreszcie całe założenie rzeczy snać się musiało autorowi uprzykrzyć. Porzucił co był napisał, i już potém nigdy nie tknął na nowo tego przedmiotu. Pozostało tedy kilka tylko już to dłuższych już krótszych ustępów, nie stanowiących ani całości ani ciągu. Gdyby je złożyć, zapełniłyby one razem kilka arkuszy druku. O planie zamierzonéj całości nie można sobie z tego utworzyć żadnego wyobrażenia. Co jest wykonane, okazuje myśl głęboką, ale pracującą pod brzemieniem czegoś chorobliwego. Dlatego też widziałem się zmuszonym wyłączyć poemat niniejszy z liczby rzeczy przeznaczonych do ogłoszenia.

Do tegoż czasu odnieść należy jeszcze jeden utwor takiéjże formy i podobnéj osnowy. Mówię o poemacie fantastycznym, pełnym najśmielszéj cudowności, który nie wiem jakby mógł być najstósowniéj nazwany. Jednym z tytułów, jakie się nasuwają, mógłby być **Samuel Zborowski.** Jest to rzecz niewykończona, wielkich rozmiarów — obejmuje około 3 tysięcy wierszy; pomimo tego daleko tu jeszcze od ostatniego z tychże wierszy do końca. Autor zamierzał tu w poetyckiéj szacie ukazać fundamentalne pewniki swojéj wiary filozoficzno-społecznéj, jako je późniéj wyłożył w traktacie prozą pisanym, a zatytułowanym „Geneza z Ducha“. Wyprowadził zatém na scenę w „Samuelu Zborowskim“ i ludzi żyjących i duchy umarłych i fantastyczne postaci, wzięte już to z różnych mitologii pogańskich, już ze starego Testamentu. Chodziło mu nasamprzód o ukazanie tego wątku twórczego (którym wedle niego jest duch), snującego się genetycznie a nieprzerwanie przez wszystkie stopnie i warstwy rzeczy stworzonych, od najniedoskonalszéj formy do coraz doskonalszéj, od najnieudolniejszego jestestwa do coraz wyższych w łańcuchu stworzeń organizacyj zwierzęcych, aż nareszcie do objawienia się wyraźnéj już duchowości — w człowieku. A daléj zależało poecie także na stawieniu przykładu, jako i odtąd jeszcze, duch nieśmiertelny, już działający w człowieku, nie zaprzestaje tego ruchu coraz wyżéj go niosącego, lecz zamieszkuje w kolei czasu coraz inne ciała ludzkie, szukając sobie form coraz dogodniejszych i doskonalszych. Przed oczyma tedy naszymi odbywają się w poemacie tym ciągłe

przeistoczenia i metempsychozy, skutkiem których nieraz jedno i tosamo ciało służy coraz innym duchom za szatę, i odwrotnie jeden i tensam duch przybiera sobie po kolei coraz inne ciała za naczynie i narzędzie istnienia. Czytelnik wyrozumie, że już w skutek samego założenia, w skutek samego mówię przedmiotu, poematowi temu zbywać zupełnie musi na jednotliwéj i jednolitéj osnowie. Składa on się z kilku działów, bardzo luźnie spojonych z sobą. Dwa między nimi są szczególniéj odrębne. Piérwszym z takowych jest wywód, dany tylko w kształcie opowiadania, a nie dyalogu, opowiadania mówię włożonego w usta istoty, która sobie wszystko to przypomina, czém kiedykolwiek była. Wywód ten obejmuje wszystkie przemiany i koleje stworzenia przed przyjściem na świat człowieka, a zatém niejako kosmogonią czyli genezę przyrody martwéj i zwierzęcéj przed wyłonieniem z materyi kształtu ludzkiego. Główną rolę odgrywa w tych ustępach „Lucyper,“ który bynajmniéj nie występuje tu jako duch zły, lecz tylko jako duch zaprzeczenia i ruchu, a więc — że tak powiem — jako pierwiastek w zakresie natury „rewolucyjny i wiecznie wszczynający“. Widząc w nim poeta ziarno wszelkiego postępu, czynnik nieznużonego prądu coraz wyżéj w stworzeniu, uważa go za przedwiekowy zaród ducha, który zanim zamieszkał w człowieku, stawał się po kolei wszystkiém, co tylko w świecie stworzonym istnieje, więc wiewem atmosfery, wodą, kamieniem, płazem itd. itd. Duch ten więc w taki sposób przewlekł się i przewił w tysiącu postaciach i jestestwach przez całe przyrodzenie. —

Drugim epizodem, równie stanowiącym pewną całość odrębną, jest w tym utworze spór duchów ludzi, którzy za życia wyznawali wprost sprzeczne sobie idee, i wyznają je z równą wyłącznością i po za grobem, wytaczając ostatecznie ten proces odwieczny zasad przed najwyższą instancyą — przed sąd boży... Wprowadzony jest na scenę duch Samuela Zborowskiego i zapozywa przed trybunał samego Boga Jana Zamojskiego, oskarżając go o niesprawiedliwy i występnie zapadły wyrok śmierci, którego na nim kazał dopełnić. Zamojski — jak tylko może — usprawiedliwia swoje postępowanie. Powody jego zdają się być wielkiéj wagi. Ale w charakterze „Adwokata“ Zborowskiego występuje zrazu znowuż ów Lucyper, a w dalszym toku wytwarza się z Lucypera samże poeta nasz, gorliwie przemawiający w obronie swego klienta. I Samuel... wygrywa proces! Dlaczego zaś ten właśnie moment dziejów polskich obrał sobie autor na okazanie światodziejowego swego problematu, z tego się nie tłómaczy.

Przeczyć temu oczywiście nie można, żeby nie miał i w téj kreacyi uderzać w tém lub w owém miejscu potężny geniusz poety; całość jednakże smutne sprawia wrażenie! Bezład — zamęt — brak zupełny tak artystycznego układu, jako i jasnych pojęć — wszystko to zdradza, z jak mętnego stanu ducha dzieło niniejsze wynikło. Wiersz i dykcya jest z rodzaju Księdza Marka i Salomei, Jak owe wywody kosmologiczne zdawać się muszą w oczach prawdziwego znawcy w tym zakresie umiejętności, bałamutną tylko zmyślnéj głowy fantazmagoryą: tak też i wyobrażenia o dziejach naszych i o po-

rządku polityczno-społecznym, rozwinięte w ustępie o Zborowskim — nie wytrzymałyby ani na chwilę historycznéj krytyki. Słowacki upatruje w Samuelu typ czegoś bardzo wzniosłego; widzi w nim narzędzie opatrznościowych zamiarów i twierdzi, że go Zamojski na śmierć skazał nie tylko niesprawiedliwie, ale i ku niepowetowanéj szkodzie dla całego powodzenia narodu. Przez tento bowiem wypadek miał się bieg życia politycznego Polaków najfatalniéj skrzywić i cofnąć na kilka wieków... Co to jednak za wzniosłość i wielkość była w Zborowskim? i na jakich podstawach opiera się pewność poety, kiedy się tak stanowczo z zdaniem podobném odzywa? — na to w poemacie odpowiedzi nie znaleść.

Oczywiście w żaden sposób nie można było drukować rzeczy téj razem z innymi Słowackiego dziełami, które objęto w wydaniu lwowskiém.

— To są prace z owéj epoki w zakresie poezyi. — Więcéj jeszcze pozostało pism treści niby rozumującéj i teozoficznéj, prozą, pochodzących z tegoż czasu. Pomimo wielkiéj takowych ilości, i to są same prawie tylko rzeczy pozaczynane, urywkowe, ledwie czasem wyjątkowo wydatniejszą całość tworzące.

Słowacki w owych latach, jak to widać ze wszystkiego, bardzo wiele musiał rozmyślać. Formułował i budował on sobie z wielkiém wysileniem jakiś powszechny system wiary i wiedzy. Chciał w nim ująć różne swoje pomysły w jednym wywodzie. Brak porządnego naukowego przygotowania, ubóstwo pozytywnéj wiedzy, mała wprawa

w ścisłém myśleniu, niewielka znajomość życia, serca ludzkiego i tego toku, jakim idą sprawy na świecie — oto przyczyny, które sprawiły, że te usiłowania jego zupełnie mu się nie wiodły. Pomysły jego były czasem, choć bardzo rzadko, błyskami genialnéj intuicyi. Zazwyczaj były to jednak tylko luźne marzenia, dziwolągi filozoficzne, utopie społeczne... W każdym razie atoli przyznać należy, że pracował on w owéj porze umysłem ciężko i wiele. Czytał dzieła w różnych przedmiotach, zaciekał się w poszukiwaniach nad ostatecznymi kwestyami życia, biorąc w pomoc wszelkie nauki, zaglądając nieraz i do dzieł filozoficznych, nawet niemieckich, o ile takowe za pomocą tłómaczeń były dla niego przystępne.

W skutek takiego naprężenia umysłu nad przedmiotami więcéj naukowéj i praktycznéj natury, pozostało w papierach jego notat i najrozmaitszych studyów prozą pisanych z owego czasu tyle, że wnosić można, iż utwory poetyckie, o których co tylko dałem powyżéj wiadomość, stanowić musiały wyjątkowe chyba tylko Słowackiego zajęcia począwszy od roku 1842. Są to aforyzmy, sentencye, filozofematy, rozmyślania — w zakresie religii, znawstwa przyrody, mitologii, historyi i społecznych teoryi; wreszcie modlitwy, kazania (miane zapewne w gronie współwyznawców), listy dogmatyczne do niektórych osób w materyi przyswojonego sobie systemu, a czasem i dłuższe prace. Ostatnie pisane były zazwyczaj w formie dyalogu, na wzór Platońskich dyalogów, albo też w kształcie ewangelii i apokalipsy.

Z tych pism wszystkich użytku zrobić nie było można dla świeżo dokonanego dzieł pośmiertnych wydania, ponieważ są to rzeczy, jak się już powiedziało, bez początku i końca i niedoprowadzone też do tego choćby tylko względnego stopnia jasności, iżby dobrze rozumieć można było, co chciał przez nie Słowacki ostatecznie powiedzieć. Pełno tam zawsze bowiem przypowieści, porównań, obrazów poetycznych, słowem najśmielszych rozpędów i zboczeń, które nibyto mają tém lepiéj kwestyą rozjaśniać, ale jéj bynajmniéj nie rozjaśniają. Zabierają tylko miejsce, rzecz na tém nic nie zyskuje, a to, o co chodziło, tymczasem ulatuje z przed oczu...

Jedna pomiędzy tymi pracami, nieco późniéj zapewne wykonana, znalazła się w papierach w takim kształcie, że ją uważać można i za syntezę niejako wszystkich owych przygotowań zrazu daremnych i za wysłowienie ostateczne całéj wiary i wiedzy poety, na któréj sformułowaniu i przekazaniu potomności tak bardzo mu zależało. Napis tego utworu: „**Genesis z Ducha, Modlitwa.**" Jest to rzecz dłuższych rozmiarów, wypowiedziana uroczyście, w formie wyznania wiary, zwróconego ku samemu stwórcy wszech rzeczy, a zatém rzeczywiście w formie modlitwy.

Oto początek tego mistycznego traktatu:

„Na skałach Oceanowych postawiłeś mię Boże, abym przypomniał wiekowe dzieje ducha mojego; a jam się nagle uczuł w przeszłości Nieśmiertel-

nym, Synem Bożym, stwórcą widzialności i jednym z tych, którzy Ci miłość dobrowolną oddają na złotych słońc i gwiazd girlandach.

„Albowiem Duch mój przed początkiem stworzenia był w Słowie, a Słowo było w Tobie — a jam*) był w Słowie.

„A my, duchy słowa, zażądaliśmy kształtów, i natychmiast widzialnymi uczyniłeś nas Panie, pozwoliwszy, iżeśmy sami z siebie z woli naszéj i z miłości naszéj wywiedli pierwsze kształty i stanęli przed Tobą zjawieni.

„Duchy więc, które wybrały za formę światło, odłączyłeś od duchów, które obrały objawienie się w ciemności; i tamte na słońcach i gwiazdach, a te na ziemiach i księżycach rozpoczęły pracę form, z których Ty Panie odbierasz ciągle ostateczny wyrób miłości, dla któréj wszystko jest stworzone, przez którą wszystko się rodzi.

„Tu gdzie za plecami moimi palą się złote i srebrne skały nabijane mikowcem, niby tarcze olbrzymie przyśnione oczom Homera; tu gdzie odstrzelone słońce oblewa mi płomieniami ramiona, a w szumie morza słychać ciągły głos pracującego na formę Chaosu; tu gdzie duchy tąsamą, co ja niegdyś drogą wstępują na Jakubową drabinę żywota — nad tymi falami, na które duch mój tyle razy puszczał się w nieświadome horyzonty, nowych światów szukając: pozwól mi Boże, że jako

---

*) „Jam, nie ja; bo ja osobą jest, a tam osoby nie było jeszcze.“ (Przyp. Słowackiego).

dzieciątko wyjąkam dawną pracę żywota i wyczytam ją z form, które są napisami mojéj przeszłości“...

Po takim początku, obejmuje dalsza osnowa Genezy z Ducha niejako przypomnienie pierwszych początków odwiecznéj istności świata, przypomnienie zaczerpnięte z wnętrza własnego ducha, który w tém wszystkiém uczestniczył. Jest to więc w kształcie dziejowéj opowieści, w kształcie platońskiéj anamnezy, obraz kolejnego przeobrażania się i doskonalenia planety naszéj, z tém wszystkiém co na niéj żyje i żyło. — Nie brak w têm dziele rzeczy, które bardzo pięknie i poetycznie pod względem formy rozpowiada poeta; jednakże nie można w niém niewidzieć też wielu marzeń i dziwnie przekręconych pewników naukowych. A główna myśl, którą odsłania jakby objawienie nowe, sobie dopiero odsłonione, nie jest i nie była już wtedy właściwie niczém nowém w nauce. Mówię tu o tém dziś już powszechnie uznaném założeniu, że wszystkie rzeczy i żyjątka w stworzeniu — od kamienia począwszy aż do organizmu człowieka — stanowią łańcuch nieprzerwany i jednolity. Wszystkie ogniwa tego łańcucha są to jakby stopnie coraz wyższego wyrazu téj siły twórczéj, która to wszystko wydobywa z niebytu, z łona materyi. Cała „Filozofia Natury“ Hegla (niemniéj zresztą w szczegółach bałamutna, jak i Geneza Słowackiego) jest już na téjże właśnie idei oparta.

„Genezę z Ducha“ uważał Słowacki za najcelniejsze dzieło swoje, za płód pracy najwięcéj zasługujący na ogłoszenie, ze wszystkiego co

tylko kiedykolwiek napisał. Twierdzenie niniejsze opieram na następującéj okoliczności. Do manuskryptu, bardzo czysto przepisanego własną ręką autora, znajduję dodaną kartkę z następującym napisem: „Genesis z Ducha, pismo zdaniem autora najważniejsze ze wszystkich, jakie kiedykolwiek napisał; zawiera bowiem Alfę i Omegę świata“. Słowa te zanotowane zostały przez przyjaciela i nieodstępnego towarzysza poety w jego ostatnich chwilach, o którym w dalszych rozdziałach będzie jeszcze wzmianka osobna.

Dodał potém Słowacki do Genezy, w osobnym urywku, jeszcze i wykład ze swego stanowiska tych pierwszych chwil istnienia na ziemi rodu ludzkiego, których przypomnienia złożone są częścią w mitologii, częścią w księgach starego Testamentu. Bujne i to było pole dla marzącego umysłu! Od chwili jaśniejszéj wiedzy dziejowéj, na progu wieków jakokolwiek oświeconych pochodnią historyi — rzecz się urywa...

Wszystkich tego rodzaju pism Słowackiego nie objąłem w wydaniu, które ażeby mogło być doprowadzone do skutku, koniecznie musiało być ściągnięte do jak najkrótszych rozmiarów i mieści w sobie to tylko, co jeżeliby było przepadło, stanowiłoby prawdziwą stratę dla ojczystéj literatury. Zresztą uważałem jakby za wykroczenie przeciw cieniom mego poety, ogłaszać rzeczy, które ani jemu sławy ani czytelnikowi pożytku nie zdawały się obiecywać. — Genesis z Ducha

może być ciekawym materyałem do poszukiwań w zakresie Towiańszczyzny; ale do poszukiwań takich mało kto zapewne znajdzie w sobie ochotę. Ogół czytających szemrałby na wydawcę, gdyby się kosztem znacznie podwyższonéj ceny było w taki sposób powiększyło ilość tomów pośmiertnego wydania. *)

---

*) W skutek kilkakrotnych żądań, wypowiedzianych w pismach peryodycznych, została późniéj i ta Genesis z Ducha ogłoszona w Strzesze z roku 1871. Dano ją i w osobnéj odbitce (Lwów 1871).

ROZDZIAŁ OŚMNASTY.

Dalszy ciąg rozpoczętéj materyi. — Rozmowa z Matką Mokryną. — Król-Duch — wykład pierwszych rapsodów tegoż — szczegóły o stanie rękopisu dalszych części Króla-Ducha. · Urywki przekładu Iliady. — Powody do napisania wiersza „Do Autora trzech Psalmów“ — okoliczności chwili owéj towarzyszące — stósunek ówczesny między Krasińskim a Słowackim. — Dwie broszury prozą, w tychże latach wydane.

Wszystkie prace w rozdziale poprzednim wymienione, prócz jednéj chyba Genezy z Ducha, zdają się samą swoją powierzchownością świadczyć o tém, że powstały pod wpływem, jak się Słowacki sam przy pewnéj sposobności wyraził, „pierwszego szału rozbudzonych ducha wnętrzności“. Nie było mi wprawdzie podobno, szczegółowo oznaczyć czasu, kiedy każda z nich mogła być napisaną; ale tyle będzie pewném, że przypadają one wszystkie na pierwsze lata owéj mistycznéj doby w jego żywocie. Idee jego były wtedy jeszcze w nieustającym ruchu rpzekształceń. Sam on jeszcze nie

pojmował się w tym nowym swoim względem wszystkiego, co wcielone i niewcielone, stósunku. Przechodziły mu przez myśl zagadnienia olbrzymie, myśli ogniste, które nie tylko dlatego nie dawały się z powodzeniem zużytkować artystycznie, że sobie z nich sam poeta nie umiał jasnéj zdać sprawy, ale że i zbyt rozległe to były pomysły. Każda sztuka, a zatém i poezya, wymaga pewnego ograniczenia, skoncentrowania, zawarcia tego, coby się rado w nieskończoność rozpłynąć, w pewnym ścisłym zakresie. Excentryczność przedmiotu najniebezpieczniejszym bywa szkopułem dla wszystkich przedsięwzięć poetyckich.

Po upływie pewnego czasu Słowacki choć trwał i nadal przy powziętym kierunku i bynajmniéj nie opuszczał sztandaru nowéj doktryny, jednakże przetrawił do pewnego już stopnia nowe swoje wyobrażenia i zaczął, że tak powiem, czuć grunt jakiś pod stopami. Utwory jego od tego czasu zaczynają w nim znowu ukazywać artystę, artystę pierwszego rzędu i mistrza słowa, jakim był przed rokiem 1842. Otacza je wprawdzie pewna mgła mistycyzmu jeszcze i potém, ale już nie w téj gęstości, żeby wartość ich jako dzieł poetyckich miała cierpieć na tém dotkliwie. Owszem — zdaje się niekiedy, że ten lekki wiéw extatycznéj zadumy, ten tajemniczy odblask bezdennéj wiary i fantastyczności w autorze, przydaje im prawie woni i wdzięku. Można się wtedy nie godzić na ostateczne następstwa, do jakichby uboczne intencye poety, zaledwie dostrzeżone w dziełach jego téj daty, prowadzić mogły. Ale też i nie można utworem tym zaprzeczyć — z ich

stanowiska – niepospolitéj nieraz głębokości w pomyśle, a niezrównanéj z niczém siły w wysłowieniu i rzucie...

Do liczby rzeczy tego właśnie rodzaju nie wahałbym się zaliczyć mianowicie **„Rozmowy z Matką Mokryną“.** Nie wchodzę w to, czy wszystkie rysy tego obrazu są rzeczywiście wzięte że tak powiem z natury; wiadomo mi, że osoby niektóre, dobrze jak powiadają z całą tą sprawą obeznane, wytykają poematowi temu pod tym właśnie względem miejscami uchybienia: — biorąc wszelako utwor ten jako dzieło sztuki, któréj zadanie nie polega na odtwarzaniu rzeczywistości niewolniczém nawet w ubocznych i najdrobniejszych szczegółach, lecz na ujęciu d u c h a zdarzeń, o które chodzi, zdaje mi się, że go można śmiało zaliczyć do arcydzieł w tym rodzaju poezyi. Z dawniejszych prac Słowackiego najwięcéj zbliża się do niego poemat o O j c u Z a d ż u m i o n y c h, jako podobny obraz strasznéj boleści i grozy. Objawy Towianizmu są w R o z m o w i e tak nieznaczne, artystyczny jéj układ tak prosty, a moc słowa taka potężna, że zaledwie uwierzyćby można, że to jest dzieło właśnie lat owych, a nie kiedyś rychléj stworzone. Że tak jednak jest, tego dowodzi najprzód sam czas wypadku, który dał powód do podjęcia tego przedmiotu, a potém i ta okoliczność, że w rękopisie własnoręcznym poety, w którym się mieści pierwszy rzut tego dzieła, znajdują się w niektórych miejscach, pomiędzy jednym ustępem a drugim, różne — nienależące do osnowy poematu — odezwania do Boga, ułożone

w najprostszych wyrazach prozą, jakie pisać na będących pod ręką papierach swoich, było w owych dopiero latach zwyczajem i niejako potrzebą duszy naszego poety. Są to rożne definicye dogmatów jego doktryny, aforystycznie wyrzeczone w formie modlitwy zwróconéj do Boga samego, jako bezpośredni wylew serca wzbierającego wdzięcznością, że mu jest daném mieć świadomość rzetelnéj prawdy. Miejsca takie, jak już wspomniałem, wprawdzie nie zostają w żadnym związku z poematem, o którym tu mówimy; ale dają podstawę do najpewniejszych wniosków o czasie, kiedy ten poemat powstał, i o usposobieniu ducha, którego był owocem.

Drugiém dziełém téj kategoryi, ale wykonaném w zupełnie innym rodzaju, jest **Król-Duch.** Część początkowa poematu tego, nazwana „Rapsodem pierwszym“ została ogłoszona za życia jeszcze poety, w roku 1847 (rzeczywiście w końcu 1846) w Paryżu, bezimiennie, bez karty tytułowéj, w formacie wielkiéj ósemki, stron 24. — Były to tylko trzy pierwsze pieśni, stanowiące poniekąd odrębną całość. Wrażenia one na publiczności żadnego nie wywarły. Mało przez kogo przeczytane do końca, potępione jako dziwactwo, przeszły przez ogół prawie niepostrzeżone. Trudno bo też było z tego ułomku wyrozumieć istotną myśl poety i urobić sobie choćby jakiekolwiek wyobrażenie o całkowitém założeniu utworu. Był to ustęp wprawdzie głęboko pomyślany, w pojedynczych działach z wielkiém dokonany mistrzostwem i słowa i w ogóle artyzmu; lecz skądinąd tak oderwany i

trudny wtedy jeszcze do zrozumienia, że nie mógł nie zdawać się zagadką wszystkim niewtajemniczonym w mistyczną autora doktrynę.

Tento zupełny brak udziału ze strony czytelników wstrzymał też zapewne Słowackiego od drukowania dalszych rapsodyj. I tak skończyło się na têm, że do niedawna publiczność nasza nie znała nic więcéj z téj olbrzymiéj kreacyi, jak tylko ów jeden rapsod; i że do dzisiaj poemat ten cały prawie powszechnie uchodzi za rzecz, która się usuwa z pod wszelkiego rozbioru...

Słowackiego ciągłém marzeniem, od pierwszéj chwili przyjęcia doktryny Towianizmu, była myśl przyobleczenia nowych idei w szaty poezyi. Widzieliśmy w powyższém, jak wszystkie prace jego od roku 1842 począwszy, polegały na téj jedynéj dążności. Nie chodziło mu już odtąd o tworzenie ideałów fantazyi w zwyczajnym sensie; nie chodziło o artystyczne dokonywanie dowolnych założeń poetycznych. Chciał on podnieść znaczenie i zasługę poezyi daleko wyżéj. Miał to być jeden ze sposobów wieszczego objawienia światu istnéj bezpośredniéj prawdy, t. j. tajnych dogmatów i tych wszystkich rzeczy zakrytych, których wypowiedzenie w innéj formie przewyższałoby może w ludziach zwyczajnych zdolność pojęcia takowych.

Poprzednie próby uczynienia zadość temu ideałowi – nie udawały się autorowi naszemu. Były to wszystko prace o tyle chybione, że osnowa, że tło i ramy zamierzonego dzieła nie były zdolne przyjąć w się i pomieścić całéj autora intencyi. Były to wszystko jakby naczynia jakieś kruche i

szczupłe, niezdolne objąć w sobie wszystkiego, co w nich zawarte być miało. Dlatego też owe zbyt ciasne kształty paczyły się poecie pod ręką; wychodziły z pracowni jego albo jako monstra (X. Marek i Srebrny Sen), albo z niéj nie wychodziły wcale, lecz przed dokonaniem pracy nad nimi, odkładane bywały na bok, i leżą dziś przed nami jak torsa potwornéj rzeźby, która szczegółami obudza podziw, a pomysłem całkowitym odstręcza...

Wreszcie trafił Słowacki na przedmiot, który stósunkowo najwięcéj obiecywał założeniu jego dorównać. Założenie jego polegało tym razem na onym wiary jego artykule naczelnym, że społeczeństwo ludzkie, obrębem pewnéj narodowości objęte, jest prowadzone naprzód i coraz daléj mocą duchów wybranych, duchów nad zwykły zakrój większych, silniejszych... Każdy naród ma zatém swego niby anioła (może kilku aniołów — punkt ten bowiem nie jest u Słowackiego wypowiedziany jasno), który przez niego działa i który go prze ku coraz większemu zbliżeniu się do celu, jaki jest narodowi temu wytknięty. Działanie jednakowoż owego ducha, przesuwając się przez cały ciąg dziejów narodowych, nie może być mierzone trwaniem jednego człowieczego żywota. Pokolenia ludzkie zmieniają się i nastają po sobie jak liście na drzewach, opadające jesienią, a odrastające na wiosnę. Człowiek naczelny w narodzie, człowiek mający w sobie owego ducha-anioła, podlega oczywiście tymsamym prawom natury, co cały rodzaj ludzki. Misya wiekowa ducha, który w nim żyje i przezeń działa, nie może więc być dopełnioną w ciągu znikomego jego życia. Dlatego duch ten

potrzebuje więc kilku żywotów, mając działać bezprzestannie; i przeto w kolei czasów odradza się to w tém ciele, to znowu w inném. Na pozór coraz inna osobistość dziejowa — jest on w gruncie rzeczy jednak zawsze tymsamym duchem-kierownikiem swego społeczeństwa, tymsamym duchem nad duchami, tymsamym... „Królem-Duchem".

To tedy założenie swoje zamierzył Słowacki uwidomić na przykładzie dziejów ojczystych, wytłómaczonych i okazanych w tém świetle, począwszy od pierwszéj chwili żywota Polski, aż do dni ostatnich. Czyli innymi słowy: poeta nasz wprowadza tę przodującą dziejom naszym osobistość mistyczną, jako bohatera epopei; i z powodów, które niżéj odsłonimy wyraźniéj, z powodów nader ważnych, gdyż dotyczących saméjże osoby własnéj, osoby Słowackiego: kładzie całą opowieść trudów w tym szeregu wieków przebytych, całą opowieść téj nieśmiertelnéj krucyaty — w własne usta Króla-Ducha, zaczynając poemat od owéj strofy, zapowiadającéj ogólną treść tego cyklu rapsodów.

„Cierpienia moje i męki serdeczne
I ciągłą walkę z szatanów gromadą,
Ich bronie jasne i tarcze słoneczne,
Jamy wężową napełnione zdradą
Powiem — wyroki wypełniając wieczne,
Które to na mnie dzisiaj brzemię kładą,
Abym wyśpiewał rzeczy przeminięte
I wielkie duchów świętych wojny święte" *).

*) A więc się poeta widocznie identyfikuje z bohaterem swoim.

W piérwszym rapsodzie (wydanym jeszcze r. 1847) odsłonił autor pierwszy doczesny żywot króla-ducha na tle samych społeczności naszéj zawiązków. Dalsze rapsody przedstawiaią go w późniejszych jego żywotach, w coraz innych osobach, a zawsze w takich, że życie narodowe, w każdéj epoce, od nich jedynie odbierało główny pęd i ruch i kierunek ku przeznaczeniu swojemu.

Przypatrzmyż się teraz nieco bliżéj, jak ten pomysł jest wykonany w szczegółach.

W rapsodzie I. mamy opowieść pierwszego wcielenia się króla-ducha w postać narodową polską. Nie jest to bynajmniéj piérwsze zrodzenie się jego, jako ducha w ogóle. Jako odrębna wiekuista istota, istniał on już i przedtém. Lecz tych że tak powiem, przedsłowiańskich dziejów jego istnienia gdzieindziéj — poeta nie odsłania. Ukazuje go nam od razu w postaci Armeńczyka jakiegoś, który jako zmarłe już ciało złożony jest na stosie, ażeby być spalonym, a potém się odradza na nowo w indywidualności wenedyjskiéj, słowiańskiéj...

Armeńczykowi owemu było imię Her. I nazwę tę i cały pomysł przejął Słowacki od Platona. Platon na samym końcu najgłębszego ze wszystkich utworów swoich, na końcu dyalogu zatytułowanego „Rzeczpospolita“ zamieścił piękną i pełną znaczenia symbolicznego powieść o jakimś Herze, synu Armeniusowym z Pamfilii, który w walce za ojczyznę poległ i wespół z innymi zabitymi leżał przez dziesięć dni na pobojowisku. Dziesiątego dnia przyszli ludzie, ażeby ciała za-

bitych pogrześć. Psuły się one już wszystkie, tylko Hera ciało znalezione zostało w czerstwéj świeżości. Podniesiono wszystkich poległych z ziemi i z czcią wielką zawieziono do miasta. Dwunastego dnia złożono ciała na stosach, albowiem miały być spalone. Kiedy już przykładano ogień do stosu, na którym Her leżał, stało się iż umarły otworzył oczy i powstał. I zszedłszy ze stosu na ziemię, oznajmił ziomkom, że duch jego wyszedł był z ciała i był na drugim świecie, gdzie ludzi zmarłych sądzą i karzą i nagradzają — wedle zasługi. Ale kiedy stanął z kolei i on przed owymi sędziami: powiedziano mu, że jemu tylko należy przysłuchiwać się i przypatrywać wszystkiemu, co się tu dzieje. Albowiem ma on jeszcze wrócić ponownie do życia i być do ludzi na ziemi mieszkających zwiastunem z świata drugiego. Opowiadał tedy ów zmartwychwstały z stosu swojego, jako się odbywają sądy dusz zmarłych, jakie im wymierzane bywają kary, jaka ich czeka przyszłość dalsza i jak wreszcie, po upływie oznaczonego czasu, stawają one powtórnie przed potęgami tamtego świata, t. j. przed Ananką i trzema córami onéj, których wspólna nazwa jest Mojry, i które rządzą życiem ludzkiém. Tam tedy stają duchy owe w szeregu; a służebnice onych trojga pań zamogilnych kładą po przed nimi mnogość wielką wzorców i wizerunków żywota, tak żywota zwierząt różnych, jako i żywotów ludzkich. Następnie wstępuje czarodziej jakiś na podwyższenie i głosi: „Słuchajcie słowa dziewicy, córy Ananki, Lachezy! Dusze znikome, oto się poczyna nowy okres śmiertelnego waszego życia. Nie was los

wybierać będzie, lecz wy same obierzecie los sobie. Przed kim piérwszy znak padnie, ten niech najprzód wybierze sobie żywot i dolę, od któréj się potém już nie potrafi oddzielić! Oto cnota jest tu do wzięcia! mniéj albo więcéj mieć jéj będziecie, w miarę ile ją cenicie albo ile jéj nie cenicie. Wina będzie po stronie tego, kto wybiera — bóstwo niewinne niczemu“... To mówiąc, rzuca mąż ów znaki, jakby losy z liczbami, po przed cały zgromadzonych dusz szereg. A każda dusza znak swój podnosi wedle tego jak przy niéj upadł, i po kolei znakiem owym wskazanéj, przystępuje do wyboru sobie żywota z pomiędzy wszystkich owych wizerunków, które w wielkiéj mnogości zostały rozłożone przed nimi. Wybór takowy zawisł zupełnie od woli tego, który wybiera. Pomimo tego, bywa to widok i smutny i śmieszny i zarazem dziwny, jak dusze owe wybierają sobie żywoty pod wpływem najczęściéj wrażeń, które z sobą przyniosły z po za tamtéj strony grobu, z poprzedniego życia swojego. I tak, dusza Orfeusza — z nienawiści ku całemu rodowi kobiet — wybrała wizerunek życia łabędzia, ażeby się już nie urodzić z kobiety. Dusza łabędzia przeciwnie wybrała sobie żywot ludzki. Dusza Tamyrysa (poety) przeniosła nad wszystkie inne — żywot słowika. Ajax silny, a jednak pokrzywdzony przez ludzi, zapragnął teraz postaci lwa. Agamemnon, równie zniechęcony do ludzi, sięgnął ręką po życie orła. Odyssej, po długich trudach walk i wędrówek wyleczony z żądzy sławy, i pomny bolów, jakich z jéj powodu doznawał, pochwycił z radością wzorzec żywota w spokojnym zakresie prywatnego

człowieka; a Atalanta, która już w poprzedniém życiu z tego słynęła, że jéj w biegu prześcignąć żaden zapaśnik nie zdołał, wybrała sobie żywot mężczyzny, atlety...

Kiedy zaś już każda dusza dokonała wyboru swego, udają się wszystkie razem na dolinę Lety, a idą w skwarze wielkim i spiece, albowiem na dolinie téj nie ujrzeć ani drzew żadnych, ani żadnego z płodów, które ziemia wydaje. I zasiadają pod wieczór nad tą cudowną rzeką, kojącą troski. Tu dusza każda wypić koniecznie powinna pewną miarę wody: a niektóre, ile rozwagą i umiarkowaniem mniéj się powodujące, wychylają jéj i więcéj, w skutek czego też potém zapominają wszystko (i tak się potém odradzają, jak gdyby nigdy przedtém nie żyły na świecie). Wypiwszy wodę owę, zasypiają. Nadchodzi noc, godzina północna bije. Wtedy nagle poczyna się grzmot wielki i trzęsienie ziemi. A dusze w górę się rozpierzchują na wszystkie strony jak spadające gwiazdy, i każda kwapi się, kędy jéj przeznaczono urodzić się...

Owoż to wszystko widział na drugim świecie i opowiedział ziomkom swoim ze stosu ów Her z Pamfilii. O sobie samym zaś nie był zdolnym powiedzieć, którędy i jakim sposobem wrócił do ciała. Tyle mu tylko było wiadomo, że jemu pić wody z Lety nie dano i że kiedy nagle z rana oczy znowu utworzył, ujrzał się już położonym na stosie. —

Taki jest w najgłówniejszych zarysach ów myt Platona, bardzo szczegółowo u niego rozpo-

wiedziany, który więc posłużył za punkt wyjścia dla „Króla-Ducha“. Jak widzimy, bardzo mało przejął z tego mytu Słowacki. Bo też zamiar jego był inny, jak Platona. Filozofowi greckiemu zależało na dokładném odmalowaniu tego, co Her widział na drugim świecie; a naszemu autorowi chodziło przeciwnie o dalsze losy samegoż Hera. Stąd to zaledwie się w niektórych szczegółach i to ubocznych spotykają oni ze sobą. Rozmijają się zaś mianowicie w tym punkcie, że podług mytu greckiego Her na stosie wrócił do życia ażeby je wieść w dawnych warunkach; Słowackiego zaś Her ciało swoje pozostawia na stosie i kończy tam już swój zawód ziemski. Ciało jego podlega płomieniom — dusza występuje z niego, aby ulecieć w nadziemską krainę duchów...

Dalsze koleje téj duszy są w poemacie takie:

Po wyjściu z ciała *), ujrzał się Her w owéj krainie Platona, „kędy dusze jasne jak brylanty, swe dobrowolne czyniły wybory“. Jednakże on, „z harmonią obeznany młodą własnego ciała“ (strofa VIII, w któréj jak i w innych strofach pierwszego wydania przecinkowanie ciągle błędne), t. j. świadom tego, że ta forma nieskazitelna i wiecznie młoda, jaką miał wtedy czystym duchem będąc, najlepiéj harmoniuje z jego naturą: „nie chciał odmiany“ ani ciała ani doli ani żywota, i nie pragnąc ni-

*) Strofa V pieśni pierwszéj. W trzecim wierszu téj strofy powinno być: „Ani za ciałem płacząca daremnie“ zamiast „Ale za ciałem“...

czego więcéj, jak żeby duchem i nadal już pozostać, nie czynił żadnego wyboru. Siadł tedy razem z drugimi duszami nad brzegiem Lety, lecz wody do ust nie wziął. Same tylko rany swoje nią zmywał, ażeby straciły... pamięć boleści. Wtedyto ukazano mu — gdzieś w wielkiéj oddali — „we mgłach letejskiéj zapomnienia rzeki" tajemniczy wid jakiś, zjawienie dziwnéj, z niczém nieporównanéj piękności, które „jako świt daleki" uroczo przed oczyma jego wschodziło (strofa IX i następne). „Ani gwiaździce, co się w morzach palą — powiada w myśl bajecznych podań ludodowych poeta — „ani tych gwiaździc jasność tajemnicza" nie wywiera tyle trwogi na jestestwach żyjących w morza otchłani, ile jego przeraziło na razie to zagadkowe zjawienie. Była to niewieścia postać jakaś, piękności tak idealnéj, że się stworzona być zdała jakby z blasków słonecznych, z barw tęczowych, z dźwięków niebiańskich...

„Nad nią dźwięk — duchów girlanda słowicza,
Pod nią... jakoby złote zejścia schody
Na świat daleki i zamglony wiodły"...

Dość było duchowi Hera raz jeden spojrzeć na uroczą piękność tego widu idealnego, ażeby w sobie poczuć tajemny węzeł, jaki go miał wiekuiście z nim łączyć, ażeby wiedzieć, że ta postać promienna — to odtąd już... „jego Umiłowana na wieki!" —

Jeżeli który ustęp w całym poemacie obecnym sprawia czytelnikowi niepokonane trudności, to niezawodnie miejsce właśnie powyższe. Co też

poeta rozumiał przez tę aparacyą tak mistycznie tu wprowadzoną?

W pierwszéj chwili nasunie się tu każdemu pewnie myśl, że będzie to zapewne druga podobna duchowa indywidualność opatrznościowa, jak sam bohater poematu, ale indywidualność niewieścia: równie jak tamten mająca przed sobą do spełnienia wielkie posłannictwo w wszechświecie; równie jak on przeznaczona przebyć cały szereg żywotów, które — z wyroku tajnych przeznaczeń — zapewne splatać się będą losami swymi z zawodem męskiego króla-ducha w przyszłości. Przypuszczenie to (czytając poemat dałéj) zdaje się nabierać prawdopodobieństwa z téj mianowicie przyczyny, że córka Lecha Wanda, w tak obiecujący sposób wprowadzona w osnowę już pierwszéj pieśni, a po krótkiém zboczeniu w pieśni drugiéj, tak przeważne odzyskująca znowu znaczenie w całym tym piérwszym rapsodzie, mogłaby z wielkim pozorem słuszności być uważaną za takie właśnie doczesne wcielenie owego drugiego ducha, który jako niewiasta ma towarzyszyć na całéj przeznaczeń drodze głównemu bohaterowi powieści..

Przy bliższém rozpatrzeniu przypuszczenie powyższe przecież okazuje się mylném. Klucz ten mimo wszystkich swoich pozorów, nie otwiera żadnéj z zagadek, jakie się w dalszych spotykają rapsodach. Przeciwnie, tłómaczenie takie wikłałoby nas tylko w ciągłych sprzecznościach i prowadziło na bezdroża, żadnéj nie pozostawiające możności spotkania się z prawdziwym pomysłem autora.

Słowacki pisząc to dzieło, niewątpliwie surowsze i wznioślejsze podjął zamiary, jak opiewać metempsychozę dwojga duchów, które na różnych końcach świata i w różnych epokach historyi spotykają się na to tylko ze sobą, aby przy innych nibyto ważniejszych misyach swoich, odgrywać ostatecznie... romans ze sobą na coraz inne sposoby.

Przypomnijmy sobie, że punkt wyjścia i cały początek „Króla-Ducha“ dokonany został pod wpływem platońskich wyobrażeń. Jedną z zasadniczych podwalin całéj doktryny Platona jest przypuszczenie, że my ludzie przynosimy ze sobą na ten świat gotową już i tylko przypomnienia czasem potrzebującą świadomość bezcielesnych pojęć i ideałów („ideae innatae“). Platon wyobrażał sobie, że człowiek przed narodzeniem swojém ogląda twarz w twarz owe wiekuiste pierwokształty wszystkich rzeczy stworzonych, a nawet i ideały żadnéj zmysłowości niezdolne, jak np. cnotę, męstwo itp. w ich czystéj postaci czyli w ich prawdzie bezwzględnéj. To właśnie też jest, co sprawia, że chociaż po narodzeniu naszém nie widzimy na ziemi nigdy już ani nadzmysłowych wyobrażeń ani ideałów, ale tylko same rzeczy znikome, doczesne, które będąc tamtych tylko kopiami i odciskami lichymi, są zawsze ułomne i nieudolne: — to jednak posiadamy pomimo tego w pamięci i wyobraźni naszéj jakąś świadomość téj najwyższéj piękności; zachowaliśmy w sobie jakieś poczucie tych prawd wiekuistych, których ojczyzną są same tylko sfery nadziemskie. —

Otóż jednym z takichto ideałów — wyższych nad wszelkie wcielenie, jedną z takich piękności — niedoścignionych przez żadną z określonych piękności, jednym z takich „widów“ — widnych tylko dla oka ducha, nie ciała, jest właśnie i owa napowierzna, świetlana postać, która się „we mgłach letejskiéj zapomnienia rzeki“ objawiła po śmierci duchowi Hera, jakby świtanie jakie dalekie. Jako duch, wyszły z ciała, znajdujący się właśnie w téj ideałów ojczyźnie, jest Her zdolnym „poznać z oblicza“ ów ideał niebiański, i ogląda go w całéj jego piękności. Ponieważ jednak ideał wszelki z natury swojéj nigdy w świecie rzeczywistym być odnalezionym nie może; ponieważ przy największém nawet zbliżeniu się do niego, daje się czuć zawsze w życiu doczesném brak obecności jego zupełnéj: przeto też i bohaterowi naszemu śpiewają jakieś głosy nieznane:

„Dobrze ją poznaj, bo wkrótce utracisz,
Jak sny, przez dobre duchy malowane;
Żywot — tysiącem żywotów zapłacisz,
A zawsze jednę tę serdeczną ranę
Przyciśniesz w piersi rękami obiema,
Tę jednę smętną ranę — że Jéj nie ma!“

Ukazany mu przeto jest w mglistéj oddali cel przyszłego jego zawodu, widny w całéj swojéj apoteozie i chwale: ale zarazem i to mu zapowiedzianém zostaje, że ta piękność, ta skończoność, ta boskość tego celu wszystkich jego zapędów istnie tylko w wyobraźni i w pragnieniu, słowem w ideale; w żywotach zaś rzeczywistych, choćby ich przeżyć i tysiąc, czuć się będzie zawsze tylko

to jedno — „że go nie ma“, że go się jeszcze nie osięgło, że tysiące przeszkód kładzie się w drodze, które ciągle pokonywać potrzeba, aby się zbliżać do niego; słowem że go się tylko pragnie... zawsze nadaremnie!

„Sławę ci damy, lecz tobie obrzydnie —
Serce ci damy, ale spustoszeje!
Przyjdzie do tego, że będziesz bezwstydnie
Urągał w Bogu mających nadzieję“ itd.

Te zapowiedzi, te przestrogi nie zrażają jednakże królu-ducha od tego, żeby się puścić w ślady za tym uroczym obrazem przed oczyma jego zjawionym. — „Choćby aż w piekło wiodła, pójdę za nią!“ powiada, i puszcza się w drogę, „choć strzały numidzkimi ranny,“ choć nie mający jeszcze pewności, co to jest, co go ku sobie tak ciągnie: czy śmierć, czy żywota dziwo, czy Irys? i t. d. (strofa XII).

Przystąpmyż teraz do drugiego pytania i powiedzmy: jaki to ideał i czego ideał ukazany został w téj bezwzględnéj piękności swojéj Herowi? Kto jest Ta, którą mu wtedy w dalekim ukazano świcie, ażeby odtąd była jego Umiłowaną na wieki?

Jest to Ojczyzna, jeżeli wyraz ten weźmiemy w jak najszerszém i jak najwznioślejszém znaczeniu. Nie rozumiem przez to ani saméj tylko ziemi rodzinnéj, ani państwa w jego doczesno-utylitarném znaczeniu, ani potęgi politycznéj, ani żadnego z osobna z tych tysiącznych włókien, które się składają na ten cudny w języku pol-

skim wyraz, na to wzniosłe w duchu pojęć polskich słowo: Ojczyzna..

A jeżeli to czytelnikowi jeszcze nie wystarcza, określmy to jeszcze inaczéj. Oto wstaje w oddali przed oczyma Hera ideał Polski, to jest niebiański obraz tego, co naród nasz jako zadanie państwa pojmuje i co sobie wyobraża przez ideał narodu. Staje przed oczyma jego Polska, jaką być ma wedle tego, co sobie o niéj marzą i co przez całą długość jéj przeszłości sobie o ojczyźnie marzyli jéj najszlachetniejsi i duchem najwznioślejsi synowie; a zatém cel ostateczny, do którego dzieje nasze dążą; słowem ideał — w najdalszą przyszłość rzucony — takiéj ojczyzny-matki, takiéj ojczyzny-idei, jaka jest wszystkich marzeń i usiłowań naszych przedmiotem.

To zatém chciał wyrazić poeta, kiedy powiada:

„Ukazał się wid — Piękność — córka Słowa,
Pani któregoś z ludów na północy,
Jaką Judejscy widzieli prorocy.

„Słońce lecąca trzymała nad czołem,
A miesiąc srebrny pod nogami gniotła:
Szła nad lasami i leciała dołem
Nad chaty — jako komeciana miotła.
Tęcze ją ciągłém oskrzydlały kołem;
W słońcu girlandy niby z kwiatów plotła
I na powietrze rzucała niedbale
Perły-jaśminy i maki-korale. (Strofa XVII).

Że tu nie podkładamy słowom poety żadnéj myśli obcéj, do któréj by się nie przyznał, gdyby

jeszcze był między nami: o tém dowodnie mogą się czytelnicy przekonać, jeżeli odczytają wiersz do K. Ujejskiego, rokiem tylko późniéj przez Juliusza pisany, któryśmy dali na str. 73 tomu I dzieł pośmiertnych. Znajdujemy w wierszu rzeczonym prawie tesame obrazy, a znaczenie ich tam już nie może być wątpliwém.

Pomiędzy aforyzmami prozą, które sobie zwykł był w owychże latach Słowacki zapisywać do różnych kartek i zeszytów będących właśnie pod ręką: znalazłem w jedném miejscu ustęp, który warto tu przytoczyć na dowód, że mój wykład strofy powyższéj w Królu-Duchu wychodzi zupełnie z punktu widzenia autora. Powiada on tam, co następuje:

„Podobnie jak przed światem stworzonym było Słowo czyli duch, mający się formami objawić widzialnymi: podobnie poczęcie każdego narodu poprzedzało stworzenie idei, dla któréj następnie ludzie, w formę pewną téj idei właściwą skrystalizowani, pracowali. Z takichto idei powstawała pewna forma agregacyjna, i ta stanowiła narodowość. Idee takie, wieńcom ognistym podobne, którymi się fortece oblężone w nocy oświecają, z całą pięknością ogni ulatujących nad narodami przelatywały i świeciły. — Wyobrażone nareszcie mniéj więcéj, usiłowaniem czynném rasy, dla któréj były stworzone, przechodziły w kształt; ducha piękności i prawdy oddawały formie; same zaś na niebiosach gasły i wyższym rewelacyjnym ideom miejsca ustępowały“...

Przemilczeć wprawdzie tego nie mogę, że nasunąć się tu niejednemu może pytanie, czy raczéj nie objawia się przed oczyma Hera obraz mistyczny Bogarodzicy? Gdyż nie tylko skąd inąd jest przyjętém, w takiéj właśnie postaci ten najwyższy z ideałów chrześcijaństwa malować; ale i sam nawet Słowacki nieraz w tymże samym go przedstawiał obrazie. (Obacz np. dokończenie wiersza, zamieszczonego w tomie I Pism pośmiertnych, bezpośrednio przed wspomnionymi co tylko strofami „do Autora Skarg Jeremiego“). Z tém wszystkiém przypuszczenie takie, w tém miejscu, byłoby niewłaściwém. Jakże bowiem miałoby się stósować do Bogarodzicy wyrażenie:

„Pani któregoś z ludów na północy,
Jaką Judejscy widzieli prorocy.“ (Strofa XVI).

W takim razie nie byłby tu też autor położył „jaką“, ale koniecznie „którą“. A cały wiersz poprzedni byłby wtedy zupełnie niezrozumiały; boć matka Zbawiciela jest panią całego chrześcijańskiego świata, a nie jednego tylko ludu.

Jest zatém wprawdzie niezaprzeczoném, że Słowackiemu te dwa ideały, t. j. ideał całego chrześcijaństwa, i ideał nasz narodowy, przed oczyma spływały, i że chcąc mówić o ostatnim, pożyczył form od piérwszego; ale to też już jest wszystko, co w tym kierunku przyznać możemy. Posunąć się choć krok jeden po za to przyznanie daléj — byłoby to tracić na zawsze z oczu ten punkt widzenia, z którego jedynie odsłania się ukryta myśl poematu.

W dalszych strofach kładzie poeta w usta bohaterowi swemu opowiadanie, że kiedy więc ujrzał oczyma ducha swego owę piękność idei, któréj w życie przeprowadzenie i wyrobienie dziejowe miało stanowić odtąd wiekuiste jego zadanie: natychmiast poczuł w sobie popęd do odżycia na nowo w warunkach stworzonego istnienia, czyli — co na tosamo wychodzi, uczuł w sobie potrzebę opuszczenia tych błogich krain letejskiéj beztreściwości i elizejskich odpoczynków po trudach, w którychto krainach zrazu tak gorąco pragnął pozostać już na zawsze jako duch czysty —

„I całe mego ducha wniebowzięcie
Upadło...“ (Strofa XVI).

„Więc czego woda letejska nie mogła,
To ona swojém zrobiła zjawieniem,
Że moja dusza na nowo się wzmogła
Loty — i nowym buchnęła płomieniem. —
A jako pierwszy raz ciało przemogła
I uczyniła swoim wiernym cieniem,
Opowiem.
Ja Her, powalony grzmotem,
Nagle gdzieś w puszczy pod wieśniaczym płotem *)
Budzę się.“ (Strofa XIX).

W strofie téj i następnéj opowiada bohater poematu, że kiedy więc dusza jego „przemogła

*) W wydaniu lipskiém przecinkowanie błędne téj strofy sprawia, że wcale miejsca tego rozumieć nie można. Po „o p o w i e m“ powinien być punkt i zakończenie okresu. Po wyrazie „p ł o t e m“ nie powinno być żadnéj interpunkcyi: i tak też to jest w pierwszém wydaniu, to jest paryskiém z r. 1847.

znowu ciało i uczyniła je swoim wiernym cieniem,“ t. j. kiedy się znowu zrodziła w ciele: ujrzał się gdzieś — w lichéj chacie, „pod płotem wieśniaczym, w dzikiéj puszczy“, dziecięciem biednéj kobiety. Kobieta ta wzniecała w nim już w latach jego najrańszych instykt zemsty.

. . . „Straszna nademną kobieta
Śpiewała swoje czarodziejskie runy.
Ojczyzna twoja, wrzeszczała, zabita!
Ja jedna żywa, a ty zamiast truny
Miałeś mój żywot. — Popiołem nakryta
I zapłodniona przez proch i popioły,
Wydałam ciebie, abyś był mścicielem,
Synu popiołów nazwany Popielem!“

Ażeby rozumieć tę strofę, trzeba sobie przypomnieć cały pomysł, przeprowadzony w Lilli Wenedzie. Z tym dramatem wiąże się cały ten rapsod „Króla-Ducha“ jak najsciśléj i jest niejako jego epilogiem. Czytelnicy przypominają sobie, że Słowacki wyszedł w Lilli Wenedzie ze założenia, że przyjście Lecha i orszaku jego do Polski odbyło się jako gwałt i rzeź i bój doraźny na śmierć i życie z dawniejszą téj krainy ludnością. Lechici zwyciężyli, zajęli siedziby nowe, ale nie prędzéj, aż je zamienili w cmentarz plemienia Wenedów, którzy tu przed ich przyjściem mieszkali.

Otóż z tego punktu widzenia tłómacząc strofę, o któréj wykład tu chodzi, jest rzeczą oczywistą, iż ową „Ojczyzną zabitą“, o któréj matka synowi swojemu mówi, nie może być co innego, jak plemię Wenedów. Samą zaś kobietą ową, czarodziejskie runy nad dziecięciem wygła-

szającą, jest oczywiście tasama postać, która się tam w dramacie nazywa Róża Weneda.

Cały pomysł obecnego rapsodu Króla-Ducha okazuje się zatém już gotowy w Lilli Wenedzie. Co się tyczy cudownego z popiołów zrodzenia Popiela, wypisuję z dramatu tego dwa miejsca, które to bliżéj tłómaczą.

Na końcu Prologu „Lilli Wenedy“, włożone są w usta Róży między innymi słowa następujące:

„Ja ostatnia zostanę żywa,
Ostatnia z czerwoną pochodnią!
I zakocham się w rycerzy popiołach
I popioły mię zapłodnią,
A swatami będą dęby z płomieniem na czołach!
A łożem ślubném będzie stos rycerzy.
Kto konając we mnie uwierzy,
Skona spokojny.
Ja go zemszczę lepiéj od ognia i wojny,
Lepiéj niż sto tysięcy wroga,
Lepiéj od Boga!

Drugie miejsce, które tu warto przypomnieć, znajdujemy w scenie piątéj aktu III. (str. 286 wydania lwowskiego.)

Ma tam niezadługo przyjść do stanowczéj bitwy między Lechem a Wenedami. Goniec staje przed królem, mówi mu o strasznych przepowiedniach, które się szerzą między jego nieprzyjaciołmi, i wspomniawszy o innych znakach, jakie się okazać mają, powiada:

„Mówią, że walka będzie oświecona
Błyskawicami.

LECH.

Dobrze, będzie widno!

GONIEC.

Ta czarownica z góry, zapowiada
Że po téj walce — martwych popiołami
Nakryta, za rok porodzi mściciela.

LECH.

To przepowiednia nie dla mnie, nie dla mnie —
Nim ten popielnik wyrośnie ohydny,
Ja będę w grobie, a mój syn na tronie.
Ale to wszystko są na dzieci strachy."

To cudowne zrodzenie się mściciela, zapłodnionego przez przodków swoich popioły, nie mogło tu oczywiście być przez poetę rozumianém literalnie. Symboliczne znaczenie tego wszystkiego jest jasne. Ponieważ jednak zdawać się niejednemu może, że ta stała przenośnia o zapłodnieniu Popiela przez popioły rycerzy zbyt mocnymi jest nałożona kolorami, żeby przez Słowackiego tylko figurycznie miała być rozumianą, a nie dosłownie: przeto wybaczy mi czytelnik jeszcze jednę uboczną tutaj uwagę.

Aż do pewnéj granicy wolno poecie dobierać sobie do wypowiedzenia subtelniejszych pomysłów, form i obrazów ze sfery, z jakiéj mu się tylko podoba. Kieruje nim samo jedno tylko poczucie pewnéj, że tak powiem, miary i przyzwoitości poetyckiéj, bez względu na to czy odnośna nauka ścisła, np. medycyna, historya naturalna, fizyologia itd. zechce dać swoje na to wszystko potwierdzenie, co się w symbolicznym sensie jemu spodoba w granicach téj lub owéj naukowéj dziedziny wy-

rzéc. Nie chodzi tu nigdy o zupełną zgodność z najnowszymi badań naukowych rezultatami, ale tylko o prawdopodobieństwo, o pozór możności, że tak to jest. Owoż nasuwa się pytanie, czy Słowacki, w taki sposób wypowiadając ten pomysł, nie posunął się po za granicę owéj wiary i stósowności, jakąśmy postawili za konieczny warunek trafności przyoblekania pojęć oderwanych w kształty zewnętrzne. — Nie wątpię, że wielu rozstrzygnąć zechce to pytanie na niekorzyść autora naszego. Przenośnia jego wydawać im się może posuniętą za daleko. Pomówią go o mistycyzm, o wyobrażenia żadnéj nie mające wspólności ze stanowiskiem wyobraźni dzisiejszych ludzi.

Ażeby przecież zmniejszyć przynajmniéj ten zarzut, zauważyć muszę, że Słowacki i w tym nawet razie jest jeszcze na gruncie pojęć, jeżeli nie całego ogółu, to przynajmniéj wyobrażeń ludowych. Nie potrafię w téj chwili rozstrzygnąć, czy w zakresie gadek naszego ludu dałoby się znaleść coś takiego, coby się okazywało spokrewnionêm z têm symbolicznie tu przez niego opowiedzianêm pochodzeniem Popiela. Ale pomiędzy ludem czeskim przechowuje się powieść, która z jego pomysłem dziwnie rymuje. Przypomniał ją przed niewielu laty Frycz, w prelekcyach swoich mianych w Pradze.

Lud czeski wierzy, że w czasach ostatecznego niebezpieczeństwa powstaną z martwych z pod góry Blaniku śpiący tam od wieków rycerze, stróżowie ojczyzny. Już dziś co chwila mają się oni w grobach podnosić i zapytywać jeden drugiego, czyli już pora? Są to duchy Taborytów pod Lipa-

nami poległych. Lud pojął, że tacy nawet bohaterowie nie mogą się obejść ani bez światła nowych idei, ani bez wodza. To też ażeby nie zatracili w sobie poczucia potrzeb i odrodzenia ojczyzny, wysyła wyobraźnia ludowa świeżo pomarłe znakomitości z poselstwem nowych myśli do skalistych podziemnych mieszkań tych dawnych duchów. Co się zaś tyczy ich wodza, to legenda nie daje im za takiego ani żadnego z królów ani z cesarzów, lecz ponieważ wodzem duchów tych zwyczajny śmiertelnik być nie może, naznacza mu urodzenie cudowne.

Pewien grobarz miał córkę, która mu pomagała w pracy. Samotna często dziewczyna wymyśliła sobie żałobną a pobożną zabawę: sztucznie składała kości naśladując ołtarzyki, na których czaszki zastępowały lampy i kielichy. Mała dziewczyna podrosła już i wypiękniała; zdarzyło się wtedy razu pewnego, gdy szła z cmentarza po wodę, że wyrwała się za nią czaszka z kostnicy i powoli toczyć zaczęła. Dziewczyna odważna podjęła czaszkę, ucałowała, a zapytawszy: „czym cię na niewygodném położyła miejscu?“ o uspokojenie prosiła i na samym umieściła ołtarzu. Czaszka jednak od téj pory nie opuszczała stóp dziewczyny, wszędzie się za nią tocząc. Cud ten przestraszył grobarza; kazał czaszkę spalić, a proch połknąć córce. Nim rok minął, powiła ona syna, bohatera. Nowo narodzony spędzał dziecinne lata pod lipą u stóp Blaniku, rozmawiając z duchami śpiących pod górą rycerzy, na których wodza Opatrzność go przeznaczyła...

Otóż widzimy, że autor nasz nie posunął się zbyt daleko po za obręb imaginacyi ludowéj, dobierając form zresztą cokolwiek dziwnych na wyrażenie pomysłu, który sam przez się nic innego nie znaczy, jak znane owo „Exoriare aliquis nostris ex ossibus ultor! —

Począwszy od strofy XXI daje poeta zarys żywota tego bohatera swojego, zrodzonego z ostatniéj z rodu ujarzmionego, w ubogim stanie, bez świadomści tego wszystkiego, co z duchem jego zaszło przed urodzeniem, i co ma stanowić zadanie działań jego w przyszłości — począwszy od lat jego najrańszych. Jest to rzeczywiście wdzięczny przedmiot, głęboko pomyślany, z psychologicznego punktu widzenia prawdziwie zajmujący. Mamy przed sobą naturę, z własnéj rdzeni ducha swojego wzniosłą i między najczystszymi duchy wybraną. Gdyby to od niego jedynie zależało, żywot jego ziemski byłby pewnie równie szlachetny, równie idealny, jak był ów pęd duszy Hera nad brzegiem Lety zwrócony ku najwznioślejszemu ze wszystkich ideałów. Ale człowiek przychodząc na świat, staje się od razu zawisłym od całego brzemienia okoliczności ubocznych, tradycyj dziedzicznych, stósunków miejscowych, jakie zastaje już gotowe w domu, w rodzie swoim, w społeczeństwie na którego łonie się zrodził, nareszcie w wieku i dążnościach swojéj epoki — słowem, rad nie rad, musi przyjąć ten spadek nieodzowny przeszłości, te wszystkie zaległe długi i do spłacenia i do ściągnięcia, jakie mu przekazują owe coraz szersze sfery, w obwodzie których żyć

mu wypadło. Działają tedy na ducha jego najrozmaitsze potęgi, działają nań czynniki to obce, to pokrewne z jego najwnętrzniejszą naturą: i tych dopiero suma cała i waga ostateczna stanowi owę siłę, jaka nas wiedzie przez rozłogi naszego życia tymi lub owymi drogami, nieraz wbrew naszym lepszym instynktom. Instynkta nasze są w téj wędrówce niezawodnie najważniejszym czynnikiem. Ale i tamten, że tak powiem, fatalizm okoliczności ma wagę nieobliczoną.

Owoż taksamo ma się rzecz i z bohaterem naszego poematu. Do ducha jego, jakim go widzieliśmy na początku pieśni, przylegają już w saméj chwili zrodzenia jego inne potęgi, potęgi doczesne i miejscowe. I ten dopiero zléw i wiekuistéj dążności i doczesnych porywów — tworzy całą odrębność jego indywidualizmu jako człowieka, jako Popiela. — „Sam jeden jesteś“, mówi do niego matka,

„ale cię przymioty
Ojców napełnią, a ja dam dwa duchy:
Na prawo stanieć jeden Anioł złoty,
Na lewo jeden z krwi i zawieruchy;
Ci dwaj — ty trzeci, i mój głos, jak grzmoty
Pędzący w zemstę“... (Strofa XXI).

To też nie dziw, że pomimo takiéj świętéj przeszłości w duchu, i mimo postanowienia puścić się w ślady za takim ideałem, jak go mieliśmy odmalowanym na wstępie dzieła: król-duch, ów niegdyś Her, o poranku pierwszego żywota swojego powiada, że

„Jeszczem nie dorósł, a już karmem duszy
Zemsta mi była, a nauką zdrada!
Często bywało, że ktoś włos mi ruszy
I we śnie do mnie jak anioł zagada...
Gdy spojrzę — liść się tylko zawieruszy
I w kształt złotego widma wstaje — pada —
Czasem tumanem na pierś moję runie,
Ręka mi zadrży, nóż się sam wysunie." (Strofa XXII).

Strofa XXIV aż do XXXII stanowią ustęp odrębny, względem rzeczy głównéj poboczny: autor daje w nim zarys stanu ówczesnego społeczeństwa polskiego pod względem intellektualnym i obyczajowym, za panowania Lecha. *)

Podobnie epizodycznego tylko znaczenia jest następujący zaraz potém ustęp drugi (od strofy XXXIII — XXXVII).

Właściwa akcya poczyna się dopiero od strofy XXXVIII. Pomijając zdarzające się tu i owdzie, w téj części poematu, zawiłości w szczegółach, których podejmowanie wyczerpujące rozszerzyłoby dzieło moje daleko po za rozmiar, jaki mu dać zamierzyłem: o głównéj osnowie robię tylko to spostrzeżenie, że zwyczajem swoim odstępuje Słowacki i tutaj od tradycyjnych form, w jakich przekazuje nam przeddziejowe czasy nasze historya, i przeprowadza znane o Popielowych nad Polską rządach podanie w sposób zgoła niezawisły od

*) W ciągu ustępu tego poprawić trzeba w strofie XXX (str. 431 wyd. lips.) pomyłkę drukarską: „Część ducha" — na „cześć ducha"; bo inaczéj bezsens z tego powodu całą myśl robi niezrozumiałą.

kronikarskich o tem powieści. Bohater jego rapsodu, jako biedak w wieśniaczéj zrodzony chacie, a potém przybłęda jakiś z dalekiego gdzieś świata — poczyna zawód swój od najniższego szczebla: jest zrazu na dworze Lecha tylko pachołkiem. Ale choć na tak podrzędném stanowisku, cele jego odrazu sięgały wysoko.

„Jam oczy groźne miał i ręce czynne
I uwiązany cel do wież wierzchołka."
(Strofa XXXVIII).

Niejedno — niepewne wprawdzie i mętne przypomnienie z wyjątkowéj jego przeszłości, niosło myśl jego daleko... w podziemi głębie, „w zaświata krańce. Świat obecny cichością swoją i niezmiennym brakiem wszelkiego ruchu dręczył go i zdawał się urągać jego myśli płomiennéj. Mściwość kłóciła go ciągle z ludźmi i z losem. Mimo to, jakaś ręka niewidzialna usuwała przed nim wszystkie zawady na świecie. Czego tylko zażądał — wszystko się działo. I wiodło mu się szczęśliwie. Wstępował na coraz wyższe stopnie dostojeństw w kraju. Wyszedł na wodza — został prawą ręką i ulubieńcem księcia — siadł najpierwszym „wojewodą złotym" nad Gopłem. Wsławił się ze zwycięstw odniesionych nad nieprzyjacielem postronnym. Zjednał sobie serca całego rycerstwa. Aliści przypadkowe zdarzenie, przewidziane wprawdzie dawno wyrocznią, ale dokonane mimo woli a nawet mimo wiedzy Popiela, aczkolwiek jego ręką — ściągnęło na niego podejrzenie — o bunty i o nienawiść panującego! Z wojewody i pogromcy w stu bitwach, przyszło mu wrócić do pierwotnego

nicestwa. Jako zbrodzień, niewinnie posądzony, został wtrąconym do kaźni. Lecz i teraz siła jakaś niewidoma, opiekująca się jego losem, nie przestała mu być pomocną. Ręka własnéj córy królewskiéj (Wandy), otwiera bramy jego więzienia. Ujechał — tajemnie — w świat daleki, grożąc podniesioną prawicą światu odwetem za krzywdę tak niezasłużenie doznaną. A tém namiętniéj zemsty téj pragnął, że był sam jeden i jeszcze wtedy bezsilny...

Na pieśń drugą, bez porównania łatwiejszą do rozumienia, przypada główna waga w całym rapsodzie. Jest to część dzieła wykonana z całém mistrzowstwem właściwém Słowackiemu. Dziwna siła wieje tu z każdego pociągu pióra! — Puściwszy się Popiel w strony świata nieznane, bezludne, dzikie — spotyka na jakiémś miejscu pustém hufiec Germanów, zwycięsko wracających z wyprawy przeciw rzymskim legionom. Byli liczni, mówi poeta, jak gwiazdy na niebie, a straszni jak piorun, kiedy niebo odmyka. A jednak skoro ich tylko spostrzegł, wiedział on naprzód, że zostanie mężów tych wodzem; że to będzie dla rąk jego narzędzie, przez które świat wytnie, jeżeli zechce. I stało się, jako przewidział. Tłumy te zbrojne po krótkiéj walce wszystkich przeciwko jednemu, poznały, że „był jak piorun, gdy lasy druzgoce“. Okrzyknęli go Kiejzarem swoim... Po różnych przewagach i podbojach, których dokonywał to tu, to owdzie na czele plemienia tego, wtargnął on wreszcie w kraj swoich ojców, w dziedziny księcia Lecha. Był ostrzegany przez wszystkie władze

elementarne, ażeby granic onych nie tykał: na przestrogi żadne on atoli nie zważał. Wtargnął zatém do Polski i rozpoczął bój, który zapowiadał zagładę wszystkim kraju tego mieszkańcom. Lech nie żył już wtedy; panowała nad narodem dziewica, córka jego -- tasama Wanda, która mu otworzyła furty więzienia i dała konia, ażeby przed niebezpieczeństwem uchodził. Po bezskutecznym oporze, po wielu bitwach przegranych — przyszli przedniejsi dostojnicy polscy do obozu nieznanego sobie z osoby i nawet z imienia herszta najezdców. W imieniu królowéj swojéj oświadczyli mu gotowość okupienia przymierza z nim ofiarami, jakichby tylko zażądał. Prosili go — mówi poeta

„o pokój, i o ziemi bryłę
Taką, że ledwo dla nich — na mogiłę“...

Zwycięzca uniesiony pychą, odprawił posły owe szyderczo. Obiecał im mir żądany i łaskę, lecz pod warunkiem, którego przyjąć nie mogli, gdyż był upokarzający i boleśniejszy, niż ostrze miecza.

„Niech sama Wanda, płaczem i tęsknotą
Zmiękczona, przyjdzie nam do roztruchanów
Nalewać wina! Niech ją złotowłosą
Germany moje na tarczach podniosą!

A gdy przez ludy dzikie okrzykniona
Królową, z tarczy mosiężnéj księżyca
Zaśpiewa nam pieśń na nowe plemiona
I nasze dzikie dusze pozachwyca:
Ja wtenczas drżące otworzę ramiona,

Aby zleciała w nie jak gołębica
I wyprosiła usty różanemi
Co chce — niebiosa całe, czy pół ziemi"...
(Strofa XXII i następne).

Z takąto odpowiedzią odeszli obydwaj wojewodzi do Wandy. Nie powrócili już więcéj.

Następującéj zaraz potém nocy pożałował Popiel tych słów zuchwałych i obelżywych. Ażeby cofnąć, co mu duma w usta włożyła: nazajutrz, zaraz za świtu, cały w zbroi żelaznéj, podążył sam jeden do zamku Wandy nad Wisłą. Zatrąbił u bram — zostały mu otworzone. — „Idź do królowéj", rzekł smutnemu wojewodzie, który go wpuszczał do zamku, i powiedz „że mi słów moich wczorajszych szkoda" —

„Zanadto ostre pokazałem lice!
Niech mi królowa wasza jasna, młoda
Naleje czarę, podniesie przyłbicę:
A może łatwo ten rozkaz wykona
Pieśń mi zaśpiewać — paść w moje ramiona"...

W ponurém milczeniu przyjęto te słowa jego. Poprowadzono go na niedaleki brzeg rzeki — ten był cały zapełniony tłumem narodu. Tam ujrzał Wandę, ale już wydobytą z topieli, martwą, położoną na stosie...

Cały ten epizod, zaledwie tu naznaczony w zarysie, przeprowadzony jest po mistrzowsku. Zespolenie mytu o Rytygierze i Wandzie z podaniem o Popielu, w taki sposób że działa w nich obydwóch jedna i tasama osoba, odstępuje wpra-

wdzie od dziejowego przekazu; lecz żyskuje na tém prawdopodobieństwo podania o dobrowolném rzuceniu się Wandy w Wisłę. Zresztą i przez to pomysł ten się zaleca, że daje rzecz z nowéj strony, a podobno z poetyczniejszéj. —

Po tém wszystkiém czeladka Wandy przystąpiła do wyboru nowego księcia. Zebrały się roki walne — i pod wpływem téj dziwnéj ironii losu, która tak często iści się w świecie, skończyło się na tém, że purpurą Lechową tego właśnie okryto, z którego powodu się Wanda rzuciła w topiel. Dawny pachołek ostatniego książęcia siadł więc nareszcie na tronie polskim i rozpoczął owo panowanie okrutne, którego groza żyje dotąd w podaniach narodowych.

Dokończenie pieśni drugiéj i prawie cała pieśń trzecia zapełniona jest opisem najsroższych, najwyszukańszych męczarń, jakich się ta demoniczna natura od téj chwili dopuszczała na narodzie sobie podległym. Co tylko zapamiętały dzieje o rzymskich imperatorach albo o późniejszych dręczycielach rodu ludzkiego z rodzaju Iwana Groźnego, wszystko to zgromadził autor w ramach panowania tego bohatera swojego. Opis téj tyranii pod względem artystycznym jest niezrównanéj siły i barwy. Jedno tylko przy tém wszystkiém nie dość dobitnie zdaje się być dokonaném. Oto niełatwo jest dociéc, dlaczego się ten duch wybrany i o całą nieskończoność wyższy nad ludzi zwyczajnych plamił takimi okrucieństwami?

Rozpatrzywszy się w całém założeniu téj części poematu i łącząc w jedno wszystkie do tego

się ściągające, a rozpierzchłe po różnych miejscach w nim napomknienia: można wprawdzie dać na to zapytanie zupełnie wystarczającą odpowiedź; zawsze wszelako żałować trzeba, że punkt w utworze tak ważny, potrzebuje dopiero komentarza i co gorsza, mógłby być nawet przedmiotem sporu.

Żeby myśl autora odgadnąć, zupełnie na bok tu usunąć należy podnietę zemsty. Matka wprawdzie wpajała mu w ducha myśl zemsty, kiedy był jeszcze dziecięciem. Mimo tego jednak nie z tego powodu pastwił się Popiel teraz nad tym narodem, że tenże obarczony był winą zagłady plemienia, z którego on pochodził. Opowiadanie poety, w całéj téj części dzieła, niczém a niczém nie potrąca o to uczucie; i nic się też tu zgoła takiém ogniwem nie łączy z tém wszystkiém, co poprzedziło. Co większa — znajdujemy tu jeden punkt, który stanowczo nawet obala podobne przypuszczenie. Wszakże wśród różnych okrucieństw swoich posuwa się Popiel wreszcie i do téj zbrodni, że własną matkę z lasów zwleczoną siepaczom swoim każe rzucić w płomienie — z całą zresztą świadomością, że ta ostatnia z rodu Wenedów niczém przeciwko niemu nie zawiniła! (Strofa LV i następna).

Powody działania jego nie wynikały przeto z nienawiści ras przeciwko sobie zwróconych, ani też z żadnych powodów osobistych. Wynikały one raczéj z najogólniejszych, ze tak powiem światodziejowych względów: z potrzeb wieku, w którym Popiel żył, i z natury całéj epoki, jaka wtedy trwała nad światem.

Były to czasy zastałe, zwolna ciekące, w głuchéj zanurzone pomroce, na którą nie spadały jeszcze ani pierwsze nawet błyski przedświtu dziejów, cywilizacyi, religijnych objawień — słowem wszystkiego, co przyjść dopiero miało w przyszłości. Na pozór — był to stan błogi.

„Do gwiaździc morskich tajemniczéj jaśni
Porównywałem to ludu zjawienie,
Który żył w chatach próżen wszelkiéj waśni
A miał z jabłoni swéj napój i cienie"...
(Strofa XXIV Iszéj pieśni).

Lecz dla energii ducha, który na to tylko w tém społeczeństwie się zrodził, ażeby je popchnąć naprzód, był to rodzaj bytu nieznośny.

„Sądząc, że nigdy świat się nie odmieni,
Obecność wtenczas mię dręczącą kląłem."
(Strofa XXXIII).

„I nic! — Urągał mi ten świat cichością
I biegiem, co jak żółw za słońcem chodzi."
(Strofa XXXIV Iszéj pieśni).

Kiedy się bohater poematu wyniósł już na przywódcę owego hufca Germanów, z którym przebiegał i nękał ludy ościenne: zależało to od jego już tylko woli, zamącać i przerywać tę głęboką ciszę epoki. Ale od owéj chwili zaczął mu się dawać czuć inny znów niedostatek.

„Z barbarzyńcami — sam — na uroczyskach
Człowiek-duch — pilnie uważałem cuda,
Które się jawią przy ludów kołyskach,
A nikną, gdy się szczep na drzewie uda.

Lecz zaszczepienie przy piorunnych błyskach
Odbyte, a strach w powietrzu i nuda,
Które panują takim chwilom świata,
Trwożą jak pianie kurów u Piłata.

„Zda się, że ciągle ptaki ranne pieją,
A pianie smutne jest, jak krzyk dzieciny.
Przed rannym strachem niebiosa ciemnieją,
Więcéj wychodzi gwiazd na błękit siny —
Ludzie przy ogniach miast swe ręce grzeją
I przerażeni cichością godziny
Gotowi zaprzéć się bożego ducha,
Obzierają się jak zbójcy — czy słucha?...“
(Strofa XVI i XVII w IIgiéj pieśni).

Podnosi tu autor, jako więc znamiona przeddziejowego bytu narodów: owę ciemność i próżnię i nudę duchową, która umysły przygniata, jak strach jakiś całe napełniający powietrze, i tylko być może przyrównaną do długiéj a strasznéj nocy, o któréj wiadomo że się kiedyś skończy, ale co po niéj przyjdzie, niewiedzieć! Sumienia lękają się owéj godziny brzasku, niezadługo już nadejść mającéj. Znaki, które tę godzinę zwiastują, przerażają jak piorun i trwożą jak „pianie kurów u Piłata“, które przypomniały Piotrowi, że się Boga swego zaparł. Tak w naturze jak w świecie moralnym, im bliższy jest czas poczęcia się brzasku poranku, tém noc zdaje się być ciemniejszą, tém więcéj rodzi się zbrodni z jéj łona — „ludzie przy ogniach miast swe ręce grzeją“; — tém większa nakoniec gotowość w społeczeństwie, postąpić sobie jak Piotr i zaprzéć się ducha bożego.

Owoż tento stan nieznośny, ten stan trapiący całe społeczeństwo, ten brak zupełny wszelkiego moralnego punktu oparcia... to jest to, w czém upatruję bodziec do czynów, jakie autor w poemacie daje bohaterowi swemu popełniać. Ojczyzna nasza religijnych objawień w owym czasie jeszcze nie miała. Były jakieś obrzędy, kapłaństwa, jakieś dorywcze, mętne przypomnienia wyobrażeń przyniesionych z kolebki jeszcze narodów, z nad brzegów Gangesu.

„Czasami tylko jaki zwyczaj dawny
Indyjski, nakształt złotego upiora
W lasach powstanie...“
(Strofa XXIX w pieśni Iszéj).

Lecz te mdłe błyski zapomnianéj dawno religii nie mogły wystarczać potrzebom. Było tedy — jeżeli nie w narodzie, to przynajmniéj w jego panującym — pragnienie, ażeby się ta noc straszna i długa skończyła wreszcie. I stądto powziął Popiel postanowienie — zmusić niebo do objawienia prawd swoich, jeżeli je ma, i jeżeli bóstwo w niém jest...

„Postanowiłem niebiosa zatrwożyć,
Uderzyć w niebo, tak jak w tarczę z miedzi;
Zbrodniami przedrzéć błękit i otworzyć,
I kolumnami praw, na których siedzi
Anioł żywota, zatrząść tak z posady,
Aż się pokaże Bóg w niebiosach — blady.“
(Strofa XLII w pieśni IIéj).

Doświadczyć tedy i przekonać chce się ten nieokiełznany żadném jeszcze moralném wędzidłem

mocarz zwierzęcego dziejów okresu — czy czuwa wyższa jaka sprawiedliwość i opieka boża nad światem, czy też przeciwnie jest to pole bez właściciela, po którém wolno sile mocniejszego pławić się we krwi bezkarnie. Jeżeli z niebios patrzy oko jakie na ziemię: to go Bóg obliczem swojém w zapędzie zbrodni powstrzyma. A jeżeli go ani obliczem swojém nie przerazi, ani nawet nie ostrzeże żadnym znakiem na niebie:

„To ludzie są proch — i ja jestem prochem,
Na jeden tu dzień jak miecz ukowany!
A tém straszniejszy — że go własne siły,
Nie duchów ręce z ziemi wyrzuciły.“
(Strofa XLV).

Przez długi czas umacniało go wszystko już w przypuszczeniu, że co się tu dzieje na świecie, nikogo nie obchodzi tam w górze. Wysyłał gromadami całymi najniewinniejszych na stosy; cały swój dowcip zużywał na wymyślaniu najwyrafinowańszych katuszy. A niebiosa? — niebiosa ciągle na to wszystko spozierały w milczeniu.

. . . „Niebios błękitnych framugi
Jakby o zdjętych nie wiedziały głowach,
Patrzały na to ciche — obojętne...“
(Strofa XLVII).

Myślał, że przynajmniéj nocy jego powinnyby być pełne niepokoju i trwogi; rozumiał, że dnie — „jak nocy bez gwiazd“, będą dla niego czarne i kłócone jękiem tych ofiar po całym kraju z rozkazu jego ginących. Ale i tego nie było. Nocy

jego były ciche — spokojne; dnie mu płynęły, jak dawniéj.

„I nic! — Ten straszny duch, któremu wojnę
Wydałem, dziecko zostawił bezkarne;
A ja podniosłem pierś dumną i twardą,
Gotów do końca walczyć — z bożą wzgardą.“
(Strofa XL).

Jednakże miała ta nierychliwość rządów bożych trwać przecież aż do pewnéj tylko granicy. Dopóki Popiel pastwił się tylko nad ciałami; dopóki duchom (jak się poeta w str. LIV wyraża), kruszył tylko „łódź i wiosło“: dopóty znosiły nieba tę tyranią jego cierpliwie. Lecz właśnie przeto posunął on się i daléj jeszcze. Widząc nadaremność usiłowań nad zbadaniem tajemnic, dla odchylenia których puścił się taką drogą; podrażniony odkryciem, że nie ma w niebie nikogo, coby dbał o sprawy ludzkie, a jeśli jest, to chyba jemu urąga, kiedy nie odpowiada jego wyzwaniu: z rosnącą namiętnością — z szałem, jaki tylko poddać może oburzenie i mściwość, zaczął broić teraz już przeciw naturze i przeciw duchowi. Chodziło mu już tylko jakby o ukazanie w całym blasku, owéj nicości i nędzy podobnego ustroju świata! Kiedy więc w tym kierunku doszedł aż do owego kresu, że oddał na mękę i śmierć matkę własną; kiedy potém wysłał siepaczów przeciwko Świtynowi, „którego, jak sam powiada, kochał i szanował jak ojca“ (str. LXVI); kiedy nakoniec dopuścił się morderstwa i na natchnionym z ducha harfiarzu, na nieulęknionym, choć cichym i wiernym, i upodobanym Bogu Zoryanie: — wtedy

dopiero ukazały się na niebie wreszcie owe znaki ogniste, na które czekał... Właśnie w chwili, kiedy i z dumą tryumfatora i zarazem z rozpaczą sieroty — w poczuciu i władzy żadną nieścieśnionéj granicą i całéj nędzy swojéj moralnéj — zawołał do towarzyszów:

„Nic niema na niebie!
Ja sam, jak Pan Bóg, będę sądził siebie!
. . . .
Tę noc na ucztę! Jutro dzień pokuty
Dla mnie i dla was zbrodni wykonawców!"
(Strofa XXV i XXVI w pieśni III).

w owéjto dopiero chwili obwieściły mu znaki na niebie, że niebo zlękło się o świat i kładzie koniec jego bezprawiom.

Owoż takieto, zdaje mi się, były powody, dla których poeta, pomimo tego że tak idealnie stawił wizerunek bohatera swojego przed wnijściem tegoż w żywot cielesny, dał mu potém przeżyć ten żywot w taki sposób zbrodniczy. Z tego też tylko punktu widzenia daje się wyrozumieć, co w jedném miejscu mówi król-duch o sobie:

„Lecz co dziwniejsza — że tak próchniejący,
Taki upadły i taki zużyty,
Czasem się czułem jak anioł gorący,
Gotów ukochać świat i nieść w błękity..."
(Strofa LVIII w pieśni II).

Na tensam wykład całego pomysłu naprowadzają wreszcie i wiersze w jednéj z ostatnich strof całego tego rapsodu, w których Popiel powiada:

„Taki był koniec mojego żywota
Śpiewany długo w kraju przez rapsodów,
Którzy nie doszli, w czém była istota
Czynów? w czém wyższość od rzymskich Herodów?
Nademną była myśl słoneczna — złota!
Do niéj moc ciemnych, okrwawionych wschodów
Wiodła mię prosto..." itd.

Szedł więc przez życie zbrodniami, ale szedł w górę — do ideału i wiódł społeczność swoję w przyszłość. Że najniższe wschody w téj drabinie wiodącéj w górę były „okrwawione i ciemne": to nie było winą człowieka. Było to wynikiem wieku. Zresztą naród i skądinąd jeszcze potrzebował téj szkoły. Od tegoto dopiero bowiem też czasu zaczęli synowie téj ziemi umieć i żyć i umierać. „Trwoga śmierci", „miłość życia" — nawet za cenę, jakiéj to życie nie warto — wymazane zostały od owego czasu począwszy, ze słownika narodowego! Są to u nas tylko wyrazy tłómaczone z obcych języków!...

„Idźcie! Już więcéj nie jesteście sługi
Mojéj wściekłości, lecz rycerze twardzi!
Kupiłem naród krwią — i nad jéj strugi
Podniosłem ducha, który śmiercią gardzi."
(Strofa XXXIII).

„To też przezemnie ta ojczyzna wzrosła...
I pchnięciem mego skrwawionego wiosła
Dotychczas idzie . . . .
Fala ją druga nieraz z drogi zniosła
I duch jéj święty poszedł w kwiaty ciała
Bezwonne, martwe; lecz com ją wycisnął
Pod krwią, tém zawsze zwyciężył, gdy błysnął!"
(Strofa XL).

Powyższy „pierwszy“ rapsod był pisany, jak z różnych względów daje się wnosić, w roku 1846. Kiedy wychodził z druku, były już ukończone i dwa dalsze rapsody, czego dowodzą różne skazówki spotykane w odnośnych manuskryptach poety. Ponieważ do ogłoszenia rzeczonych dwóch rapsodów bezpośrednio po ukończeniu takowych nie przychodziło, a autor od pracy dalszéj nad poematem tym nie odrywał się: w prostém tedy następstwie tego bywało nieraz, że niezadowolony późniéj ze sposobu, jak to lub owo w pierwszym rzucie wykonał, w dalszych latach zmieniał często plan poematu całego. A to pociągało za sobą konieczność przerabiania coraz inaczéj części dawniéj już ukończonych.

Nad jednym z dalszych rapsodów (nad tym, który w edycyi mojéj otrzymał nazwę trzeciego) znaleźliśmy w autografie położoną owę odezwę do Polski, którąśmy z zmianą jednego wyrazu zamieścili na czele całego dalszego ciągu Króla-Ducha, t. j. znaleźliśmy takie słowa:

„Polsko! Ofiaruję ci rapsod drugi Króla-Ducha. Pierwszy leciał szybko, jak wiatr błyskawicy — ten się wlecze jak wół, pracowitym krokiem“... itd.

Okoliczność ta upoważnia do wniosku: najprzód, że była ta odezwa pisana w chwili, gdzie autor zabierał się już do ogłoszenia i téj przynajmniéj części dzieła swojego, czego późniéj przecież zaniechał; następnie, że było myślą jego naówczas, pozostawić w tece na zawsze i nigdy nie publikować owéj pieśni, która w wydaniu naszém dana jest jako rapsod drugi. „Drugim rapsodem“ miało

się nazywać opracowanie owéj legendy o Piaście, które stanowi obecnie trzeci rapsod. Tego samego dowodzi i urywek „Planu Króla-Ducha", dany na końcu lwowskiego tomu IIgo, a niezawodnie napisany w tymże czasie; w tym planie bowiem także nie ma żadnéj wzmianki o tamtéj części poematu.

Z powodu, że mimo tego wszystkiego nawet i w owym znowu czasie nie przyszło do oddania rzeczonéj części dzieła do druku, stało się że i ten kształt rapsodu o Piaście i Ziemowicie podlegał w dalszych latach nowemu znowu przelaniu. I takie koleje przechodziły prawie wszystkie ustępy szczególnego tego w rodzaju swoim utworu. Prawie zawsze autor, jak ze wszystkiego wynika, odkrywał w nich jakieś niedostateczności czy to pod względem wykonania, czy samego nawet pomysłu; i dlatego nieraz całe partye, a jeszcze częściéj mniejsze ustępy, wstawiał i przestawiał coraz inaczéj.

W skutek tego autograf Króla-Ducha, w tym stanie, jak go znaleziono po zgonie Słowackiego, przedstawia prawdziwy stos najróżniejszych papierów. Postać tego, co one w sobie mieszczą, jest chaotyczna nad wszelkie wyobrażenie. Są w nich i pierwsze rzuty i wszystkie kolejne przerobienia — bez skazówki, co autor ostatecznie za odrzucone, a co za poprawione uważał. Nie przypuszczając oczywiście poeta, żeby nie miało być dano jemu samemu kiedyś uporządkować tego bezliku dopisów, odmian, poprawek i coraz innych redakcyj, nie widział potrzeby dawać w rękopisie swoim skazówek, po którychby i ktoś drugi po-

trafił się oryentować w tym labiryncie. Dlatego na jednéj i téj saméj nieraz karcie są strofy tuż po sobie następujące, lub też pisane obok na marginesie, które mimo to nie mają ze sobą żadnego związku, ale się odnoszą do najrozmaitszych pieśni. W braku zewnętrznych znamion, któreby o tém ostrzegały, że to rzeczy różnorodne i niespójne ze sobą, sam sens tylko wewnętrzny daje niekiedy odgadnąć, dokąd z nich każda należy.

Wspominam o tém wszystkiém z dwóch przyczyn. Raz dlatego, że mi się zdaje, iż warto jest wiedzieć o tém, z jakąto sumiennością i jak mozolnie prowadził Słowacki pracę, przez którą spodziewał się zostawić narodowi trwałą pamięć po sobie. Powtóre mówię o tém z tego jeszcze powodu, ponieważ chciałbym wytłómaczyć czytelnikowi „Dalszego ciągu“ Króla-Ducha, dlaczego w wielu miejscach znajduje on tam tak nieszczelne i niezręczne połączenie ustępów, a nieraz i luki całe pomiędzy nimi pozostawione otworem. Nader często było tu prawdziwém niepodobieństwem uczynić zupełnie zadość wszystkim obowiązkom wydawcy. A i to niedostateczne z zadania wywiązanie się, jakie się osięgnąć dało, kosztowało i czasu i trudu nierównie więcéj, niżby niejeden przypuszczał. Chodziło bowiem o zestawienie przed sobą wszystkich, po całym papierów stosie rozproszonych, a coraz innych redakcyj każdego poszczególnego ustępu; daléj o wybór téj właśnie wersyi, która się z jakiegobądź powodu najwięcéj ze wszystkich zalecała; a nakoniec o spojenie ze sobą tych wszystkich wybranych cząstek w jeden nierozerwany wątek, bez fałszowania myśli poety i nie pozwa-

lając sobie odmienić ani wyrazu! Gdzie zatém już przez samego autora pozostawione były, że tak powiem, szczerby i wyrwy — do zapełnienia ich dopiero późniéj, w chwili ostatecznego wiązania wszystkich szczegółów w całość: tam oczywiście i teraz okazują się próżnie albo przykre przeskoki z jednéj materyi w drugą.

W ciągu tego zajęcia przypominały mi się nieraz domysły filologów o sposobie, jakim do skutku przyjść musiała ostateczna postać Iliady i Odyssei. Ale zadanie Onomakrita było wdzięczniejsze! Mógł on z rozlicznych rapsodyj składać ukończone całości; a nasze dzieło pozostanie na zawsze tylko fragmentem...

Teraz niech mi wolno będzie dołączyć kilka jeszcze uwag z osobna o każdym z rapsodów, stanowiących ogłoszony niedawno temu dopiero Ciąg dalszy poematu.

Rapsod drugi Króla-Ducha obejmuje pieśń tylko jednę. Ma za przedmiot: przedstawić koleje, jakie bohater poematu przechodził, wyzuwszy się z ciała Popiela, i podlegając na drugim swiecie różnym pokutom i próbom, zanim mu przyszło odrodzić się znowu na ziemi w nowym żywocie. Miał tu poeta przed sobą do zdobycia nieokreślone obszary wyobraźni. W ślady idąc Wirgilego i Danta, mógł był zaludnić te światy zagrobowe całym tłumem typowych istot, niegdyś żyjących na ziemi, a obecnie spłacających winy i zbrodnie żywota. Miał sposobność okazania wszystkich bogactw nieznużonéj i nigdy niewyczerpanéj swojéj fantazyi. Można się było spodziewać w téj części jego

utworu tém dramatyczniejszego i fantastyczniejszego obrobienia przedmiotu, że i jemu samemu nie były obce, w dawniejszych przynajmniéj latach, chętki zapuszczania się myślą w te światy Styxem i mogiłą odgraniczone od naszego padołu *). Z tém wszystkiém nie znajdujemy w rapsodzie tym nic zgoła, coby odpowiadało podobnym oczekiwaniom. Widocznie Słowacki odsunął stanowczo na bok od siebie wszystkie te pokuszenia, które wyzywać mogły do wysileń samę tylko wynalazczą imaginacyą poety. Nie chodziło mu bynajmniéj o zmyślenia, o artystyczne ale dowolne r o j e n i e czegoś, coby tylko bawić mogło czytającego. Chciał jedynie to opowiadać, w co wierzył; i pozostał nawet w téj części poematu wiernym założeniu, jakiemu całe to dzieło swoje poświęcił.

Z téjto przyczyny, ile mi się zdaje, pochodzi, że cały opis cierpień ducha obarczonego winą na drugim świecie i to wszystko, co o pobycie jego tamże autor powiada, zbyte jest zaledwo trzynastu strofami. Są to tylko najogólniejsze i że powiem, ołówkowe rysy obrazu. Cały ostateczny sens rzeczonych trzynastu strofek, umieszczonych na samém czele rapsodu, mieści się oto w tych kilku wierszach:

„O téj krainie żaden duch nie gada,
A nawet onych mąk pamięć utraca;
Bo pamięć taka, choćby jaka blada,
Niweczy ciało gorzéj, niźli praca,
Niż nędza, która wnętrzności wyjada,
Niż przyjaźń, która zdradą się odpłaca..

*) Poema Piasta Dantyszka o Piekle.

Dla mnie — zniknęło męczarni oblicze
I od świtania w niéj... znów czasy liczę."
(Strofa XI).

Począwszy od strofy XIV poczyna się też już opis właśnie owego „świtania w męczarniach". Przysłane zostają do pokutnika naszego dwa duchy, które mu obwieszczają, „że grzechy jego zostały odpuszczone" i że poruczone mu jest do spełnienia wielkie zadanie w przyszłości, zawsze w obrębie jego ojczyzny (strofa XIX). Ponieważ — dla dopełnienia reszty tych wszystkich przejść bolesnych, jakie mu za karę były odmierzone na tamtym świecie — bohater poematu jako duch, a raczéj jako upior, przytomnym, a nawet współdziałającym na ziemskiéj zdarzeń widowni także być musi przez czasu przeciąg niejaki: zstępuje zatém na ziemię i jako widmo Popiela zjawia się owym dwunastu wojewodom, którzy rządzili po jego zgonie nad Polską. Widok bezprawi, jakie się działy pod rządami tych dwunastu, i za panowania Popiela II, stanowi właśnie jedno z największych udręczeń téj duszy pokutującéj. Widzi on bowiem, że to wszystko złe dzieje się właśnie pod jego sztandarem, w jego imieniu, torem tradycyj od niego datujących w narodzie. — Począwszy od strofy XXXVII, świt przebaczenia win jego zaczyna jaśnieć słoneczniéj: losy narodu przechodzą pod zarząd kmiotka owego z Kruszwicy, który sam jeden wtedy w ojczyźnie nosił w sobie owo Słowo narodu, które rozwinąć do zupełnéj pełni i blasku było ostateczném króla-ducha zadaniem. Podług założenia poety, owym Piastem był nie kto inny, jak Zoryan, ów prorok i harfiarz

spalony przez Popiela na stosie. Duch tensam, tylko — jak się autor wyraża, „na nowéj kwitnący łodydze“, t. j. odrodzony w innym żywocie.

Rządy Piasta i najbliższych z jego pokolenia były błogie, kojące rany narodu; ale były bez sławy, bez wielkości, bez rozgłosu. Były to pokorne i tylko potulne tony, wydzielone z téj świetnéj i bogatéj symfonii, która grała całym chórem za czasów Popielowych — mimo okrucieństwa, które jéj harmonią kłóciło. Bez względu na to — choć tak wielce zniżony i stłumiony został nastrój téj społeczności kierowanéj ręką Piastów: bohater poematu, duchem już uniżony przed Bogiem, dobrze życzy temu rodowi na tron jego powołanemu i zlewa swoje błogosławieństwo na wszystkie hasła i postępki jego, na wszystkie drogi, którymi naród pod jego kierunkiem pójdzie, na całą tę pokorę, jakiéj znamię Piast dopiero na społeczeństwie wyciska; słowem na wszystkie włókna i atomy, składające całe jestestwo ojczyzny. Po ostatniém, po siódmém błogosławieństwie — „spojrzał Pan na ducha tego litośnie“ — i dał mu wreszcie zasnąć po wiekowych trudach i mękach. Ten spokój i odpoczynek po strasznéj pracy — to największe szczęście, jakie czasami osięgają duchy wybrane.

„Niech nikt nie myśli, że jest upominek
Dla ducha większy jaki — nad spoczynek!“

wyrzekł poeta nasz jeszcze w jednéj ze strof rapsodu pierwszego. Otóż dozwala Bóg teraz i temu znękanemu duchowi zasnąć z uśmiechem i z ciszą w myślach, wcieliwszy całe jestestwo jego w oj-

czyznę. I tak przeminął znowu wiek cały. Ani czuł bohater pieśni, jak wśród wiekowego tego snu i uśmiechu jego w ojczyźnie — owe zrazu tak czyste miody Piastowe już znowu mącić i brudzić się zaczynały. W ciągu czasu, który wszystko niweczy, i te tradycye się więc zużyły! Chata kołodzieja z Kruszwicy, niegdyś nawiedzana przez anioły, „zwolna traciła swoje złote goście“ (strofa LVI). Więc wreszcie niepokój i rwanie się do życia zaczyna znów króla-ducha ogarniać... i przyszła z wyroków bożych godzina, gdzie czynność jego na ziemi stała się koniecznością. Rodzi się jako człowiek śmiertelny — imię mu teraz Mieczysław I...

Aczkolwiek cały pomysł tego rapsodu — z punktu widzenia poety — dokładnie i z konsekwencyą jest przemyślany: — zaprzeczyć tego jednak nie można, że wrażenie, jakie sprawia na czytelniku, mniéj jest korzystne, aniżeli oczekiwanie, z jakiém go się bierze do ręki. Przeprowadzenie pieśni poprzednich jest szczęśliwsze. Więcéj tam jest ruchu, rozmaitości, zdarzeń przedmiotowych — słowem osnowy. Treść rapsodu drugiego, zamknięta wyłącznie w subjektywizmie opowiadającéj osoby, sprawia, że ta część poematu wygląda jakoś i mglisto i ubogo. Ta też okoliczność zapewne była jedyną tego przyczyną, że autor w późniejszych latach odrzucił ten rapsod jako nie zasługujący na ogłoszenie, a natomiast postanowił doczepić do rapsodu ogłoszonego drukiem bezpośrednio ów rapsod trzypieśniowy, który w wydaniu lwowskiém zajmuje trzecie

miejsce w składzie całego poematu, t. j. powieść wyłącznie za przedmiot swój mającą wspomnienia Piasta. Te kilka wzmianek, które koniecznymi się zdawały o zamogilnych losach bohatera, nieobecnego przez cały ten ciąg czasu na ziemi, miały być w rapsodzie tym rzucone już tylko mimochodem — w ustępach, gdzie się do tego nadarzała sposobność.

Teraz słów jeszcze kilka o waryantach tego rapsodu. Obrobień całkiem odmiennych „Rapsodu IIgo“ jest w ogóle trzy. Jedno daliśmy w texcie. Drugie obrobienie dołączyliśmy pomiędzy dodatkami na końcu drugiego tomu dzieł Słowackiego pośmiertnych od strony 343 do 352. To „drugie obrobienie“ znalazłem w dwu odrębnych redakcyach, które się jednak w drobniejszych tylko szczegółach różnią od siebie. (Mniéj wykończoną redakcyą i nie doprowadzoną też do samego końca, dałem drukować w Dzienniku lwowskim Literackim Nr. 85 roku 1865, strona 797 i i 798). Widoczną rzeczą jest, że podług tego „drugiego“ obrobienia, miała to być pieśń dołożona do rapsodu o Piaście jako jego dośpiew; i rzeczywiście znachodzi się też nad lepszą redakcyą téj waryanty w autografie napis: „Pieśń dopisana“, któreto wyrazy poeta następnie przekreśliwszy, położył natomiast tytuł: „Dokończenie“. — Trzecie nakoniec obrobienie było tylko częściami zaczynane i zawsze urywane wśród pracy: pozostały z niego tylko luźne ustępy, niełączące się w żadną całość. Cały szereg tych oderwanych fragmentów pozostawiłem w rękopisie, wyjąwszy trzy urywki szczególnie godne uwagi, które (na

stronicach 352 do 359) są dołączone do Dodatku tomu drugiego *).

Przystępuję teraz do rapsodu o Piaście, który w wydaniu lwowskiém nosi nazwę **Rapsodu trzeciego.** Wykładu wewnętrznéj jego osnowy dać nie zamierzam, raz dlatego że byłbym zmuszony zbyt długo zatrzymywać się w tym rozdziale nad tym jednym Słowackiego utworem; a potém i z przyczyny, że co w tym rapsodzie jest jasne i piękne i wykończone (a nie brak mu na ustępach skończonéj, posągowéj nieraz piękności): to wyrozumie każdy czytelnik i bez mego komentarza; co zaś jest oczywistą tylko allegoryą mistycznych pojęć, to zbyt jest trudném do tłómaczenia przy zupełnym braku klucza do tych wszystkich symbolicznych wyobrażeń w nim rozwiniętych. Całe naprzykład przedstawienie Pychy słowiańskiéj, wykradzenie przez tę Pychę ducha Ziemowitowi, pobyt jéj i czarodziejstwa przez nią dokonywane na górze Zober, Wodan — są to wszystko figuryczne jakieś pomysły, w które nam niepodobno jest prawie do rdzeni wniknąć — w duchu autora. Mógłbym o tém wprawdzie udzielić moich myśli; nie wiem jednak, czyby podmiotowe moje zdanie o tych ustępach było rzeczą dla kogo pożądaną. Pomijając zatém zupełnie wykład rapsodu trzeciego, poprzestanę na udzieleniu tu kilku

*) Wszystko z pośmiertnych Słowackiego papierów, co tylko nie mogło znaleść pomieszczenia w tomach przezemnie wydanych, zostało za zezwoleniem rodziny poety złożone w Bibliotece Ossolińskich. Może kiedyś zrobi kto i z tego jaki użytek.

tylko szczegółów o stanie, w jakim się ta część Króla-Ducha w papierach pozostałych Słowackiego znalazła, i o ilości waryantów tego rapsodu.

Rapsod niniejszy znalazł się opracowany niemal całkowicie, a zawsze inaczéj — cztery razy. Jedno obrobienie, na trzy podzielone pieśni, znalazło pomieszczenie w texcie drukowanéj edycyi. (Dodano mu tam jednak początek, jako też i zakończenie, wzięte z innych waryantów. Obacz stronę 201, 206 i 225). — Drugie obrobienie, w jednéj tylko pieśni objęte, ale zawierające zupełną całość — nie bez wielkich zalet artystycznych — dałem prawie całe między waryantami stanowiącymi Dodatek do tomu II, od stronicy 360—368. (Opuściłem tylko jego początek i koniec, jako mało odmienne od tego, co zostało wzięte do textu. Środek zaś cały rapsodu, jako i najwięcéj odrębny i wybornie oddany, odbity jest cały na rzeczonych stronicach). Te dwie redakcye zdają mi się być ostatnie. Wnoszę o tém z tego mianowicie, że „drugie obrobienie“, jak je tutaj nazywam, znalazło się już przepisane na czysto ręką samego autora; przepisywanie „pierwszego“ podobnież było przez niego samego zaczęte, ale już od siódméj zwrotki zastąpił tu poetę w kopiowaniu młody jego przyjaciel Szczęsny F. Ten odpis wspólny obu przyjaciół zdaje się być późniejszym od powyższego; a więc byłaby to redakcya najpóźniejsza ze wszystkich i dlatego też jéjto właśnie dałem pierwszeństwo nad innymi). — Trzecie obrobienie także się dzieli na trzy pieśni, ale w nich i rzecz sama i cały sposób przeprowadzenia takowéj od-

stępuje najzupełniéj od wszystkich innych redakcyj. (Król-duch wcielony tu jest z Wodana). Obrobienie to w całości dałem oddrukować w lwowskim Dzienniku Literackim roku 1865 Nr. 83 — 85. Pierwsza zaś pieśń jego, jako najwięcéj wykończona i z różnych względów najbardziéj godna uwagi, znalazła prócz tego jeszcze miejsce i w wydaniu dzieł Słowackiego, między waryantami danymi na końcu drugiego tomu, stronica 368—379. Ta „trzecia“, jak ją nazywam, redakcya zdaje się być najrychlejszą ze wszystkich. — Czwartém nakoniec obrobieniem możnaby nazwać ten cały bezlik urywkowych ustępów, rozproszonych po różnych częściach całego rękopisu, który zwolna powstawał w ciągu lat kilku. Ustępy te żadnych całości nie tworzą, obejmują jednakże niekiedy po kilka i kilkanaście zwrotek. Z téjto kategoryi waryantów wzięty jest wstęp i zakończenie, doczepione do rapsodu trzeciego, jak takowy wstawiony został do textu.

Tylokrotne przerabianie jednéj i téjsaméj rzeczy wskazuje na szczególną trudność przedmiotu. Stanowiła ją ta okoliczność, że w ogóle rapsod ten w budowie całego poematu zajmuje jakieś wyjątkowe położenie. Podczas gdy zdarzenia w innych rapsodach objęte, składają się na żywoty króla-ducha i jako własne jego czyny są też opowiadane zawsze przez niego samego: w tym rapsodzie rzecz jest o Piaście i jego rodzinie, z którą bohater poematu nie tylko nie miał żadnéj wspólności, ale nawet nie żył wtedy na ziemi, kiedy się to wszystko działo... Otóż była tu dla poety trudność w tém, że się nie nastręczała żadna

osoba, którąby była mogła być snadnie użytą za opowiadającą owe piastowe legendy. Włożyć rzecz i tutaj w usta królowi-duchowi — to miało swoje znaczne niedogodności. A dać tę powieść od siebie, jako po prostu od autora — tego Słowacki nie mógł już z téj prostéj przyczyny, że z założenia całéj niniejszéj kreacyi i z najgłębszéj, posuniętéj u niego do dogmatyzmu wiary, identyfikował on osobę własną z bohaterem dzieła swojego i nie w innym sensie przesuwa w niém wątek całych jego dziejów mistycznych, jak tylko w tym że to jest j e g o własna odwieczna przeszłość, własna jego coraz się powtarzająca palingeneza, aż do obecnego żywota, w którym mu wypadło iścić posłannictwo swoje w roli poety i walczyć z szatanami epoki — na polu myśli, potęgą słowa...*)

Rapsod czwarty, zatytułowany M i e c z a S ł a w a, łączy się bezpośrednio z rapsodem drugim, jako jego najwłaściwszy ciąg dalszy. Legenda o Piaście w trzecim rapsodzie rozrywa z pewną niedogodnością tę ścisłą łączność. — W nowym tym rapsodzie daje poeta wizerunek dalszego znowu żywota swojego bohatera. Duch Popiela otrzymawszy przebaczenie od Boga za to wszystko, co

*) Ktoby się chciał dowodnie o tém przekonać, niech z sobą porówna następujące miejsca w różnych rapsodach K r ó l a - D u c h a: W Tomie II strony 202 strofa IV. Strona 204 str. XI. Strona 254 i 255 strofy XXXI—XXXV. Strona 265 str. LXXIV. Strona 268 str. X. Strona 288 str. III. Strona 289 str. IX. Strona 327 str. VI. Strona 337 str. II i IV. Strona 356 str. I.

zgrzeszył, rodzi się jako człowiek na nowo i zostaje wcielony w osobistość Mieczysława I. Znów tedy prowadzi daléj opatrznościowe swoje nad Polską posłannictwo w osobie panującego. Wartość cztérech pieśni, na które się rapsod ten dzieli, nie zawsze ma się do siebie w równym stósunku. Dwie pierwsze pieśni są bez porównania i więcéj wykończone i treściwsze, aniżeli obie ostatnie. Młodość Mieczysława — jego ślepota — postrzyżyny i odzyskanie wzroku, prześlicznie to wszystko jest opisane. Z wielkim także wdziękiem przeprowadzona jest opowieść o swadźbie, o przybyciu do Polski i zaślubieniu Dobrawny czeskiéj. Nie bez zalet niepospolitych jest i dalszy ustęp, w pieśni trzeciéj, traktujący o rozmaitych wrogach, którzy się równocześnie walą na państwo Mieczysławowe. Ku końcowi pieśni rzeczonéj natchnienie poety słabnie, a raczéj przemaga tam znowu owa mglista mistyczność, gubiąca się w abstrakcyach przyswojonéj doktryny. Widzenie Mieczysława, mające za przedmiot całe dzieje powszechne, nie może zająć czytającego. O ile jest podobném do rozumienia, nie przechodzi granic najzwyczajniejszych wyobrażeń i graniczy prawie z trywialnością. O ile zaś usuwa się z pod możności wykładu, nie może mieć dla nikogo żadnego zgoła znaczenia. Jeszcze gorsze wrażenie sprawia osnowa pieśni czwartéj, w któréj Dobrawna długo i szerogo swoje znowu opowiada wizye Mieczysławowi. Wizye te prawie całkowicie nazwać należy dla czytającego zagadką. A zagadka ta tém więcéj sprawia w tém właśnie miejscu niesmaku, że następuje tuż po ustępie takiéjże treści, nuży zatém jednostajnością.

Sam koniec pieśni czwartéj ma znowu rzewne strofy i głębokie nieraz pomysły.

Waryantów w granicach i tego rapsodu okazała się liczba niemała, lecz właściwie tylko w zakresie saméj pierwszéj pieśni. Odmiennych opracowań téj pieśni, gdybyśmy z nich takie tylko tutaj liczyli, które przynajmniéj połowę całéj pieśni wynoszą, wykazaćby można siedem. Gdyby zaś zliczyć krótsze odmianki, znachodzące się jako luźne, z kilku tylko złożone strofek urywki, rozrzucone po całym rękopisie: to liczba ta okazałaby się trzy razy większą. Są to kawałki wielkich niekiedy zalet; odnoszą się to do tego miejsca, to do owego. Różnią się pomiędzy sobą tylko sposobem wyrażenia i w ogóle formą — nigdy zaś rzeczą. Niepodobno z nich jest atoli złożyć całości. Text pierwszéj pieśni, zamieszczony w wydaniu mojém, obejmuje w sobie — o ile się to tylko uczynić dało — zestawienie najlepszych poszczególnych waryantów, jakie tylko się znajdowały w tych tak licznych opracowaniach. — Dalsze pieśni tego rapsodu okazują się już więcéj z pierwszego rzutu. Pieśń druga miała tylko w jedném miejscu pierwotnie przez kilka oktaw inne rzeczy saméj przeprowadzenie, które autor potém przekreślił i odmiennymi szczegółami zastąpił. Obie pieśni ostatnie znalazły się w brulionie bez żadnych przeróbek i zdają się też być w ogóle zgoła niewykończone. Tak naprzykład koniec pieśni drugiéj i początek trzeciéj traktują w podobny sposób rzecz zupełnie tęsamę; coby być oczywiście nie mogło, gdyby ta część poematu była otrzymała wykończenie należne. Wydawca musiał to wszy-

stko, jak się samo rozumie, wstawiać w text w téj postaci, jak ją w autografie znalazł — choć nie bez świadomości, że niejednemu ustępowi brakuje związku z całością, jasności i ogłady *).

W **Rapsodzie piątym** spostrzegamy króla-ducha w nowym znowu żywocie. Duch niegdyś Popiela, późniéj Mieczysława, przychodzi na świat i teraz znowu jako władca narodu, powołany do posunięcia przeznaczeń jego o krok daléj ku wytkniętemu ojczyźnie naszéj celowi. Imię mu teraz Bolesław Śmiały. — Rapsod ten obejmuje pieśni cztéry, nie jest jednakże ukończony. Zdaje się, że rzecz ta zaledwie doprowadzona została do połowy; urywa się bowiem wątek poematu już na wskrzeszeniu z martwych Piotrowina przez Stanisława świętego. Równie też i każda z czterech jego pieśni z osobna wzięta przedstawia tylko pierwszy rzut kompozycyi, któréj zupełnie zbywa na tém, co nazywamy ostatnią ręką. Wnosząc

*) W dalszym ciągu, po powyższym rapsodzie, rozpoczął był Słowacki osobną pieśń, w któréj ukazany w szczegółach być miał bezcielesny byt ducha Mieczysława I, od chwili jego zejścia ze świata; a równocześnie z tymi pozgonnymi jego dziejami miał być dany i wizerunek rządów i przewag w narodzie polskim syna jego, Bolesława Chrobrego. W tymto rapsodzie miał znaleść pomieszczenie ustęp ów o słupach wbijanych w Dnieprze, który z małymi zmianami obecnie okazuje się doczepiony przy końcu pierwszéj pieśni rapsodu o Bolesławie Śmiałym. Część tę poematu autor dość już daleko był posunął; pomimo tego następnie pomysł jéj cały jednak odrzucił. Zbyt fragmentaryczna pieśni téj postać nie dozwalała udzielić z niéj wyjątków w drukowaném wydaniu.

z różnych niewątpliwych skazówek, twierdzić można na pewne, że pisane to wszystko być musiało w ostatnich miesiącach, jeżeli nie tygodniach życia poety *). Śmierć zatém tak wczesna była jedyną tego przyczyną, że cały ten dział poematu pozostał w kształtach istotnie pierwszéj improwizacyi, która zapewne ani już nawet odczytana nie była przez autora, zostawszy w pośpiechu i zamęcie rzuconą tak na papier, jak się zarysowała w pierwszém jego natchnieniu. Stądto znajdujemy w całym tym rapsodzie przy potężnych nieraz ustępach, w porywający opowiedzianych sposób — strofy częstokroć niezwiązane ze sobą, dla niedość zaokrąglonéj budowy zdań bardzo trudne do rozumienia, oddane tokiem zawikłanym, urywkowym i tylko jak przez gazę pomysł poety wydającym na zewnątrz. Pismo nader niewyraźne i wielokrotnie w jedném i témsamém miejscu przemazywane w wszelkich kierunkach — i w wierszach i nad wierszami — przywodziło też niekiedy niemal do rozpaczy wydawcę...

Oczywistym zamiarem Słowackiego było, przeprowadzić w taki sposób cały wątek dziejów ojczystych, przedstawiony jako działanie jednego głównie czynnika, stawionego w tym narodzie na pierwszém zawsze miejscu, bądź to na tronie, bądź

---

*) W różnych miejscach manuskryptu tego rapsodu znachodzą się między strofami textu wtrącone urywkowe ustępy testamentu Juliusza. Wiadomém jest, że pisał on testament swój krótko dopiero przede śmiercią — już w roku 1849. A zatém w pierwszych miesiącach roku owego mógł też być dopiero i ten rapsod pisany.

na innêm skądinąd tak podniosłêm w sferze duchowéj stanowisku, że czyny, błędy, grzechy, zbrodnie, zasługi i poświęcenia jego oddziaływały na całe powodzenie społeczeństwa narodowego.

— Gdybym miał wyrzéc ogólne zdanie moje o têm całêm dziele ostatniêm Słowackiego, powiedziałbym: że sądzić je wypada z dwóch odrębnych zgoła punktów widzenia.

Jako wyraz doktryny, jako pomysł oparty na wierze w przechodzenie duszy z jednego ciała w drugie — jest to przypuszczenie, które trudno uważać za coś więcéj, jak za senne tylko marzenie. Myśl taka sprzeciwia się i wszystkim warownie stojącym artykułom wiary naszéj i naczelnym wypadkom wiedzy dzisiejszéj. Solidarność pewna przeszłości z obecnością nie daje się zaprzeczyć, to prawda. Odsłania się ona widocznie w ciągu pokoleń poszczególnych rodów a rodów, odsłania się i w toku powszechnych dziejów, toż w tradycyi narodu. Wnukowie są z dziadami złączeni pewną niewidzialną wstęgą i krwi i dążeń, i cnót i wad. Ale ażeby zrozumieć to wszystko: nie potrzeba do tego takich mistycznych kluczów. Że założenie Słowackiego w tym poemacie miało w sobie coć sprzecznego ze wszystkiêm, czego się tylko tknęło: to już i w têm się okazuje, że praca ta poecie nie szła od ręki. Biedził on się z dziełem têm bardzo, przez lata całe — i nie umiał sobie z niêm nieraz prawie dać rady. Mimo pozoru dogmatyzmu i wiary, z jaką przedmiot traktował, chwiał on się ciągle w najgłówniejszych pomysłach, a mianowicie co do tego wcielania się

duchów w żywoty ludzkie. I tak Piast w jednêm opracowaniu był mu wcieleniem ducha Lecha, w innéj redakcyi znów ducha Zoryana (harfiarza), w trzecim wreszcie rzucie (wziętym do textu) niema on z nikim innym wspólności. Podobnie i sam bohater poematu, Król-Duch, to się staje Wodanem (synem Piasta), nim mu wypadło następnie zrodzić się w osobie Mieczysława — to znowu przepędza ów czas w krainie zaświatowéj, nie będąc wcale człowiekiem przed swojém zrodzeniem się jako Mieczysław I. Widać w tém wszystkiém jedynie czynność excentrycznéj fantazyi, przybierającéj mimo to pozory jakiéjś intuicyi proroczéj z uroszczeniami do nieomylności, których nic zgoła nie usprawiedliwia...

Lecz to jest sąd o Królu-Duchu wydany z jednego tylko z dwojga owych stanowisk, o jakich nadmieniłem powyżéj. Obok strony dogmatycznéj, ma kreacya ta także i stronę drugą — artystyczną. Jako przeprowadzenie całego szeregu obrazów, zdjętych z kilkowiekowego żywota Polski. i jako poczet wizerunków najwydatniejszych osobistości w obrębie dziejów i podań naszych — niezaprzeczenie poemat ten miałby wielkie znaczenie, gdyby był dokończony i wykończony. W tym stanie, w jakim pozostał, zaleca on się tylko mistrzowskiém obrobieniem niektórych chwil narodowéj przeszłości, a nadto zmusza nieraz do podziwu i językiem znakomitéj dzielności! Język ten smukły, gibki, zwięzły, a zawsze muszkularny stanowi też główną poematu tego ozdobę. Mógłby on przywieść do zazdrości niejednego z po-

etów, mających skądinąd prawo liczyć się do celniejszych pisarzy naszych!

Teraz wspomnę o innéj pracy Słowackiego, która o tyle się wiąże z poematem powyższym, że z jego tylko powodu została prawdopodobnie podjętą. Przypada ona albo na czasy, kiedy Juliusz Króla-Ducha zaczynał, albo też właśnie go rozpocząć zamyślał. Mówię o Przekładzie kilku ustępów Iliady. Przepyszne to są urywki! Jeżelibyśmy mieli kiedykolwiek czytać Homera z oną lubością, z jaką go niegdyś czytali Grecy, albo z jaką my dzisiaj naszego Pana Tadeusza czytamy, to tylko chyba w taki sposób musiałby on być spolszczony. Może w tém przyczyna tego, że Słowacki co do wyrazów szczegółowych wcale się oryginału nie trzymał. Nie przekraczał on wprawdzie nigdy granicy sposobu i nastroju starożytnego. Ale w obrębie rzeczonym raczéj Homera parafrazował, aniżeli przekładał. Z tém wszystkiém co to za wysłowienie! jaka dzielność i dosadność wyrażeń! Wiersz wspaniały, pełen wagi i kolorytu, obfity w zwroty potoczne, a jednak wiejący bohaterską potęgą! Z tych urywków więcéj wyrozumieć się daje, że to pisał człowiek genialny, niżeli z niejednego własnego jego utworu! Nie jest to wprawdzie sposób, w duchu którego życzyćby należało w ogóle, ażeby pisarze nasi spolszczali obce, a zwłaszcza starożytne kreacye. Na téj drodze bowiem bardzo łatwo uronić wszelkie znamiona pierwotnego charakteru oryginału. Ale czytając te Słowackiego ustępy, chętnie każdy,

jak sądzę, powie mu: *Tibi soli!* i nie pożałuje, że i w taki sposób choć kilka tylko prób téj prastaréj poezyi ukazano w naszym języku.

Nie sądzę, żeby miał był zamierzać kiedy Słowacki zająć się przekładem całéj Iliady. O Homera pewnie mu tu nie chodziło. Nie tłómaczył go też z oryginału i niewątpliwie ani nawet nie przełożył nic więcéj, jak tylko tyle, ile się właśnie na tych kilkunastu kartkach po śmierci jego znalazło. Najprawdopodobniéj było to tylko jedno z przygotowawczych studyów do poematu o Królu-Duchu. Chodziło poecie o dobranie sobie najwłaściwszego toku i tonu językowego, a więcéj jeszcze o dobór odpowiedniego przedsięwziętemu dziełu rodzaju wiersza i rytmu. W rękopisie Króla-Ducha znaleźliśmy jako waryanty nieraz całe ustępy, w innych formach pisane, jak w tych oktawach wierszy jedenasto-zgłoskowych, w jakich ostatecznie najbardziéj lubił wylewać natchnienia swoje Słowacki. Otóż wnosić się godzi, że między innymi przyborami, jakie się robiły przed rozpoczęciem dzieła, rozczytywał on się i w Homerze, tym protoplaście wszystkich epików. A porwany urokiem i pięknością kilku celniejszych ustępów, powtórzył je po swojemu w brzmieniu swojéj mowy ojczystéj.

— Wszystkie wymienione aż dotąd prace Juliusza, po roku 1842 powstałe, mają to między sobą wspólnego, że nie noszą na sobie wybitnego znamienia czasu. Skądinąd bywa to uważane za piętno wyższych utworów poetyckich, że takowe — bezpośrednio lub pośrednio, potakując albo przecząc — dążnością swoją towarzyszą zazwyczaj

chwilowemu usposobieniu społeczeństwa, w łonie którego powstały. Słowacki w latach owych zostawał względem ogółu narodowego w wyjątkowym stósunku. Natchnienia jego płynęły z źródeł sobie tylko właściwych. Doktryna jego nie przystawała wcale do powszechnego poczucia. Płody jego poetyckie téj doby nie mogły tedy mieć związku z potrzebą chwili i nie miały też, jak wnosić można', nawet ani przeznaczenia być tak zaraz oddawane do rąk narodu. Z drugiéj strony — od czasu wydania Snu Salomei (1844) — przestał i kraj już przywięzywać wyższe znaczenie do jego publikacyj. Mało kto wtedy już troszczył się o to, co tam pisze, co wydaje Słowacki. Przesłoniła go od narodu owa gęsta chmura mistyki, w jakiéj utonął...

Wyjątkowo jest jeden tylko wiersz pochodzący z lat owych, a bijący przeważnie tętnem chwili, co go wydała. Była to smutna chwila w niedawnych naszych dziejach — jedna z poprzedniczek klęsk lutowych roku 1846. Przypadkowa okoliczność wyrwała wtedy poetę naszego z medytacyj, w jakich był zatopiony, i zwróciła uwagę jego na stósunki dnia bieżącego. Spojrzał na nie, źle je pojął — i rzucił kilka strof między otoczenie swoje najbliższe, któreto strofy stały się głosem, posłyszanym doraźnie przez cały naród. Głos ten niestety skompromitował autora. Zaszły niebawem wypadki, które zadały fałsz jego hasłom, jego przestrogom i wróżbom, wygłoszonym z wszelkimi pozorami wieszczego natchnienia...

Ażeby zrozumieć, jak mogło przyjść do napisania owego wiersza przeciwko Krasińskiemu, trzeba się myślą przenieść w ówczesne okoliczności.

W czasie między 1840 a 1846 dochodziła zaciętość w postępowaniu skrajnych stronnictw emigracyjnych najwyższego szczytu swojego. Zaraz w roku 1831 zaczęto sobie wzajemnie wytykać grzechy popełnione w ciągu powstania. Społeczeństwo nasze rozpadło na wrogie sobie obozy. Dały się słyszeć zasady, przedtém nigdy tak stanowczo nie wygłaszane. Były one wielkiéj doniosłości na przyszłość; były nie mniéj ważne i co do sądów o całéj dawniejszéj narodowéj przeszłości. Przyzwano bowiem przed siebie blade postaci przodków i zapytano je, że tu użyję słów poety:

„Zaco życie — w życia chwili
Z taką pychą roztrwonili,
Że potomkom nie zostało
Ni potęgi, ni puścizny,
Jedno w zamian ich ojczyzny,
Rozebrane kraju ciało?“...

Analiza taka przeszłości wynikała wprawdzie z kolei rzeczy. Była potrzebna, mogła być użyteczna. Dobrych także owoców można się było spodziewać z tego podniesienia nowych idei, w imię których ożywiło się poczucie ducha narodowego. Niejedna jednostronność, tak w postępkach jak w zamysłach, mogła przez to być usuniętą; niejedno uroszczenie, na niczém nieoparte, mogło teraz być uchylone; niejeden niedostatek w sprawach powszechnych mógł zostać zastąpiony niezużytym i świeżym jeszcze materyałem działania nadal. Lecz jeśli te korzyści miały były być osiągnięte: to nieodzownym tego warunkiem był jasny i rozumny spokój ducha zapuszczającego się w trud

takich robót, a niemniéj też miłość słuszności i prawdy, większa nad miłość swego obozu. Na nieszczęście, cnoty te nie były przymiotem ludzi ówczesnych. Zabrano się do dzieła z zapałem, lecz był chorobliwy to zapał, który przy ciągłych protestacyach ze strony innych obozów aż nadto rychło wyrodził się w namiętność i fanatyzm i teroryzm, prawdziwie godny XVII wieku. Rozbiór przeszłości narodowéj pod wpływem takiego ducha nie wydał żadnych pożądanych owoców. Zaczęto przeszłość krzywdzić — obecność zakłócać — przyszłością grozić. Siła i zacność ducha narodowego ucierpiała na tém wszystkiém nierównie więcéj, aniżeli na stratach materyalnych roku 1831...

Najjaskrawszym i najszaleńszym może wyrazem całéj téj zaciekłości wersalsko-poatierskiéj były dwa dzieła, pod przybraném nazwiskiem Prawdowskiego właśnie wtedy w obieg puszczone. Jedno miało tytuł: „O prawdach żywotnych narodu polskiego.“ Bruxella, 1844; drugie: Katechizm demokratyczny, czyli opowiadanie słowa ludowego.“ Paryż 1845. Książki te były napisane w celu praktycznym, prowokacyjnym. Ogłaszały zasady, żadnéj wspólności nie mające z nazwami, których brzękiem się zasłaniały. Nie były to bowiem ani prawdy, ani żywotne, ani wreszcie demokratyczne! Był to już raczéj zamach ojcobójstwa względem przeszłości własnéj — akt zerwania wszelkich węzłów tradycyi. Wszelka miłość nazwana tu została słabością, powaga hipokryzyą, umiarkowanie zdradą. Pół narodu wydziedziczano z czci i odtrącano od posługi krajowéj. A wśród tego wszystkiego hała-

śliwie zapowiadano, że nadeszła chwila stanowcza, godzina czynu...

Przeciwko takim dążnościom, a przedewszystkiém z powodu obu książek rzeczonych, wystąpił w r. 1845 z Psalmami swymi Krasiński, które wydał pod odpowiedniém sytuacyi nazwiskiem, pod imieniem przybraném Spirydyona Prawdzickiego.

Mówiliśmy już w jednym z rozdziałów poprzedzających o powodach niechęci, jaka wtedy miała miejsce od niejakiego czasu między Krasińskim a Słowackim. Mógł się przyczynić do większego jeszcze zrażenia Słowackiego ku Krasińskiemu i Przedświt, ogłoszony w roku 1843.

Znajduje się tam niejedno, co Słowackiego niepomału zadziwiać mogło w ustach, nie tak dawno jeszcze temu autora... „Komedyi Nieboskiéj.“ Stanowisko zajęte przez Krasińskiego w Przedświcie było bardzo bliskie drugiej skrajnéj ostateczności. Tylko mimowolny nacisk, bardzo zresztą naturalnéj u niego opozycyi przeciw centralizacyjnym jak je wtedy nazywano robotom, mógł tu wieszcza naszego popchnąć aż do wyrzeczenia pomysłów, tak wątpliwej oto trafności, jak np. następujące :

„Ty nie szukaj w ojcach winy,
Ty nie wdawaj się w szyderstwo!
Bo to potwarz i bluźnierstwo!
. . . .

„Łaska boża
Nas wegnała w te bezdroża:
Niechaj będzie pochwalona!“
. . . .

„My umarli pośród świata
Z świętéj do świata miłości!“ itp.

. . . .

To są zdania, które niepodobno żeby nie miały się wydawać... bardzo problematycznymi w oczach każdego, komu tylko milsza prawda szczera, choćby bolesna, aniżeli pocieszająca się w biedzie próżność narodowa i miłość własna! —

Słowacki nie należał do żadnego obozu politycznego, i nie miał nigdy w niczém żadnéj wspólności z robotami Centralizacyi. Lecz i w jego przekonaniu było to już niejako dogmatem wiary, że się w narodzie naszym grzeszyło i błądziło dawniéj w niejedném, co na przyszłość koniecznie odmienić, naprawić, powetować należy. Duch przeszłości — a duch przyszłości: były to rzeczy zupełnie różne w oczach poety naszego. A kiedy widział, że téj prawdzie oczywistéj, dziejami kraju naszego, dzisiejszym stanem naszym społecznym tak niewątpliwie popartéj, już nawet i Krasiński zaczyna przeczyć bezwarunkowo: to go to koniecznie musiało drażnić w namiętny sposób i wzbudzać w nim uczucia, jakich się doznaje przy każdém bolesném a niespodzianém rozczarowaniu. Zniechęcony, zgorzkniały — zwątpił on od owéj chwili do reszty w niepokalaną czystość natchnień dawnego przyjaciela.

Otóż w takiémto będąc przez cały ciąg czasu owego względem niego usposobieniu, ujrzał w roku 1845 wydane trzy pierwsze Krasińskiego „Psalmy Przyszłości.“ Nie bacząc na to, że autor Psalmów pod niejednym względem odstąpił tu od skraj-

ności stanowiska, chwilowo tylko zajętego w Przedświcie; nie zwróciwszy na to uwagi, że sama np. strofa następująca:

Któż zachwycon zdarzeń ściekiem,
Nie popełnił nigdy winy?
Chyba jeden — ten Jedyny,
Co był Bogiem a Człowiekiem!
Jakiż naród — jakiż stan —
Wiekże jaki, z czystém czołem
Krzyknąć może: „jam Aniołem!
Jam nie zadał drugim ran“?

nie rozważywszy mówię, że to samo jedno przyznanie już wystarczało, ażeby każdego przekonać, iż wieszcz ten podniósł się tu natchnieniem na wysokość, któréj nie dosięgają żadne samolubne uprzedzenia stronnicze: nie zrozumiał, nie dostrzegł, nie umiał ocenić Słowacki w Psalmach Przyszłości tego wszystkiego, co w nich rzeczywiście było wieszczego. Uczepił się natomiast wyrazów, które — jak ów wiersz z przyciskiem wyrzeczony w Psalmie Miłości: „Hajdamackie rzućcie noże!“ — miały w jego oczach znaczenie protestacyi przeciw katastrofie, do któréj się właśnie gotowano natenczas. Wziął to za objaw wstrętu przeciw wszelkiemu ruchowi, któryby prowadził do przetworzenia danych stósunków. Naprężenia w społeczeństwie, już gotowego w niektórych częściach kraju, Słowacki nie znał. Zamętu fatalnego w umysłach nie przypuszczał. Sprężyn w działaniach gotujących się do czynu nie oceniał. Z wysokości zawrotnéj tych mistycznych kontemplacyj, w których się od dawnego czasu kołysał,

spojrzał na rozterk stronnictw — i nie umiał w nim niczego takiego dostrzéc, coby usprawiedliwiało taką zgrozę u drugiego poety. Dla Słowackiego wszelki ruch w społeczeństwie był pożądany. Wierzył w wszechmoc i wszechobecność potężnych duchów, spełniających misye swoje za pośrednictwem żyjących osób. Wierzył, że co tylko się stanie i z jakiegokolwiek punktu wyjścia wyniknie, prędzéj czy późniéj zbliży korab wieków do wytkniętego mu portu — mniejsza o to, pod czyim sterem, w imię jakich godeł i nawoływań ta żegluga przez wzburzone fale społeczne będzie odbyta. Słowacki lękał się tylko jednéj rzeczy — martwoty, zastoju, nieruchomości...

Pod wpływem takiego to więc usposobienia, natychmiast po ukazaniu się Psalmów, napisał z goryczą i z szyderstwem ów wiersz namiętny, wymierzony przeciwko Krasińskiemu, w którym obok najszczytniejszych zalet artyzmu, obok niejednego miejsca napisanego w wielkiém ducha podniesieniu, napotykamy tyle rzeczy jaskrawych i niesprawiedliwych, a w każdym razie... wypowiedzianych nie w porę...

Same okoliczności czasu owego i forma tego wystąpienia przeciw Psalmom Przyszłości sprawiły, że opinia publiczna przyjęła ten głos Juliusza, jako ujęcie się za zaczepionym obozem. Każdy wedle przekonań i usposobień swoich to się z tego cieszył, że się autor Beniowskiego do zastępu „ludzi czynu“ przyłączył, to razem z Przeglądem Poznańskim płód ów z ubolewaniem najżywszém „Herostratowską pieśnią“ nazywał. Tymczasem wiersz

obiegał z rąk do rąk w coraz liczniejszych odpisach, do druku on bowiem nie był oddany. (Wyjście jego nastąpiło dopiero w r. 1848, a i wtedy nawet bez wiedzy autora).

Niezadługo doszła o nim wiadomość do matki autora. Pani Bécu, rozżalona, skwapliwie napisała do syna, karcąc go za to, że przyjaciela zaczepia. Oto, co jéj odrzekł na to Słowacki:

„Jeżeli mnie zapytasz, czy wart jestem ludzi szacunku i miłości, to Ci z sumieniem odpowiem, iż pracuję ciągle i krwawo, abym na to oboje zasłużył. Lecz jeśli będziesz pytać o ten fakt, czy mnie taki a taki człowiek kocha: na to Ci odpowiem, że serca są w ręku Boga, a ja mogę zasługiwać na nie, a nie mieć ich. Bolałem więc mocno, gdy mnie niby strofujesz, że obrażam moje przyjacioły. Nikogo nie obrażam. Ale praca moja tysiące ludzi obrazić może. Dla takich to rzeczy mocniéj niż kiedykolwiek boleję nad rozłączeniem naszém. Czas płynął — jam może szedł naprzód prędzéj, niż ludzie idą, niż nawet Ty sądzisz, że iść mogą. Bo doszedłem celów ostatecznych, które Zbawiciel nam jak przez mgły pokazał." itd.

To było pisane d. 2 lutego 1846 r. Z taką więc pewnością siebie, z taką ufnością w właściwość stanowiska, jakie chcąc nie chcąc był zajął, mówił o tém Słowacki na kilka dni tylko jeszcze przed rzezią galicyjską.

Tych dni kilka upłynęło, i katastrofa nadeszła. Wypadki, jakie z sobą przyniosła, nie były wprawdzie bezpośrednim wynikiem działań stronnictwa,

potępionego przez autora trzech Psalmów. Z jakiéjkolwiek jednak strony dany był do tego popęd, jakiekolwiek okoliczności, przez nikogo nieprzewidziane, przyczyniły się do tego, że ten pożar społeczny, w zarodach dawno tlejący, buchnął teraz właśnie żywym płomieniem i tak daleko rozlał niezbrodzone fale krwi i zagłady: — wrażenie pierwsze było zawsze tego rodzaju, że dążność wiersza, o którym tu mówimy, zwróciła się, szczególniéj w pierwszéj chwili, najfatalniéj przeciwko jego autorowi. Lud, tak wysoko postawiony w owéj wieszczéj improwizacyi, zajął rolę zbrodniarza i bratobójcy. Szlachta zajaśniała blaskiem jeśli nie nowéj zasługi, to w każdym razie nowego, a niczém niezasłużonego cierpienia. Jéj losy ukazały się na nowo jako zlane nierozłącznie z losami saméj ojczyzny. Śmiałe, z proroczém uroszczeniem rzeczone twierdzenia poety, jakoby z owéj strony nic nie groziło porządkowi towarzyskiemu, okazały się marzeniem złudném i fałszem! Wszystkie roboty, wszystkie kierunki, przeciwne stanowisku Psalmów Przyszłości, podległy teraz potępieniu nieodzownemu. Krasińskiemu nawet przeciwnicy jego nie mogli teraz już odmawiać smutnéj w tym razie, lecz zawsze chlubnéj i świetnéj nazwy — prawdziwego wieszcza przyszłości. —

Wtedyto, wśród upokorzenia, jakiego doznał, pożałował Słowacki wszystkiego, w czém przeciw Krasińskiemu zawinił! Zarzuty, które mu dawniéj robił, rozchwiały się teraz w nicość. Stanął przed jego oczyma Zygmunt — w téj postaci, z tym pociągiem magnetycznéj sympatyi, jak kiedyś dawniéj, jak w Rzymie, „w willi róż“... Nie tyle jeszcze

przykro mu było, że napisał ów wiersz przeciwko Psalmom jego zwrócony. Wiersz ten nie był drukowany, nie miał nigdy być ogłoszony; mógł w porę jeszcze zostać stłumionym i może nigdy (tak sobie wtedy tuszył Słowacki) do wiedzy Krasińskiego nie dójdzie. Tém bardziéj zato darować sobie nie mógł ustępów niektórych w Księdzu Marku. Bądź jak bądź, mówiło mu sumienie, że co się źle zrobiło, to naprawić należy.

Wtedyto więc niewątpliwie napisał do Krasińskiego ów list bez daty, który w pierwszym rzucie znaleziono w pozostałych jego papierach i z którego tu przytoczę kilka ustępów. Jak zobaczymy, usprawiedliwiał się w nim Słowacki tylko za Księdza Marka. O drugim zaś wierszu owym nie mówi wcale, choć przypadek dziwny zrządził, że koncept listu tego był pisany właśnie na kartach, mieszczących w sobie pierwszy rzut „Wiersza do autora Trzech Psalmów," już to na marginesach, już poprzek pierwszego pisma *).

„Dzisiaj był u mnie Gaszyński (taki początek listu). Mówi mi, że w liście Twoim dopytujesz się o mnie. A gdym rzekł, iż sam w ostatnim liście zerwałeś ze mną korespondencyą **), żegnając mię obiecał uwiadomić Cię o mojéj przyjaźni. I wyszedł mówiąc, iż za dziesięć dni list od Ciebie mieć będę.

Postanowiłem ten list Twój uprzedzić. Do mnie bowiem należy rozpoczęcie rozmowy i ton jéj. Kocha-

*) Ta jedynie okoliczność ułatwia też właśnie domysł, kiedy list, o którym tu mówimy, mógł być pisany.

**) To się odnosi do zajść pomiędzy nimi w 1843 roku.

łem Cię, jak dziecko, jak gdybym dzieckiem był, kochałem Ciebie.

Szczerze teraz. — Wiem, dlaczego nie piszesz, a sam nie wiem, czy pisać możesz. Jeżeli Twój duch stoi na wysokości właściwéj jemu, powinieneś kochać mnie i szanować; jeśliś dotąd cielesny jest z centaura, z orła i z lwa, jako ów człowiek Platońskiéj republiki, powinieneś jak centaur stratować, jak orzeł wszponić, jak lew rozerwać; a ja powinienem Ci się oprzéć jako Ecce Homo dzisiejszy, to jest ducha wyraziwszy ciałem, nie będąc niewolnikiem nawet przyjaźni. Przed Tobą wszakże, jedynym moim w złych czasach przyjacielem, przed człowiekiem, który wtedy niskość mojego ducha podnosił nieraz i stroił, muszę stanąć jako instrument, który chociaż przez anioły niebieskie dziś jest strojony, wszakże kluczowi swojemu dawnemu odpowiada.

Smętnéj więc rzeczy dotknę — tak było:

W pierwszym szale rozbudzonych we mnie ducha wnętrzności, chcąc koniecznie wytłómaczyć się — nie z idei, bo ta tomów i wieków by potrzebowała — ale z ideału, to jest z pierwszego owocu idei: wpadłem bezmyślnie na jedyną figurę historyczną i wypadek, który mógł przez usta moje wytłómaczyć, czego chcę i co pojmuję. Obrałem księdza — a sama nędza zewnętrzna w wykonaniu świadczy, żem w szaleństwie pisał. Jak kochanek, który w bezsennéj nocy list skomponował, a nad rankiem sam się dziwi wczorajszéj głupocie, podobnie ja aż po napisaniu dramatu obaczyłem wątłość dzieła i boleśniejsze jeszcze różne zeń wylatujące strzały, które wszakże, Bóg mi świadkiem, nie w twórczości godzinie, ani przed tą chwilą świętą ze mnie wypadły. — Po napisaniu więc aż, spostrzegłem

się na dwóch rozstajnych drogach, ducha i ciała. Z jednéj strony mówiły duchy: poemat z nas jest, nam potrzebny — jest formą, z któréj będą się rozchodzić dzbanki różne, a my je będziemy duchem święty nalewali. Jako poemat, zrujnuje sławę Twoję u ludzi zimnych, podobnie jak list miłośnika gubi go między starcami, gdy list ten u dziewczyny wykradną i przez okulary czytają. Ale też list tylko taki gada do serca dziewczyny, — właśnie dla głupstwa a jakiéjś niewinnéj form przezroczystości leje ogień w jéj ducha i zwycięża ją jedną może tajemniczą magnetyczną zgłoską — a kochankowi daje królestwo. Wydaj więc na wiatry list Twój — zgub się jako autor — jeżeli co więcéj masz poświęcić, poświęć...

Odpowiedziałem: więcéj poświęcić! sto razy więcéj!...

A one: — „Co?“ —

Odpowiedziałem: Jest jedno serce, które może będzie myślało, iżem zapomniał o jego bolesnéj naturze; jest człowiek, który — jeżeli kiedy o spoczynku i o nagrodzie doczesnéj myślałem, tom sądził, iż spokojna z nim gdzieś pod lipami wiejskimi jedna godzina, będzie mi nagrodą trudnego i bolesnego żywota. — Teraz to wszystko muszę... Co duchy? —

Była godzina, iż zamilkły. A ja sam z własną wolą zostawiony — wybrałem... Wiesz, co wybrałem. Duchów nie było rozkazu — ofiara jest moją własną, ja za nią odpowiadam.

I tak będzie zawsze. — Ile razy mi przyszło między pełną chatą a samotnością i potrzebą wyższą wybierać, zgadzałem się na to, żeby nigdy dzwonek drzwi moich na przyjście przyjaciela nie dzwonił, a czyniłem, co muszę. —

Teraz nawet czynię, co muszę. Bolesne rwanie się tego listu świadczy Ci, — ale Ty jesteś wielki duch boży i jeden z aniołów narodu naszego. Zakrwawiać Ciebie i zakrwawionym w sercu zostawiać — byłoby grzechem przeciwko duchowi świata. Zdejm więc z siebie ciężar, ja Ci dopomagam...

Na Boga i wszystkich świętych pańskich! kochać mię możesz, a szanować nawet powinieneś; bo wiesz, iż jako człowiek odpowiadam za pisma moje całą osobą moją ludziom ciała. Ale przed Tobą więcéj, niż to — bo jako duch staję i padam... To wszakże nie dlatego, żebym jako człowiek-duch czuł się winnym, ale przez myśl, iż Ty może — nie rozumiejąc i nie wiedząc, a myśląc o mnie — cierpisz najgorszą z mąk — tłómaczącą się Tobie krzykiem: ach! czemużem go kochał?...

. . . Bez miłości prawdziwéj nic nie pisz, bo zakrwawiłbyś serce moje jakim wyrazem mimowolnym. Jeżeliś co przeciwko mnie w tym czasie duchem powiedział: nie tylko Ci to z ducha wymazuję, ale nawet jako za ulgę mi przyniesioną uważam. Nie odpisuj mi na ten akt rozwięzujący. Sumieniem wszystko trzeba rozwiązać"... itd.

W takito sposób stósunki życzliwsze znowu się rozpoczęły pomiędzy nimi. Krasiński odpowiedział uprzejmie i rękę sobie podaną ścisnął. Do któregoś z przyjaciół swoich tak się wtedy o tym kroku Słowackiego i o nim samym wyraził.

. . . „Od Juliusza list miałem bardzo długi. Chciałby się ze mną spotkać. Dziwny stan jego umysłu. Najwyższe tam prawdy dziki stan przyoblekły. Zresztą wiek nasz jest wiekiem olbrzymich zapasów.

W téj bójce między życiem a śmiercią świata, nie dziw, że dziwy się rodzą"...*)

Sam zaś Słowacki tyle matce o tém pojednaniu donosił:

... „Z tym, z którym myślałaś mię poróżnionym. jestem w przyjaźni i mam czułe listy od niego. Mówię o Zygmuncie. Nigdy nie myślałem go obrażać ani mu szkodzić... teraz zwłaszcza, gdy radbym kawałkami samego siebie obdarowywać ludzi, aby silniejsi byli i cząstką mego szczęścia szczęśliwi"... (Z listu z d. ? sierpnia 1846 r.).

To wyrównanie osobistych niesnasek nie mogło oczywiście oszczędzić Słowackiemu goryczy, jakiéj doznać musiał, kiedy we dwa lata późniéj (w r. 1848) ujrzał ogłoszone dwa nowe Psalmy Przyszłości, a w pierwszym z nich, w „Psalmie Żalu", znalazł zwróconą przeciwko sobie, surową choć poważną i ze wszech miar sprawiedliwą odprawę.

Więcéj jeszcze przykrości sprawić mu musiała niedyskretność lipskiéj Księgarni Zagranicznéj. Bez woli i nawet bez wiedzy autora, pozwoliła ona sobie w tymże czasie wydrukować wiersz ów jego przeciwko Krasińskiemu, i to jeszcze na domiar złego z niezliczoną ilością błędów, przekręconych wyrazów, koszlawych rymów i tym podobnych odmian pierwotnego textu, bałamutnych

***) Do kogo i kiedy to było pisane, nie wiem. Biorę to bowiem z drukowanego zbioru korespondencyi Krasińskiego. Tyle tylko tam powiedziano, że list był datowany z Nicei w r. 1846.**

przełożeń całych ustępów poematu na takie miejsca, do których nie należały, przeistoczeń nawet myśli poety w najfatalniejszy sposób — słowem z bezlikiem bezsensów wszelkiego rodzaju, odbierających wierszowi temu całą wewnętrzną wartość. Małéj téj broszurce, bezimiennie w świat puszczonéj, dano napis:

Do Autora Trzech Psalmów przez *** Lipsk, nakładem Księgarni Zagranicznéj. 1848. 12°, str. 20.

W téjże postaci odbito rzecz tę powtórnie w r. 1861 na samym końcu czterotomowego zbioru dawniejszych dzieł Słowackiego, któryto zbiór Brockhaus w Lipsku, bez niczyjego upoważnienia, a zatém w nieprawy sposób, sobie tylko samemu zyski z tego zagarniając, a nibyto chęcią przysłużenia się literaturze polskiéj powodowany i stąd prawa do wdzięczności nawet narodu naszego sobie roszczący, z niepospolitém co do poprawności textu niedbalstwem ogłosić nie wahał i nie wstydził się... Dopiero lwowskie wydanie Pism pośmiertnych, z polecenia krewnych i spadkobierców poety dokonane, przyniosło wiersz rzeczony w autentycznym i prawdziwym układzie. *)

---

*) Z powodu mylnych szczegółów o przyjściu do skutku owego wydania „Wiersza do autora trzech Psalmów“ z roku 1848, udzielonych przez pana Cypryana Norwida w szumnie ułożoném choć drobném pisemku jego „O Juliuszu Słowackim“, widzę się tu w konieczności dopisać, co następuje:

Pan Norwid podaje wiadomość, jakobyśmy to publiczne ogłoszenie wiersza, o którym mówimy, zawdzięczać

— Oprócz powyższych utworów poetyckich, napisał też Słowacki i wydał w owym czasie **dwie broszury prozą**, treści poniekąd politycznéj. Jednę z nich t. j. list **„Do Księcia A.“** (Czartoryskiego) zamieściłem w wydaniu Pism pośmiertnych w tomie Iszym. — Rzecz ta wyszła bezimiennie — w Paryżu — bez oznaczenia roku, w którym została wydana. Że jednak wynikła

---

mieli panu Edmundowi Chojeckiemu. Pan Chojecki miał być razu pewnego z wizytą u Słowackiego i trafił właśnie na taką chwilę, w któréj poeta rzucał w płomień płód ten swojéj gorączkowéj fantazyi. Wyrwał tedy z ognia co prędzéj pan Chojecki rękopis na zagładę skazany i wziąwszy go do siebie, kazał go niedługo potém przy zdarzonéj sposobności w Lipsku oddać do druku.

— Daruje mi szanowny autor, że się ośmielę powiedzieć mu otwarcie, iż snać zażartował sobie ktoś z niego, udzielając mu do dzieła jego tę prawdziwie mitycznéj wiarogodności bajeczkę. Gdyby publikacya lipska była przyszła do skutku w taki sposób, jak tu podano: to oczywiście byłaby ona tak odbita w druku, jaki był rękopis, a rękopis nie byłby mógł być pofałszowany, skoro miał pochodzić z rąk bezpośrednich samego poety! Tymczasem niech tylko kto porówna wiersz rzeczony w tym autentycznym kształcie, jak go ukazuje wydanie lwowskie z roku 1866, z bałamutną jego redakcyą w edycyi lipskiéj: a przekona się, że wyrazów i nawet zdań całych, jak najbezmyślniéj poprzekręcanych, jest w redakcyi téj przynajmniéj tyle, ile w utworze całym jest wierszy; nie mówiąc już nic o całkowitych ustępach albo zupełnie wypuszczonych, albo też danych w kolei niewłaściwéj, to jest takiéj, że co miało nastąpić późniéj, idzie naprzód, a co miało być dane pierwéj, następuje gdzieś o kilka dopiero stronic zapóźno. Takiego nieładu nie mogło oczywiście być w manuskrypcie owym wrzuconym w ogień. Jeśli to był odpis na czyste, to nieładu w nim być nie mogło tém bardziéj. Jeżeliby to zaś miał

z pióra naszego poety, jest rzeczą pewną w obec notat i rachunkowych jego zapisków, w których o téj publikacyi jako swojéj wspomina. Drukowana ona była na samym początku roku 1846, co także z rzeczonych notat wynika. Powód, dla którego została napisana, nie jest mi wiadomy.

O exystencyi drugiéj broszury mam wiadomość tylko ze wspomnianych co dopiero zapisków,

---

być brulion: to go właśnie mam przed sobą; gdyż manuskrypt, z którego oddrukowano wiersz ten w mojém wydaniu, jest to właśnie dopiero pierwszy rzut jego, z licznymi wprawdzie mazaninami i poprawkami po różnych miejscach, ale bez tych pomyłek, które wytykam — i bez żadnych też śladów... płomienia, z którego miał rękopis ten być wydobyty przez pana Chojeckiego.

Ja mam z ust wiarogodnych zupełnie inną wiadomość o dziejach wydania tego z roku 1848. Manuskrypt, z którego je zrobiono, przywiozła do Księstwa Poznańskiego z Paryża pani Łubieńska, autorka powieści Niedowiarek — otrzymawszy go tamże od Mickiewicza, któremu, jak widać, musiał rzecz tę przynieść ktoś trzeci, i to oczywiście ktoś taki, który ją spisał sobie tylko z pamięci, a z pamięci lichéj i słabéj — nie zaś z rękopisu bezpośrednio pochodzącego z pracowni autora. Od pani Łubieńskiéj dostał odpisu tego wiersza młody naówczas literat Ryszard Berwiński, któremu utwor ten do tego stopnia się podobał, że w nim bezsensów nie dostrzegał i nie miał miru, dopókiby się nim nie podzielił z całą publicznością. Przez pośrednictwo jednego z posłów wielkopolskich, na osławiony Sejm niemiecki do Frankfurtu właśnie wtedy jechać zmuszonych, potrafił pan Berwiński przeprowadzić wiersz ów przez zagraniczną prasę — w Lipsku. Słowacki dowiedział się późniéj o tém, kto bezpośrednio spowodował ten krok zupełnie widokom jego przeciwny. Były o to niemiłe i cierpkie bardzo korespondencye między Paryżem a Poznaniem! Ale co się stało, nie mogło już być odrobione.

w których zanotował Słowacki, że ją wydał i także w owym roku. Ma mieć ta broszura napis: **„O potrzebie Idei“**. Mnie się z nią dotychczas nigdzie spotkać nie zdarzyło *)

Natomiast zrobić tu muszę uwagę, że są też niektóre rzeczy, przypisywane naszemu poecie, które nie pochodziły od niego. I tak, wyszedł w Lesznie, w roku 1852, pod jego imienia i nazwiska literami początkowymi, utwor prozą:

„Sen, pieśń z niedokończonego poematu, wyjęta z pozostałych rękopismów po ś. p. J. S.“ — Że to jest dzieło Z. Krasińskiego, to dziś już każdemu pewnie wiadomém.

Oprócz tego pojawiły się bezimiennie, jeszcze w r. 1845, w Paryżu, dwa arcy niemądre i nietrzeźwe wyroby rymotwórcze, jak się zdaje, oba jednego wierszoklety, które w niepojęty dla mnie sposób Przegląd Poznański (r. 1845, IV, str. 390 i n.) czasu owego przysądził Słowackiemu w wyrazach tak stanowczych, jakby już żadnéj co do tego nie było wątpliwości. Tytuł tych niezdarnych robót jest taki:

— „Dwa Akty“. Paryż 1845. **)

— „Szymon Konarski, poema dramatyczne. Obraz I: Śmierć X. Trynkowskiego“. Paryż 1845.

---

*) W parę lat późniéj odszukałem i tę broszurę. Zamieściłem ją na samym końcu wydania lwowskiego z r. 1880.

**) Nie wiem, czy nie do téjto publikacyi robi Słowacki alluzyą w wierszyku danym na str. 92 tomu Igo mego wydania dzieł pośmiertnych.

Mogę z całą pewnością wyrzéc twierdzenie, że z tymi ramotami Słowacki nie miał nic do czynienia. Nie pisał ich i nie mógł ich pisać; co też każdy zrozumie, kto tylko je z zastanowieniem przeczyta.

ROZDZIAŁ OSTATNI.

Rok 1848 i początek 1849. Zakończenie życiorysu. — Coroczne wycieczki Słowackiego nad brzegi oceanu — przyjaciele jego w ostatnich czasach — Wojciech Stattler — L. Norwid — K. Ujejski — Szczęsny F. — Wiosna roku 1848. — „Konfederacya“ — wyjazd do kraju. Poznań — Wrocław — tydzień wspólnie z matką spędzony. — Przymusowe rozstanie. — Kilka tygodni w Ostendzie — powrót do Paryża. — Usposobienie poety w ostatnich czasach — stan zdrowia — tęsknota do kraju — niewątpliwe oznaki zbliżającego się zgonu. Poeta marzy o wyjeździe do Galicyi na przyszłą wiosnę i wśród tych projektów kończy życie. — Opis zgonu — nagrobek — „Testament“.

Przechodzę w tym ostatnim dzieła mego rozdziale do potocznego życiorysu poety i chciałbym w nim zamknąć wizerunek tych wszystkich zdarzeń z ostatnich chwil jego życia, które w nim ukazują nie już pisarza, ale człowieka. Zdarzeń takich wprawdzie nie potrafię wiele wymienić. Słowacki w latach owych nie miał prawie wcale téj potocznéj strony żywota. Żył głównie myślą, mniéj ciałem — i więcéj z Bogiem, niż z ludźmi...

„Cóż Ci mam donieść o sobie? (pisał do matki jeszcze w r. 1845, d. 15 października). Moje oczy, zupełnie od świata oderwane, a daleko gdzieś zwrócone — moje uszy, ciągle wielkich powiewów bożych i głosów dosłuchujące się, nie widziały i nie słyszały nic domowego. Z téj strony prawie człowiek nie jestem“...

. . . „Ty wiesz, ja ogień chodzący, ja niegdyś dziecko niepohamowane — teraz żyję, jak gdyby we mnie nic ludzkiego nie było — ani krwi — ani żądzy — ani chęci — ani zawrzenia — ani wybuchu. Uśmiechać mi się nawet z ludzi nie wolno. Trzeba wszystko zrozumieć — przyjąć — ukochać — ożywić — przemienić... i Bogu na ziemi pokazać pracę Anielską“... (Z listu z d. 14 grudnia 1846 r.).

. . . „Droga Matko moja! Zmieniła się moja natura. Jako ciało, ani z rozkoszy żadnéj ucieszyć się nie mogę, ani mię boleść cielesna może udręczyć. Spróbowałem tego ostatniego rwaniem okropném zęba. Uczyniłem to z zupełną obojętnością, a krzyczeć mi się nie chciało — tylko dla ostrzeżenia dentysty z uśmiechem wewnętrznym krzyknąłem, aby wiedział, że ciągnie. Jadło mi jest obojętne. Z dwóch potraw jem obiad, a często taki, że naprzykład kilka dni temu, byfsztyk był z piaskiem, a ryba nieświeża — więc obiadem mi była filiżanka rosołu i kawałek chleba i piwo. Obiad zaś taki pięć złotych mię kosztuje, bo go jem u siebie; bo wolę nic nie jeść, albo źle jeść, niż duchowi memu ubliżać włócząc go po publicznych traktyerniach, gdzie prawdziwie cierpi godność człowieka, wystawiona będąc jak ulicznica na mieszanie się z ludźmi, którzy domu swego nie chcą wyświęcić, a wolą za jadłem chodzić, tak jak chodzą dorywczo za czém gorszém“... (Z listu z d. 22 stycznia 1848 r.).

Pod wpływem takiego usposobienia płynęło Słowackiemu życie w czasie tym zmienionéj (jak się wyrażał) jego natury, jednostajnie i prawie bym powiedział ascetycznie. Zapełniał je tylko pracą. Rozmyślał, rozpamiętywał, czytał bardzo wiele i w najrozmaitszych przedmiotach. Rzeczywistego pożytku ten pracowity tryb życia jednak nie sprawiał. Cała praca bowiem odbywała się w zaklętém kole doktryny, która wszystko, czego się tylko tknął Słowacki, przemieniała w mistykę.

Tę jednostajność pożycia urozmaicały tylko coroczne wyjazdy do wód morskich, które weszły w stały zwyczaj u Słowackiego począwszy od r. 1843. Za nadejściem miesiąca sierpnia opuszczał zazwyczaj hałaśliwe mury stolicy i wyruszał do Pornic, małéj mieściny położonéj nad samym Atlantykiem. Ocean był szczególniéj sympatyczny dla niego.

„Między tém morzem a mną — powiada — jest tajemniczy jakiś związek, sympatya — i ta musi być prawdziwa; albowiem nigdy inne morza nie miały dla mnie podobnego uroku. Zapach oceanu, kolor jego zielonawy, brzegi Porniku takie, jak widziałem je w imaginacyi czytając Walterszkotowego Pirata, to jest szare, skaliste, okryte chwastami, — natura obca ale znajoma, bo widziana kiedyś przeczuciem, zapragniona sercem — a wśród téj natury tyle rzeczy, które odległe miejsca i czasy przypominały... Czasem motylek, za którym biegałem nad Wilenką — zupełnie taki sam, a gdym go obejrzał, to każde oczko na skrzydełku znajome mi, każdy zygzaczek jak litera z dawnego pisma, w dzieciństwie gdzieś w pamięci zapisana... Czasem pliszka nad morzem, zupełnie do téj

podobna, do któréj niegdyś na dziedzińcu w Mickunach strzelałem — słowem nigdzie od wspomnień uciéc nie można, nigdzie od łez i tęsknoty... A ta cała natura — gdybyś Ty wiedziała, jak ona ciepła, wonna i kochance podobna! otoczyła mię skrzydłami, zapraszała do odpoczynku, do odetchnienia... Jak ona mi wyrzucała, żem się długo gorączkowym myślom oddawał, a o niéj zapomniał; jak zabraniała myśleć o trudzie, o ciągnieniu tego woza żywota, w którym my jako konie pracujemy“... (Z listu z d. 2 października 1843 r.).

Drugą rzeczą, która umilała poecie życie, były to stósunki jego już to utrzymywane listownie, już osobiste z przyjaciołmi. Jak zawsze, tak i pod koniec życia nie wielu on ich liczył. Jedną z osób, zajmujących niepoślednie miejsce w tém szczupłém gronie osób kochanych przez Słowackiego, był Wojciech Korneli Stattler, znany zaszczytnie malarz i profesor niegdyś krakowski. Poznali i zaprzyjaźnili się oni ze sobą jeszcze we Włoszech. Potém znajomość ta zrobiła się jeszcze ściślejszą, kiedy Stattler w r. 1843 odwiedził Paryż. Od owego czasu korespondowali ze sobą. Śladem téj serdecznéj życzliwości pomiędzy nimi jest kilka listów Juliusza, pisanych między 1844 a 1848 do Stattlera, których odpis — dzięki uprzejmości tego znakomitego artysty — posiadam. Jest ich wszystkich sześć. Szczególniéj zajmującym i charakterystycznym jest list z porządku trzeci. Pisał go Słowacki właściwie nie do samego artysty, lecz nibyto do syna jego, który mu się wtedy właśnie narodził i któremu w dowód i na pamiątkę

téj przjaźni ojca z poetą naszym, dano na chrzcie także imię Juliusz.

Ściśłe także i bardzo przyjacielskie były stósunki Słowackiego z naszym K. Ujejskim, a to począwszy od r. 1847, w którym ten znakomity, choć wtedy dopiero poczynający poeta spędził miesięcy kilka w stolicy Francyi. W owymto czasie napisany był do niego ów wiersz prześliczny Juliusza, któryśmy wcielili do zbioru lirycznych jego poezyi. Korespondowali ze sobą i w późniejszych latach.

Równie dobrze położonym w sercu Słowackiego był także Ludwik Norwid rzeźbiarz. Zbliżała ich do siebie równość dążeń, wyobrażeń i jak sądzę, należenie do jednéj i téjsaméj frakcyi w Kole niegdyś zawiązaném przez Towiańskiego. O téj ścisłości stósunków z Norwidem świadczą dwa wiersze liryczne do niego napisane, które są zamieszczone w tomie Iszym Pism pośmiertnych wydania lwowskiego. *)

Nikt jednakże podobno nie byłby się mógł w latach owych poszczycić takiém serdeczném przywiązaniem i zaufaniem ze strony Słowackiego, jak Szczęsny Feliński, późniejszy Arcybiskup warszawski — w owym czasie świeckiego jeszcze stanu. Liczył on wtedy lat dopiero około 24. Przybył do Paryża z końcem roku 1847, w zamiarze ukończenia tu nauk. Uczęszczał do Sorbony i do

---

*) Przez pomyłkę dano im tam napis: „Do L. Nabielaka“. W rękopisie były tylko litery: Do L. N., co źle na razie zrozumiano. Nabielaka wtedy nie było wcale w Paryżu.

Collège de France, bywając przedewszystkiém na kursach historyi i filozofii. Poznał się ze Słowackim na początku r. 1848. Wysoki wtedy nastrój ducha Juliusza — życie surowe, wyłącznie poświęcone jednéj, w celu ostatecznym tak szlachetnéj dążności — i marząca exaltacya takie sprawiły wrażenie na tym młodym umyśle, że przylgnął do niego całem sercem i duszą. Od owego czasu aż do ostatniéj godziny życia był już Szczęsny najmilszym powiernikiem i nieodstępnym poety towarzyszem. Niejedno dzieło jego z pomiędzy wydanych w zeszłym dopiero roku, znalazłem przepisane ręką Szczęsnego, pod bezpośrednim nadzorem autora. Niejeden pomysł wykonać się mającego utworu przemarzyli oni tam pewnie obydwaj wspólnie. W listach Słowackiego do matki często bardzo dają się spotykać wzmianki o tym młodym człowieku, będące wymownem tego świadectwem, ile on go musiał kochać i cenić.

„Szczęsny jest ze mną (pisał do niéj naprzykład d. 28 marca 1848 r.). Jest on czystym brylantem i skarbem moim. Prawdziwie mi takiego potrzeba było“...

. . . „Ukochany to jest chłopiec — już z chłopca człowiek! Wszyscy go tu ukochali szanując — postępki jego anielskie — wiedza rozkwitająca — stanie się kiedyś chwałą naszą“... (Z listu z d. 25 sierpnia 1848 r.).

Zresztą należało i w owym czasu okresie do najgorętszych życzeń Słowackiego — równie jak w pierwszych latach jego pobytu na emigracyi, ażeby się zobaczyć kiedyś z matką kochaną, choćby raz jeszcze w życiu. Zaraz po powrocie z podróży

jego wschodniéj — było to ich obojga ciągłém marzeniem. Były w tym widoku robione w różnych latach różne projekta. To się zjechać mieli gdzie we Włoszech, to w Dreźnie, to w innych miejscach. Zawsze jednak aż do téj chwili zamiarom tym stawały w drodze jakieś nieprzyzwyciężone przeszkody. W ostatnich miesiącach roku 1847 zapadło wreszcie przedsięwzięcie stanowcze, że się zjechać mieli oboje za nadejściem przyszłéj wiosny w Karlsbadzie.

. . . „Od wczoraj (pisał d. 2 grudnia 1847 r.) przedsięwziąłem potrzebne kroki dla otrzymania paszportu do Karlsbadu. Na wiosnę więc spodziewam się, że z wszelką spokojnością i rozkoszą zjedziemy się tam gdzie Ty zechcesz, i czas jakiś ze sobą pomieszkamy... O! gdyby nie ten kraj, w którym się znajdujesz, a którykolwiek inny! Jużbyś mię dawno widziała wysiadającego z dyliżansu. Bo ja tensam, który niegdyś — słysząc żeś Ty chora, we dwa dni przyleciałem do Ciebie i w nocy zastukałem do furtki — i u babuni na sienniku ranka doczekałem. Pamiętasz?... Zimę tę więc, miłą oczekiwaniem wiosny, łatwiéj niż inne zimy przebędę“...

Upłynęło od czasu owego listu półtrzecia miesiąca. Zbliżała się wiosna, pamiętna wiosna 1848! Ani syn, ani matka nie przewidywali wypadków, jakie ta wiosna złudna i rychła — pod każdym względem przedwczesna — przynieść miała ze sobą. Projekt powzięty stał niewzruszenie.

. . . „Wiosna się zbliża — spodziewam się, że w kwietniu będziesz mogła do wód wyruszyć. Wiel-

kiego mizeraka syna oddam Ci, zamiast tego, któregoś Ty na świat wysłała — który był dumny i niezupełnie godny Twojéj miłości. Zobaczysz droga moja, że ze mną teraz spokojniéj czas płynie, a domek, który ja zamieszkam, cichszy jest niż inny... Ufam, że mi to lato z Tobą w części spędzone sił doda; bo mówię Ci, żem smutny. A ta zima bardzo mi złą była. Nie mam nic, w czémby mi teraz ludzie pomogli"...

To było pisane d. 13 lutego r. 1848.

W jedenaście dni po tym liście, zaszły wydarzenia paryskie. Ludwik Filip zniknął z stolicy. Lud paryski na placu Bastylii spalił tron króla episyerów. Dały się słyszeć okrzyki: wolność, równość, braterstwo! Rzeczpospolita zajęła miejsce dawniejszego porządku rzeczy. Na barykadach stanęły masy, z bronią w ręku wyzywając do walki to co jeszcze wczoraj było potęgą. Za przykładem Paryża poszły niebawem i inne stolice: Neapol, Rzym, Wiedeń, Berlin. Zdawało się, że się postać świata przekształca...

Już w dniu 20 Marca rozpoczęły się ruchy w Poznańskiém. We wszystkich sercach, pragnących odmian, zaświtała nie już nadzieja, ale pewność pożądanéj przyszłości.

U Słowackiego myśl zobaczenia i połączenia się z matką zaczęła się od téj chwili malować w żywszych kolorach. Przyczyniało się do tego niemało i przeniesienie się około tegoż czasu całéj jego rodziny z Wołynia do Galicyi, w okolice Lwowa. Tytułem spadku po dalekiéj krewnéj, która właśnie w latach owych zeszła ze świata,

wzięli pp. Januszewscy i p. Bécu w posiadanie wieś Ubień, położoną pod Jaryczowem. Więc już teraz mógł Juliusz tego być pewnym, że nic nie przeszkodzi jego życzeniu, ażeby się złączyć ze swymi.

„Oto może wkrótce (pisał d. 28 marca) już nie tylko zjadę się z Tobą, droga moja, ale połączę się z Tobą, dopełniwszy moich obowiązków i zrzuciwszy się z moich ciężarów...

. . . „Dziś jeszcze o przyszłości pisać nie mogę — każdy dzień zmienia moje położenie i kierunek nowy moim czynnościom nadaje. Choć się nie ruszyłem z miejsca, wszystko mię jednak ku Tobie przybliża.

„Cudowna to dla mnie wiosna! Może pączki, które się na drzewach w wioseczce Teofila rozwijają, dla mnie w upał letni cień gotują. Może usta moje kawałkiem chleba domowego rodzinnego będą nasycone i napełnione. Może Hersylia kochana z czareczką jakiego kwasu przyjmie mię w progu chateczki swojéj. Choćby to najuboższe było, nie dbajcie! Wspólnie pracować będziemy — byle nowéj matce naszéj nie być ciężarem. — Co to byłby za raj dla mnie, gdybym uczuł, że mi zupełnie choć na chwilę odpocząć duchem i ciałem wolno!“...

Wzmianka w powyższym liście o obowiązkach i trudach, od których nie sądził Słowacki, żeby mu się godziło uważać za zwolnionego nawet pomimo tego co zaszło, powoduje mnie do dołączenia tu słów kilku, celem wyjaśnienia, jakiéj natury były zajęcia jego w tym czasie. Brał on wtedy czynny udział wśród nowego, gwarliwego, namiętnościami i zapałem kipiącego życia Emigra-

cyi nagromadzonéj w Paryżu. Wystąpienia jego nosiły oczywiście zawsze piętno owéj idealnéj, lecz niepraktycznéj dążności, w jakiéj raz na zawsze się zawarł. Choćby projekta jego i zostały były przyjęte, choćby rady jego były i najpomyślniéj w czyn zamienione: skutek działań i wtedy byłby się okazał taki sam, jaki nastąpił. Ale poecie się zdawało, że od formy, że od godła, od nazwy — zależą nieobliczonéj doniosłości następstwa.

Dnia 19 marca zebrała się pewna ilość pozostałych jeszcze wtedy w Paryżu Polaków i zamierzała zawiązać klub narodowy. Słowacki stanął pomiędzy nimi i przemówił przeciw wszelkim formom zagranicznym, jako nieprowadzącym do celu. Natomiast przedłożył obecnym projekt zawiązania raczéj Konfederacyi, gdyż taka tylko forma miała odpowiadać duchowi społeczeństwa naszego i posłużyć może za model dalszéj organizacyi na wielką skalę, w samychże granicach kraju. — „Albowiem — mówił im — w formowaniu kryształu pierwszy atom i zawiązek, z którego kryształ powstać ma, zachowuje już ten kształt i tę formę, która następnie kształtem i formą całego kryształu staje się i we wszystkich się częściach jego powtarza. Prawo to, z natury wzięte, przewodniczyć powinno i wszelkim organizowaniom się ducha w ludzkości... Pamiętajcie, że formy nasze dawne — są to żywe i zaczarowane, a snem do trupów podobne olbrzymy, które długo w trumnach leżały"... Z tego textu była powiedziana cała ta mowa, która też następnie i wyszła z druku w osobnéj broszurce pod tytułem:

Głos brata Juliusza Słowackiego do zgromadzonych i w Klub zawiązać się chcących Polaków, przedstawiający potrzebę przyjęcia nowéj formy konfederacyjnéj. (19 marca 1848 r.) bez karty tytułowéj, 8° stron 8.

O dalszych losach tego projektu podał niedawno temu, w jedném z pism lwowskich czasowych, przy ubocznéj okoliczności, bezimienny pewien świadek naoczny rzeczonéj sceny, wiadomość w następujących wyrazach:

„Każdy z obecnych drgnął duchem do słów Juliusza i zapalił się myślą do rzeczy, która wzbudzała pamięć wielkich poświęceń i świetnych czynów barskich konfederatów — i pod takiém wrażeniem rozeszliśmy się z tego zebrania.

„Zimniejszy atoli pogląd na sprawę naszę i zbadanie ogólnego usposobienia emigracyi, która już wtedy rozbita niemal na atomy, szumiała tylko bezładną burzą — przekonanie, że myśl zawiązania konfederacyi, potrzebująca organizacyjnych pierwiastków, nie zdoła się już przyjąć wśród anarchicznych żywiołów i usposobień -- to wszystko zebrane razem, ochłodziło wkrótce zagrzane dusze Juliusza słowami, i uznano niepodobieństwo przeprowadzenia konfederackich form...

„Lodowe jednak głosy rozwagi nie zdołały przecież ziębić ognistéj Słowackiego fantazyi. Mimo nich spróbował on urzeczywistnienia swego pomysłu, a zebrawszy się w ściślejszém kółku z czterema bezwzględnymi zwolennikami konfederackiéj idei, którzy gorąco a bez obejrzenia się

na okół do niéj przylgnęli — akt konfederacyi spisali i wraz z odezwą ogłosili go drukiem...

„Że zaś ten mały zawiązek konfederacyi w Paryżu nie miał dalszéj przyszłości: więc dla rozwinięcia jego, postanowił Słowacki szukać punktu oparcia na ziemi wielkopolskiéj, gdzie już w formujących się obozach wrzało do walki.“ itd.

Owoż takito był powód, że nie do matki, jakbyśmy może oczekiwali, pospieszył Juliusz niedługo potém z Paryża, ale w Poznańskie. Przybył do Poznania około 10 kwietnia. Znalazł gościnne przyjęcie, na cały czas pobytu swego w tém mieście, w domu pp. Bukowieckich. Były to już dni natenczas, gdzie się nadzieje wielkopolskie zaczynały mieć ku schyłkowi. Zjechał był właśnie do Księstwa generał pruski Willisen, jako rozjemca królewski między obozami powstańców a wojskiem pruskiém. Komitet narodowy działać, a przynajmniej kierować sprawą już przestał. Przystępowano właśnie do ułożenia .tak zwanéj Jarosławieckiej konwencyi. Krwawe, rozpaczliwe potyczki pod Książem, Miłosławiem i Wrześnią miały niezadługo nastąpić i można je było już wtedy przewidywać. W takich okolicznościach — samo się rozumie, że o konfederackim projekcie trudno już było myśleć marzycielowi naszemu. To też bawił on ciągle w Poznaniu mało gdzie z domu wychodząc, mało komu się udzielając, ile że i siły jego bardzo już były nadwątlone w tym czasie, choć téj myśli o niknącém zdrowiu swojém nigdy nie lubił przypuszczać. Oczekiwania jego okazały się zawiedzionymi z wielu względów. Nie tracił jednak

jeszcze nadziei. Jeszcze d. 24. kwietnia pisał oto do matki w wyrazach dających wnosić, z jaką otuchą spoglądał w przyszłość.

„Najdroższa moja! Zdziwisz się zapewne, odbierając ten list z Poznania. Ja sam się dziwię, że tu jestem, że oddycham powietrzem, którego woń dzieciństwo mi moje przypomina; że widzę chłopki polskie na wozach i po kościołach... Jestem tu na gościnie, w domu jakby rodzinnym przyjęty i traktowany. Nie wiem wcale, jak długo mi tu wypadnie zabawić, a Ty najdroższa wiesz, że dłużéj niż potrzeba nigdzie teraz nie zabawię, ale będę spieszył i kierował się tak, abym jak najprędzéj u Ciebie stanął. O! jak spragniony jestem tego łóżka, które mi Ty sporządzić każesz, gdzie się położę jako z długiéj pielgrzymki życia wracający, strudzony wędrowiec. Jak blisko ta chwila? nie wiem, bo mam obowiązki, od których mnie tylko sam Bóg uwolnić może. Wszystko tu jeszcze mgliste i nierozjaśnione... Wkrótce jednak spodziewam się czuć rękę Twoję na głowie mojéj. Wesela się spodziewam i radości w domu Waszym.“ itd.

W dniu 29. kwietnia, nazajutrz potém i w dniu 2 maja, zaszły bitwy decydujące w miejscach powyżéj wymienionych. W tychże dniach rozwiązał się komitet narodowy poznański. Partyzanckie oddziały po różnych punktach Księstwa staczały — każdy na własną rękę — utarczki z pojedynczymi komendami wojsk pruskich. Już w pierwszych dniach maja zaszły sceny takie, jak w Stęszewie, w Buku i Kcyni. Mierosławski zdał dowództwo nad obozami w inne ręce i... „ulotnił się“ z pola działania. Z Berlina przybył z nieograniczoném pełno-

mocnictwem, a groźnem względem prowincyi usposobieniem gen. Pfuel. Ogłoszono prawo doraźne. Rozpoczęły się aresztowania na wielką skalę. Pobyt w Poznaniu osób takich, jak Słowacki, stawał się z dniem każdym coraz mniéj pewnym...

Wtedy też on — po całomiesięcznéj bytności w stolicy Księstwa — opuścił Wielkopolskę i przeniósł się do Wrocławia. (Najął tam sobie mieszkanie na Neue Schweidnitzer Strasse No 3, na drugiém piętrze, dzwonek na prawo). Było to jakoś w połowie maja. Usposobienie jego w tych czasach malują następujące miejsca w liście do matki :

„Od kilku dni jestem w Wrocławiu, tak blisko Ciebie, a jednak rozdzielony nieprzebytą na teraz przestrzenią. Pisać Ci, abyś tu przyjechała, nie mogę, bo sam nie wiem, czy mi co chwila rozkaz wyjazdu stąd nie zostanie dany przez władze miejscowe. Wszystko więc rodzinne, a serca tyczące się zostawiam Bogu, który mnie prowadzi i może w trudach moich choć chwilą szczęśliwą z Tobą przebytą wynagrodzić mnie zechce...

. . . „Ja tu jak ptaszek uwięziony patrzę na przestwory niebieskie, bo wszędy mam rozsypanych braci moich, i z każdym chciałbym się widzieć co chwila. Oczy moje łez pełne — serce odpowiedzialne przed Bogiem. Mękę wielką czuję. Co chciałem, stało się. Pola przyległe pełne są ruchu. Przy ogniskach nabożne pieśni śpiewają. Ofiarują się. Ciała kładą za ducha nieśmiertelność. Boży czas zaczynają. .

. . . „Miesiąc ten życia mojego pełny cudów. Spotykałem się z ludźmi, z którymi spotkać się było życia mego zadaniem. Ostrzegany byłem przez Boga

we wszystkiém. Napełniony życiem, rozdający siłę, gdy potrzeba. Na czas wszędzie stawałem (?). Wola się moja z dopuszczenia bożego pełniła (?)...

. . . „Postępowanie ludzi oświeconych w mieście Waszém (we Lwowie) jest straszne i ściągające na Was okropne nieszczęścia. Dałbym wiele za to, żebym Cię teraz wiedział w dawném Twojém siedzącą miasteczku... Teofila proszę o to tylko, aby niczego nie odkładał do jutra, a nic nie brał na zdrowy rozsądek, ale stał się w tych czasach jak dzieci, słuchając natchnienia i wichru bożego we włosach. Wróble wszystkie są dziś policzone u Boga i żaden bez jego rozkazu z błękitu nie spadnie...

. . . „Z Poznania pisałem do Ciebie, iż dobrzeby było, abyś miała moję metrykę i dowiodła, że jako syn Twój mam prawo do kawałka ziemi w Galicyi. Nie jest to wszakże rzecz nader ważna, i spodziewam się, że się stanie niepotrzebną“... (Z listu z d. 14 maja).

W cztéry dni późniéj i ta ostatnia iskra nadziei, która mu wtedy jeszcze świeciła, zagasła. Już teraz nie przypuszczał, żeby mu miało być daném odwiedzić swoich w ich wiejskim domku. Zaczął się lękać, ażeby zamiast zbliżyć się do nich — nie był raczéj przymuszony znowu się od nich oddalić. Pisał tedy w takich wyrazach:

„Pomimo to, że lada dzień mogę być stąd wyprawiony, proszę Cię jednak najdroższa Matko! jeżelibyś się na to odważyła, abyś siadła do dyliżansu i choćby na kilka dni tu przyjechała. Nie tak to jest droga długa dla Ciebie; a ponieważ masz paszport, więc ją możesz odbyć z wszelkiém bezpieczeństwem.

Widzieć się z Tobą, byłoby dla mnie wielkiém szczęściem w tych czasach, w których mię wiele rzeczy boli i udręcza. Niech mi więc Bóg pozwoli jeszcze raz wziąć błogosławieństwo Twoje i mieć w pocałowaniu Twojém świętém ochłodzone czoło moje!... Choćby więc na tydzień, przyjedź; a ja Cię będę czekał w dzień oznaczony na drodze żelaznéj i postaram się dla Ciebie o mieszkanie"... (Z listu z d. 18 maja).

Wszystkie te listy, począwszy od poznańskiego, były wysyłane do Lwowa, gdzie Pani Bécu bawiła przez cały ten czas, i adresowane poste restante. Nieszczęście chciało, że się na poczcie o listy takie matka Juliusza wcale nie dowiadywała. Nie mając zaś od tak dawna żadnych wiadomości od niego, zachodziła w głowę, co się z nim dzieje. Niepodobno jéj było pisać do niego, nie wiedziała bowiem, dokąd pojechał z Paryża.

Juliusz tymczasem z swojéj strony nie pojmował znowu tego tak uporczywego milczenia matki. Wysyłał do niéj z Wrocławia, różnymi drogami, pod coraz innym adresem, list za listem, zaklinając o najspieszniejszy przyjazd — wszystko nadaremnie! Ani na obydwa wyżéj już wspomniane listy wrocławskie, ani na dwa inne jeszcze, zaraz po nich wyprawione jeden za drugim, odpowiedzi się żadnéj nie mógł doczekać. Co się działo w sercu jego, wystawić sobie można, zważywszy zwłaszcza że lada godzinę przewidywał, że mu przyślą władze miejscowe rozkaz wyjazdu. Tymczasem dnia 9 czerwca (po całomiesięcznem więc nadaremnem wyczekiwaniu w Wrocławiu) otrzymuje niespodzianie od Stattlera z Krakowa doniesienie, że matka

jego przebywa ciągle we Lwowie; że jest od przeszło 3 miesięcy bez żadnéj o nim wieści; że się dręczy wielce i smuci, nie mogąc się z nikąd niczego o nim dowiedzieć.

Natychmiast tedy, za pośrednictwem Stattlera, ponowne powtórzenie prośby swojéj jéj posłał błagając, żeby ani godziny nie tracąc, przyjechała uścisnąć go raz jeszcze i pobłogosławić mu na to nowe tułactwo, które go czeka. Tym razem dopiero list rąk jéj doszedł i odniósł skutek.

W kilka dni potém dożył więc Juliusz chwili, któréj pragnął tak gorąco i od tak dawna. Mógł się rzucić do nóg kochającéj, stroskanéj matki. Mógł się przed nią wyspowiadać ze wszystkich zawodów smutnego życia, które spędził opodal od niéj...

Ale to wzajemne ich szczęście niedługo trwało. Pani Bécu wybrała się wprawdzie w podróż z postanowieniem, żeby albo wrócić do Ubienia razem z synem, albo też — gdyby miały temu stanąć w drodze nieusunione zawady, zamierzała spędzić w jego towarzystwie to całe lato w jakiém miejscu kąpielowém w Niemczech lub Austryi. Jednakże twarde czasu tego okoliczności i twardsza jeszcze od nich nielitość ludzi zniweczyła owe widoki. Jeszcze w ciągu tegoż miesiąca czerwca przysłano tak matce, jak synowi rozkaz ze strony władzy miejscowéj, ażeby natychmiast opuścili Wrocław i kraje pruskie i wracali każde z nich w stronę, z któréj przybyli. Było tedy — po tylu latach rozłączenia, po tylu usiłowaniach, zawsze nadaremnych, zjechania się gdziekolwiek — całego ich pobytu w Wrocławiu najwięcéj jeżeli tydzień je-

den. Rozstanie było tém boleśniejsze, że go nie osładzała nadzieja, żeby się kiedykolwiek jeszcze w życiu znowu mieli zobaczyć. Boć matka była już w latach sędziwych, a zdrowie Juliusza widocznie dogorywało, a nad tém wszystkiém malowała się przyszłość polityczna w barwach, odbierających wszelką otuchę.

Juliusz jednak silił się pocieszać matkę przeczuciem rychłego znowu zbliżenia się do niéj, choć pewnie sam wątpił o możności dotrzymania téj obietnicy.

. . . „Dziś w sobotę (pisał do niéj nazajutrz po jéj odjeździe, było to zaś w ostatnich dniach miesiąca czerwca 1848 r.) — „a zatém o dzień jeden prędzéj, niżem się spodziewał, wyjeżdżam z Wrocławia, w którym z wielu względów bawićbym dłużéj nie mógł. Wczoraj wieczorem przechodziłem koło domu, gdzieś mieszkała, i patrzyłem w Twoje biedne puste okienka. Twojéj tam główki ciekawéj nie było... Biedna Ty — i biedny ja! — Dziś o piątéj wieczorem jeszcze daléj od Ciebie odjadę. Ale ufaj w Bogu i ufaj memu bolesnemu sercu, że się do Ciebie znowu przybliżę... Bądź zdrowa najdroższa — — — Strasznie tu byli rozgniewani ci, którzy mi tu tak długo gościć pozwolili. Teraz każą natychmiast ruszać. Dobrze, że się to pierwéj nie stało“...

Jak przed 17 laty, tak i tym razem podążył poeta nasz z Wrocławia prosto do Drezna. Tu się zatrzymał tylko dzień jeden, który mu się teraz dziwnie nudnym wydawał. Potém już nigdzie się nie zatrzymywał po drodze, zboczył tylko do Ostendy. Chciał się orzeźwić morską kąpielą i (jak

się wyraził) zebrać ducha przed powrotem do téj Francyi, która bynajmniéj go nie nęciła ku sobie. Kąpiele jednak nie bardzo mu posłużyły w tym roku. Parę też tylko tygodni spędził w Ostendzie. Już w końcu lipca znalazł się znowu w smutném i samotném mieszkaniu swojém paryskiém.

... „Mieszkanie to (pisał d. 1 sierpnia 1848 r.) z niskimi sufitami, zdało mi się dziwnie maleńkie i ciemne. Szerzéj mi było i przestronniéj w Waszych stronach. Miletus mój (sługa Słowackiego od lat kilku, Francuz) dobry i zawsze jednakowy. Przyjaciele moi niezmienni w niczém; ja sam nareszcie już do zwyczajnych prac umysł mój nagiąłem. Ale mi smutno! Nie wiem, czemu energii zwyczajnéj odzyskać nie mogę. Może to Ty, droga moja, popsułaś mię Twoją anielską dobrocią i słodyczą tych ostatnich chwil, w których z taką łagodnością postępowałaś ze mną? Któż mi Ciebie zastąpi? Kto nawet przypomni?...

„Zawsze się lękałem, żeby Ci na oczach stanąwszy nie być boleścią i dni Twoich nie zatruć. Wszystko największe spełniłaś! Zwycięstwo Twojéj miłości nademną jest zupełne. Nic nie ma we mnie, coby się nie skruszyło w ostatnich słowach Twoich. Błogosławiona bądź za to, żeś to ze mną uczyniła!“

— Za powrotem do Paryża uważali po Juliuszu znajomi i przyjaciele, że był jakoś dziwnie zmieniony. Serce jego było do głębi rozbolałe na to wszystko, co w kraju widział i co wrzało wtedy dokoła na wielkim świecie. Poeta okazywał się odtąd w obejściu swojém codzienném coraz więcéj drażliwym i rozstrojonym, ale też i podniesionym

duchownie na wysokość, do jakiéj ludzie normalnych usposobień rzadko się wznoszą.

W ogóle mógł to każdy z czytelników moich sam zauważyć, czytając te ostatnie rozdziały: że Towianizm dla Słowackiego pod jednym względem nie był bez rzeczywistéj korzyści. Wprawdzie sławie jego autorskiéj zaszkodził on nieskończenie. Literackie zasługi, jakich się piśmiennictwo narodowe sprawiedliwie spodziewać mogło po téj olbrzymiéj zdolności, zmniejszyła ta obłędna doktryna więcéj niż o dobrą połowę. Mimo jednakże téj zgubności pod względem umysłowym, mimo szkód jakich doznał pisarz, poeta: człowiek pod owym wpływem mistycznego wzniesienia ducha niewątpliwie skorzystał. W życiu praktyczném, w zamiarach, w sposobie i kierunkach działania, słowem etycznie Słowacki w latach owych spoważniał i uszlachetniał stanowczo. Moralnie podniósł się wyżéj, niż za najlepszych czasów poprzednio upłynionego życia..

W poprzedzających rozdziałach nie zwracałem nigdy czytelników moich uwagi na moralną wartość postępowania osoby, któréj działaniu autorskiemu głównie jest poświęcone to dzieło. Usilnie i umyślnie starałem się utrzymać pod tym względem na stanowisku zupełnéj przedmiotowości. Względem człowieka, którego życie już zgasło, a którego pamięć drogą jest narodowi, względem pisarza, którego własne, poufne, prywatne i bynajmniéj nie dla wiadomości całego świata kreślone wyznania o samym sobie służyły mi za materyał do jego życiorysu, nie chciałem odgrywać roli sędziego, wyrokującego o nim w doraźnych, suro-

wyjść mi łatwiej jeszcze zawczasu. Obowiązkiem moim było z jednéj strony zdać wizerunek jego osobistości z rysów charakterystycznych, z szczegółów ile tylko [illegible] rzeczywistych i prawdziwych, nie zatajając niczego, co było pomiędzy niemi istotném. Z drugiéj wszelako strony uważałem i to sobie za powinność, ażeby w tem zestawieniu wizerunku poety wynikało ostatecznie [illegible] zdanie, jako o człowieku, ze samych tylko czynów jego, nie zaś z tych zwierzeń listownych. I pozostawiałem wreszcie sformułowanie tegoż zdania raczéj drugim, niż sobie. Po tém wszystkiém jednakże, co aż dotąd się powiedziało, zdaje mi się, że wolno mi już będzie zrobić to spostrzeżenie, że było niewątpliwie w dawniejszém życiu Słowackiego, w jego charakterze niejedno, co nie zupełnie rymowało z tą olbrzymią zdolnością poetycką, któréj błyski podziwiamy w jego kreacyach. W ogóle jeżeli kto, to autor Beniowskiego służyć nam może za przykład i za dowód wymowny, że pod tym względem genialni ludzie bynajmniéj nie są **bezwarunkowo** stawieni po nad poziom zwyczajnych śmiertelników. I oni ostatecznie nie są czém więcéj niestety, jak tylko jednostkami ułomnego rodzaju, do którego wszyscy należymy.

Takie wrażenie sprawia na nas osobistość Słowackiego aż po rok 1842. Za przystąpieniem do koła Towiańszczyków, wiele bardzo pod tym względem u niego się odmieniło. Wstąpił w niego jakiś duch wyższy, który go już nie opuścił, chociaż się następnie od Towiańszczyków odstrychnął i na własną rękę rozwijał sobie doktrynę. Było w ciągu całéj téj jego życia epoki niezawodnie coś, co nam

mimo wszelkiego obłędu imponuje w jego obliczu. Wielka surowość zasad, bezinteresowność do dalekich posunięta granic, obojętność najwyższa nie tylko na wygody i dolegliwości cielesne, ale nawet i na wszelkie błahe względy potocznego i zewnętrznego żywota.. miłość ku ludziom gorąca, głęboki duch ofiary, chętne przestawanie na małém, gotowość do wyrzeczenia się najsłodszych pociech życia. Zauważyć się daje w tym duchu odtąd nieraz i siła nawet, dziwnie odbijająca od właściwego mu dawniéj braku hartu i woli. Uderza w nim niekiedy nawet pewien praktyczny realizm, przedtém obcy najzupełniéj idealnéj jego naturze...

W ostatnich chwilach życia odbiło się to wszystko najwydatniéj w wewnętrznéj fizyonomii poety. To też znajdujemy w jego listach z czasu owego liczne ustępy, szczególniéj pod tym względem uderzające.

Żądała np. razu jednego od niego matka (było to w sierpniu 1848), ażeby jéj przysłał znaczniejszą jaką ilość odlewów gipsowych znanego medalionu Oleszczyńskiego, a to w poczuciu potrzeby rozpowszechnienia tegoż. Oto, co jéj wtedy na to odpisał:

„O medalionach pamiętam, ale szczerze Ci mówię, że jeszcze ich mieć nie mogę; jeden mam tylko — trzebaby odlewać wielką liczbę — trzeba żeby się rzeźbiarz na to zgodził, a on nie wiem gdzie. Nie żądaj Ty tego tak silnie, co tylko umniejszy mi miłość w ludziach nie znających mnie. Bo i czyn posyłania własnych medalów i wyraz twarzy na medalu wzgardliwy i dumny będą mi zarówno serca ludzkie odpy-

chać. Nie jestem już z tych, którzy gwałtem chcą zdobyć pamięć ludzką, a bolesna moja twarz na obrazie Stattlera lepiéj mnie teraz przedstawia“...

. . . „O spokojność i miłość proś dla mnie Boga, abym w ofierze i pracy wytrwał, a nie dał się skusić temu rozpaczliwemu, wszystko burzącemu pasyi duchowi, który mnie nieraz do walki ze światem podmawiał... Cóż robić? Duchy narodu niezdolne są wszelkich, z ducha przedsięwziętych czynów — oglądają się na obce rzeczy, upadają z upadającymi i cierpią. Ja cierpię także — ale inaczéj: cierpię, że jeszcze się nic nie zaczęło“... (Z listu z d 25 sierpnia 1848 r.).

. . . „Właśnie ta część sentymentalno-dumna natury mojéj, która mnie względem rzeczy świata pogardliwym czyniła, opadła ze mnie; a ja teraz bliższy jestem poczciwych ludzi, niż ludzi blichtrem świecących. A że nie jestem bez miłości sprawiedliwéj, dowiodę Ci kiedyś, przyjechawszy do domku Twego“... (Z d. 9 października 1848 r.).

. . . „Podobno to mój Teofilu (mówi do wuja) nieszczęście było nasze, żeśmy dotąd szukali nie umiłowanych, ale tylko miłych znajomych. Stąd wysadzaliśmy się na dowcip, na kwieciste konwersacye — z książek i podróży czyniliśmy coś nakształt kłaków i tém zapychaliśmy próżne serca i głowy napotykanych ludzi. Oni też nas ogłaszali za dobrych bardzo lekarzy nud — głosili nasze pochwały, tęsknili nawet do nas, ile razy próżnia życia ich czém lepszém zapełniona nie była, a nakoniec z czasem zapominali o nas. Inaczéj dziś z tymi, których ukochałem, którym prawdę ważyłem się zawsze powiedzieć, szorstką i bez żadnéj grzeczności w wyrażeń admini-

strowaniu. Ci, choć dalecy i nieliczni, są mi jednak szczęściem mego żywota. I Ciebie proszę, Filu mój, traktuj tak Twoich nowych sąsiadów. Nie sil się, abyś ich pozyskał przyjemnością pożycia z Tobą, ale prawdą wewnętrzną ducha Twego uderzaj ich silnie, tak jak gdybyś dbał tylko o to, aby każdy z nich stał się pożytecznym przyszłości — a choćby na czas nieprzyjacielem nawet Twoim. Obaczysz Filu, jak to dobrze tych gniewających się widzieć potém we łzach i rozczulonych, gdy się nam na serca rzucają"... (Z listu z d. 4 marca 1849 r.).

Jakże to wszystko odbija od zdań Słowackiego w dawniejszych listach!

Podobnie też inaczéj, jak niegdyś, sądził on wtedy o dziełach swoich i o całéj swojéj autorskiéj przeszłości.

. . . „Przez te pięć lat (pisał do Stattlera d. 25 grudnia 1848 r.) pracowałem tak, jak może jeszcze żaden człowiek nie pracował. Skutki téj pracy nie w księgach są, ale w żywych sercach i w duchach, w które je wrzuciłem i posiałem. Małe to są ziarenka i nie wiem nawet, czy Chrystus Pan zechce kiedyś światłością swoją dopomóc, aby wyrosły i kłoski swoje prosom podobne porodziły. A jednak mam tę wiarę i ufność pewną, że praca moja żywa lepszą jest, niż praca moja umarła — która już w foremkach się swoich glinianych pokazała i nazywa się... poezyą moją."

Kilka miesięcy przed napisaniem słów powyższych wysyłał był Słowacki cały zapas dawniejszych, nierozprzedanych publikacyj swoich na ręce

matki do Lwowa, ażeby po cenie zniżonéj dostawiła je księgarzowi. Przy téj sposobności taką wyrzekł o dziełach swoich uwagę:

„Przykrego doznaję uczucia, posłać zmuszony te książki, z których wiele chciałbym zatracić. Prawie zrumieniony wydobywam ze składu liczne arkusze, aby je oddać broszerowi. Chciałbym przesiać to wszystko przez rzeszoto i samych tylko kilka ziarnek czystego zboża dać moim miłym na siejbę. Wolałbym, aby niektóre z nich nigdy nie były wyszły. A następną edycyę robiąc, starać się będę niektóre z niedokończonych moich poematów zatracić*)... Nadto wysoko ważę teraz Ducha polskiego. Wstyd mi wielce melancholij byrońskich — strach, aby one nie zaraziły innych! Ponieważ jednak rzecz jest dokonana, poślę wszystkie żądane książki“... (Z listów z d. 1 i 12 sierpnia 1848 r.).

Do téj zmiany, jak widzimy, istotnéj i stanowczéj w wyobrażeniach poety przyczyniało się też niepomału i rosnące w nim coraz bardziéj uczucie, że go siły fizyczne opuszczają, że pasmo życia jego się zrywa... Zdrowie Słowackiego nie było nigdy czerstwe. Był on słabowitym przez całe życie. Zarody piersiowéj choroby można było w nim spostrzegać już na kilkanaście lat przede śmiercią.

---

*) Ponieważ o drukowanych a niedokończonych rzeczach tu mowa, stósować się to zatém może tylko do Beniowskiego. Nie odnoszą się zaś żadną miarą powyższe autora słowa do Króla-Ducha. Owszem, Słowacki pracował nad nim właśnie w owych miesiącach, w których wyrazy te kreślił, i jak niżéj zobaczymy, przywięzywał do niego wielkie znaczenie.

Przywykły jednak od dzieciństwa do mniéj pomyślnego stanu pod względem zdrowia, nie bardzo zważał on na to. Owszem, prawie we wszystkich listach chwalił się zwykle przed matką, że czerstwość sił, co się zowie, mu dopisuje. Od roku 1843 spędzał co roku kilka tygodni nad oceanem w Pornic i używał z dobrym skutkiem morskich kąpieli. Ale to też już było wszystko, co dla zdrowia swego czynił. Pomocy zaś lekarskiéj nawet w razie gwałtowniejszéj potrzeby używać nie lubił i podlegał pod tym względem przesądom, które były w związku z jego mistycyzmem.

. . . „Nie znam żadnego doktora (pisał naprzykład d. 22 stycznia 1848 r. do matki), bo w nich nie wierzę — i nigdy ich nie używałem. We wszystkiém uzdrawia mię duch mój wzniesieniem się i wydobyciem z siebie prawdziwego ruchu. Przekonałem się nawet, że ile razy cieleśnie chciałem sobie jakiém lekarstwem prostém dopomóc, to zawsze po chwilowéj uldze była potém reakcya ducha, który zdawał mi się mówić: Zwątpiłeś we mnie, przeniosłeś nademnie ducha rośliny — pijże teraz ciągle rumbarbarum i bądź sługą dekoktu, kiedyś nie chciał być swoim własnym panem i gospodarzem w domku ciała“...

W r. 1846, zaraz po wypadkach lutowych galicyjskich, zaniemógł był dość niebezpiecznie. Słabość ta nie trwała długo, musiała jednak być ciężka, kiedy już wtedy Słowacki układał, jak to widać z pozostałych notat w jego papierach, niektóre ustępy mające znaleść miejsce w jego testamencie. Powróciwszy do zdrowia, w następujący sposób wspomniał o tém w liście owym do Kra-

sińskiego, którym nawiązał z nim na nowo stósunki przyjacielskie.

„Możeś słyszał, żem mocno był chory. Teraz jestem zdrów do czasu — a żyję, póki chcę. To mi Bóg zostawia. W rękę mi dał nić żywota mojego — nie bez łez, jak widzisz, puszczam ją, aby szła jeszcze“...

W następnych latach używał zdrowia, a przynajmniéj wystawiał sobie, że go używa. Kto go jednak w r. 1848 widział w Poznaniu, temu się mimowolnie myśl nasuwała, że to człowiek, którego — jeżeli nie dni, to miesiące są policzone... Kąpiele w Ostendzie zamiast go pokrzepić, sprowadziły mu mocny katar piersiowy. W tym stanie powrócił do Francji. Listy jego paryskie z tego roku zawierały wprawdzie znowu doniesienia o jak najlepszém zdrowiu. Ale go parła jednak jakaś dziwna tęskność do swoich. Nie mógł się już teraz wcale odegnać myśli powrócenia do kraju, pod jakimibądź okolicznościami, choćby w najgorszym razie miało to być na kilka tylko tygodni. Miało to przyjść niezawodnie do skutku znowu na przyszłą wiosnę.

. . . „Z najwyższą radością (pisał d. 9 października 1848 r.) wybieram się do Was na wiosnę. Wszystko tak urządzam, abym tu już wracać nie potrzebował. Idzie tylko o to, aby mi z tego ciała do wiosny co pozostało, bo mi coś bardzo ucieka“...

Za nadejściem zimy, stan zdrowia się pogorszył. Szczególniéj w styczniu i lutym (1849) cierpienie stawało się coraz dotkliwszém. Myśl zbliża-

jącéj się śmierci nieraz nawiedzała już Słowackiego. Zaczynał wątpić, żeby mu Bóg dozwolił doczekać się owéj wiosny już niedalekiéj, która go miała wrócić rodzinie, matce...

Listy jego z tego czasu znamionuje pewien zwrot myśli ku rzeczywistości. Dawniéj idealista, marzyciel — lubił teraz Słowacki najwięcéj mówić i wypytywać się o realne stósunki życia tam w kraju Rozmyślał nad nimi, oceniał je, dawał rady jak działać potrzeba, żeby to, co w nich złego, na lepsze się odmieniło. Rady te czasem są niepraktyczne, niekiedy znowu w wysokim stopniu zasługują na to, żeby się zastanowić nad nimi. W każdym razie jest to charakterystyczném w toku życia tego poety, że zaczął od lekceważenia i niemal wzgardy realizmu żywota, a skończył uznaniem daleko posuniętém znaczenia tegoż realizmu.

Oto n. p., co pisał w o s t a t n i m z listów swoich do wuja Januszewskiego:

„Proszę Cię, Teofilu kochany, opisz mi, jakim sposobem uprawiasz teraz rolę Twoję — wiele gruntu masz — na jakie zasiewy najwięcéj rachujesz? Gdzie przedajesz Twoje zbiory? Bardzobym był ciekawy wiedzieć sposób Twego gospodarstwa i mieć wyobrażenie doskonałe tego, czém jest teraz wieś w Waszych stronach. Sentymentalności wszystkie mało mię obchodzą. Życie ziemskie, jako podstawa życia duchowego i jako narzędzie wolności, którego duch używa dla dopełnienia misyi swojéj, zajmuje mnie. Dlatego nie przyjemnościami i tak nazwaną poezyą sielską karm mnie, ale mów o tych rzeczach, które Cię jako czło-

wieka obchodzą; a ja — widząc Cię szczęśliwym lub nieszczęśliwym, rzetelnie wezmę serdeczny udział w Twoim smutku lub weselu i pomogę sercu memu w téj miłości, która bez rzetelnéj podstawy ludzkiéj i bez opromienienia bożego, jest tylko głupstwem i półtonem uczuciowym — na nic Aniołom i ludziom"...

Najwięcéj zaprzątały myśl jego wtedy trudności, jakie się w Galicyi począwszy od r. 1846 pojawiły w stósunkach między ludem wiejskim a dworem.

. . . „Boże Narodzenie przeszło (pisał jeszcze w 1848 r., pod koniec grudnia). W wieczór dnia tego byłem samotny i myślałem o Was w lepiance Waszéj. Chciałem nawet pisać do Was. List Wasz ostatni, zrozpaczony o wioszczaném Waszém położeniu, mocno mnie zasmucił. Rozbierałem je w sobie głęboko — czułem je boleśnie; bo wiem, co to jest, mieć opodal gromadę ludzi, złą wolą ku nam wytężonych. Wszakże ufam, że się to opuszczeniem przez Was wioseczki nie skończy.

. . . „We wszystkiém chcąc wyjść z biedy, trzeba drogę odmienić; trzeba formę wziąć nową. Lecz trzeba to uczynić prędko i energicznie, nie tracąc czasu na zatrzymywaniu rzeczy, które od nas odlatują w przepaść. A pańszczyzna i królowanie szlachty polskiéj jest jedną z takich rajskich róż, które już Ewa polska na wieki utraciła. A że powinna była to utracić, to świadczy mała miłość, którą sobie u ludzi zyskała. — Ja mieszkam pięć lat w domu jednym, a pewny jestem, że portyer, który mi służy, po mojéj śmierci przyjąłby z miłością wielką i weselem Ciebie, Filu, gdybyś na mojém miejscu mieszkać przyjechał; i miałby zaraz dla

Ciebie nadskakujące nogi. A Wy, którzyście przybyli do wsi, gdzie przez tyle lat Wasi poprzednicy byli królami samowładnymi, ukamienowani jesteście?! — Któż winien? — Świadczę się Bogiem, że ten, który miał w ręku los ludzi, mógł mieć i serce tych ludzi na wieki. Kto Wam miłości ludzkiéj nie zostawił, ten nie zostawił żadnego dziedzictwa."

. . . „Myśląc, jak jabym sobie poradził, będąc w Waszém położeniu, myślałem sobie tak: (a przebaczcie mi, jeżeli w tém dziecinne moje pomysły). Myślałem, mili moi, że gdyby mi Bóg kiedy pozwolił być oraczem — co jest wielką łaską i dane bywa tylko duchom utrudzonym, którym Bóg wypocząć pozwala... Gdyby więc pozwolił mi Bóg kiedy myśleć tylko o swoim i o moich bliźnich pokarmie, a dał mi kawał ziemi i jakikolwiek dach dla pokrycia głowy mojéj, a nie dał nic więcéj: — starałbym się dom mój zamienić w dostatnią i zamożną prostego człowieka siedzibę. Nie mając już ludzi pańszczyznę robiących, wziąłbym pewną liczbę (jak to w Polsce pod Warszawą wielu szlachty czyni) parobków z ludu tego, który teraz, przez nadanie gruntów gospodarzom, został jeszcze uboższym, niż przedtém. Parobcy ci, płaceni rocznie po sto lub półtorasta złotych, karmieni przez pana, służyliby mi wiernie i stanowiliby mi niby piekarnianą rodzinę moję — rzeską i dobrze życzącą. Nierazbym z nimi słodko wieczór przepędził przy ogniu, zawezwawszy do rozmowy i pastucha, i psa pastuszego przypuściwszy do udziału w téj wieczorynce. A wkrótce — sam choć słaby — wywijając rękami tych ludzi, ująłbym i objął całą rolę swoję. Nie na szerokość jéj, ale na dobrąbym uprawę rachował. Nie na wielość bydła, ale na dobry stan jego i wypas wszystkobym

łożył. A tak wkrótce stałbym się zdolnym powiększyć moję czeladkę i nie potrzebując już — mógłbym wtenczas istotnie z miłością i z powagą przystąpić do tych wyposażonych gruntem gospodarzy, którzy inaczéj — widząc mnie słabym, a wewnętrznie rozgniewanym — coraz gorzéjby się pode mnie podsuwali"...

W parę dni po napisaniu tych uwag i wyprawieniu listu, w którym je znachodzimy, odebrał Juliusz z domu nowe utyskiwania nad daremnością wszelkich usiłowań zawiązania jakichkolwiek stósunków znośnych z ludem wioski, w któréj krewni i matka jego mieszkali. Dała im do tych utyskiwań sposobność tażsama właśnie wilia Bożego Narodzenia, o któréj była wzmianka w danym powyżéj wyjątku z korespondencyi poety. Wraca tedy do tego punktu Słowacki raz jeszcze w liście, który do nich pisze d. 22 stycznia (1849) i taką ich zagaduje uwagą:

„W dzień Wilii czułem Wasz smutek — czułem Was w domku Waszym. Teraz widzę, jakeście rozesłali po chatach jadło — i siedzicie samotnie, oczekując czyli się nie nawrócą ku Wam serca ludzi. O! nie — nie nawrócą się te duchy! ale z urąganiem będą w brzuchy lać słodkie mléko maków, miodem zasycone, ale sercem i duchem Chrystusa nieotchnięte, tak aby prawdziwie we wnętrznościach zasmakowało. Nie, siostro moja droga, nie przynęcisz Ty ludzi prosem! Trzeba czegoś mocniejszego w ludzkiéj naszéj naturze, aby nam jednego człowieka z nieprzyjaciela w nagłego brata transfigurowało. — Znałaś miłość dziewiczą, panieńską. Miłość zawsze jest jednéj natury. Jest to czar, który do nas pociąga, albo jakieś przekleństwo

wewnętrzne, które od nas odpycha. Przełam w sobie to — a nawet choć bić będziesz kijem, ludzie kochać Cię będą... I owszem, jeszcze mocniéj nas kochają, gdy moc mamy skarcić, prawdę powiedzieć gorzką — wzgardą naszą, fałszowi każdemu przynależną, uderzyć: a gdy to czyniąc nie czujemy w sobie żadnéj wyższości osobistéj, tylko miłość rozważną i ojcowską. O braterstwie gadają teraz ludzie, i źle gadają. Bo od Ojcostwa nad dziećmi zacząć potrzeba. Uśmiechnijcie się z dobrocią wśród ludzi, którzy Was otaczają, a zwyciężycie wszelką przeciwność. Ale nie pochlebiajcie im i nie zatwardzajcie w głupstwie i w dumie. — Mocno, mocno chciałbym być z Wami! Wypowiedziałem nawet mieszkanie moje w téj nadziei, że można będzie Was odwiedzić. Nie wiem jednak, czy Bóg pozwoli mi spełnić to życzenie moje. Byłoby to rozweselenie serca mego i prawdziwie ziemskie niby lekarstwo na strudzenie ducha mego. Bo co się tyczy ciała, mam się teraz dobrze, a tylko chęciom moim duchowym Was obaczyć i z Wami pożyć potrzeba — a raczéj powiem chce się — tak jak się w dzieciństwie chciało Mickun albo innych jakich rajów, gdzie mi było obszernie, wolno i lubo. Za miskę jednak soczewicy nie przedam pierworodzeństwa mego anielskiego, choćby mi nawet przyszło i cieleśnie w niedostatku przycierpieć. Swobodnie i otwarcie chciałbym być z Wami. W snopku się ukryć i siedzieć już nie czuję mocy. Cóżbym robił? chyba jak świerszczyk pstrykał w któréj belce, staruszce matce domku Waszego“...

Uderzającém, jak na Słowackiego, jest jeszcze następujące zdanie jego, powiedziane do Teofila

Januszewskiego (w liście z lutego r. 1849). Chodziło o pytanie, jakby najlepiéj użyć jakiegoś kapitału, który mieli w gotowiźnie — czy go ulokować w papierach, czy obrócić na zakup gruntu.

„Co do kupna i przykupna ziemi, najmocniéj się temu oponuję w duchu. Ziemi każdy człowiek potrzebuje mieć kawałek taki, któryby go w ostatecznym złym razie z pracy rąk własnych mógł wyżywić, (literalnie mówię) tylko wyżywić. Szczęście zaś człowieka, zbliżającego się najbliżéj do szczęścia duchowego i rajskiego, jest w wolności jego — i w wolności połączonéj z potęgą. A ta wolność jest w skrzydłach — a skrzydłami, które nas nad ziemią utrzymują, są kapitały. — Panowie nasi najwięksi ziemscy są nędzarzami w porównaniu ze mną, który mam kilka tysięcy franków, lecz tak ruchomych, że je w każdym dniu mogę na jakibądź czyn użyć i przed wszelką mocą i przemocą zasłonić się nimi. Ziemie obszerne robią cię egoistą, bo nie dbasz o ludzi, ani o naród twój. Gdy przeciwnie w kapitałach, mając nadmiar twoich sił cielesnych, dbać musisz o cały kraj, który za nie odpowiada. Mianowicie musisz dobrze życzyć każdemu ze współżyjących. Gdy cię kto chce ujarzmić, one cię unoszą przed nim i stawią niby na gwiazdach, z których znowu na ujarzmiciela twego piorunujesz. Gdy chcesz kogo uratować, w dniu jednym możesz oddać wszystko, co masz — a twéj miłości zadość uczynić. — Mówię więc: kawałek ziemi miej — i to nie wioskę, ale folwarek bardzo obfity i zamożny. Jeżeli trzeba kilku takich folwarków: zbuduj i puść chłopom parobkom w dzierżawę — ale nie zapuszczaj się w skupowanie wiosek, ani sądź iż to jest pewne

w dzisiejszych czasach. Owszem, najniepewniejsze to jest dla nas i w stronach tych, w których teraz mieszkasz, a które lada dzień mogą z Tobą wrócić tam, skąd niedawno wyszedłeś...

„Nie, najdroższy mój, nie stawaj się panem klucza, bo się zamkniesz tym kluczem na dłu go w cielsku i w krwi i w głupocie ciężkiego szlachcica. A tyś przez cierpienia już godzien wolności."

Lecz wróćmy do osoby autora tych listów. W pierwszych więc miesiącach roku 1849 słabość jego wzmagała się coraz bardziéj. W lutym i marcu podlegał już Słowacki częstym krwiotokowym atakom, które siły jego nad miarę wycieńczały. Łudził się wprawdzie jeszcze nadziejami niekiedy i przypisywał to swoje osłabienie najwięcéj skutkowi wiosny wczesnéj i słońca gwałtownego. Mimo to jednak już w końcu lutego uznał za potrzebne spisać wolę swoję ostatnią. Czynności téj dopełnił podług wszelkich formalności w razie takim przepisanych. O zrobieniu testamentu uwiadomił listownie tylko wuja Januszewskiego, zobowięzywał go jednak do sekretu o tém przed matką.

. . . „Kilka dni temu (pisał do niego) byłem mocno bardzo krwią zaatakowany. Teraz zamknęło się uście i żywot mój w łono powrócił; ale widziałem z bliska Pana mego i Boga mego, który mię już chciał jak żołnierza od Was wziąć, a na inne, może trudniejsze jeszcze stanowisko odkomenderować. Gotów byłem i wesół byłem — i teraz, wrócony zdrowiu, znów jestem wesół, że jeszcze z Wami zostać mi kazano.

„Zrobiłem będąc chory testament — krótki, z dwóch paragrafów. W pierwszym zostawiam wszystko, co mam, i przekazuję wszystkie prawa moje... Matce i Tobie Teofilu, mianując Was wspólnie i solidarnie sukcesorami moimi. W drugim paragrafie czynię exekutorem testamentu, względem moich paryskich pozostałości, przyjaciela mojego, człowieka złotego serca, pana Charles Petiniaud..

„Gdybym był umarł, już byłbym z Wami. A tak, trzeba mi będzie jechać do Was — a mam nadzieję, że pojadę“...

List ten był pisany d. 4 marca (1849). Był to ostatni list Słowackiego...

Równocześnie dał znać o sobie też i Szczęsnemu, który całą owę zimę spędzał w Monachium. Dokończał właśnie studyów swoich w uniwersytecie tamtejszym. Niezwłocznie po odebraniu niedobréj téj wiadomości, Szczęsny z Monachium do Paryża podążył i stanął na miejscu jeszcze przed końcem tego miesiąca. Od téj chwili nie odstąpił już przyjaciela aż do samego zgonu.*) Przy pierwszém powitaniu zagadnął go Słowacki takimi słowy: „Dobrze, żeś przyjechał. Nie będę tak sa-

*) Tu dołączam wiadomość, że pod bezpośredniém wrażeniem smutnych dni, które wtedy razem przebył z Słowackim, i jako naoczny świadek wszystkiego, co się w dniach owych działo około niego, opisał Szczęsny zaraz po śmierci poety ostatnie chwile jego. Rodzina Słowackiego, dla któréj wspomnienie owo było pisane, udzieliła go w lat kilkanaście potém jednemu z pism peryodycznych warszawskich, które też ustępy niektóre z niego ogłosiło w kolumnach swoich. Szczegóły te służą mi teraz za źródło, według którego podaję prawie dosłownie, co odtąd następuje w texcie.

motny w ostatnich chwilach, bo już wszystko się kończy. Pan Bóg mnie wzywa do siebie". — Następnych dni mało już mówił o swojém zdrowiu i chociaż po nocach nie sypiał i często cierpiał mocno, w dzień jednak był rzeźwy i czynny, jak dawniéj. Pierwszego kwietnia powiedział Szczęsnemu, że w nocy tak mu źle było, że dnia nie spodziewał się dożyć. Pytał, czy nie zna jakiego ubogiego, któryby chciał sypiać u niego. Szczęsny ofiarował mu sam usługi swoje. Nie przyjął ich jednak, za powód to podając, że mu zajęć jego nie chce przerywać. Zresztą mieli jeszcze późniéj pomówić o tém. „Wreszcie — dodał — może mnie Bóg i tak jakoś przeniesie." — Nazajutrz mówił Szczęsnemu, że zaczął przepisywać jeden z niewydanych jeszcze swoich poematów, ale tak mało ma siły, że musiał zaprzestać. Szczęsny mu zaproponował, żeby mu dyktował, co też przyjął. I tak napisali jednę pieśń; ale i to Słowackiego męczyło, tak iż resztę odłożyli na późniéj. *) Kiedy miał Szczęsny już

*) Przejrzawszy pozostałe papiery, jestem w stanie z wszelką pewnością powiedzieć, coto był za utwor, o którym mowa. Był to rapsod jeden z Króla-Ducha, rapsod ze wszystkich najwięcéj wykończony, osnuty na podaniach o Piaście i Ziemowicie. Jest między papierami pośmiertnymi rękopis, z kilku arkuszy listowych zszyty; na pierwszéj zeszytu tego stronicy położył poeta tytuł poematu taki: „Z Króla-Ducha — Księgi Legend". Snać dawał więc rzeczy téj napis jakby całości oddzielnéj i oderwanéj zwątpiwszy już o możności wykończenia całego utworu. Potém następuje sześć strof ośmio-wierszowych, własną autora ręką kreślonych. Tu się pismo Słowackiego urywa. Strofa siódma i wszystkie dalsze już są pisane ręką Szczęsnego, jak o tém na pewne twierdzić mogę, dobrze znając ówczesny kształt jego pisma.

odchodzić do siebie, polecił mu Słowacki, ażeby poszedł pytać się księdza, czy będzie mógł przyjść z Sakramentami do niego. Zlecenie to Szczęsny wypełnił. Kiedy dnia następnego przyszedł do Juliusza, zapytując, kiedy się chce spowiadać, zastał u niego przyjaciela jego Petiniaud, który od czasu choroby codziennie Słowackiego odwiedzał. Ten mu powiedział, że chory bardzo źle noc przepędził; a chociaż z rana wstał i chodził, jednak tak go to męczyło, że koło dziesiątéj zemdlał i zdawało się, że już kończy. Na zapytanie Szczęsnego, jak się czuje: odrzekł Słowacki, że ma teraz gorączkę, która go utrzymuje przy siłach, ale czuje się bardzo niedobrze. Przyzwano księdza. Ten pomówiwszy z nim trochę, poszedł do kościoła po Sakramenta. — Tymczasem Juliusz, widząc przytomnych w rozrzewnieniu, wziął Szczęsnego za rękę i głosem przerywanym, lecz spokojnym rzekł te słowa do niego: „Powiedz mojéj matce, że nic do niéj nie napisałem, bo tych rzeczy pisać nie można; ale szczęśliwy jestem, że dziś jakby na pożegnanie, wspomnienie jéj odebrałem, i z myślą o niéj umieram.“ Po chwili milczenia, wzniósł oczy w górę i tonem jeszcze uroczystszym mówił daléj: — „Wiara w nieśmiertelność ducha i sprawiedliwość bożą jest wielkim darem Stwórcy nam udzielonym! Ta wiara tylko pozwala spokojnie śmierć przyjąć. Ale dziś ja ufam w sprawiedliwość bożą, bo ją pojmuję; i tak ufam, że gdybym mógł powierzyć ducha mego w ręce matki, aby ona wynagrodziła go stósownie do zasługi: nie oddałbym go z taką ufnością, z jaką go dziś oddaję w ręce Stwórcy. — Wszak prawda? ciągnął daléj, obra-

cając mowę wprost do Szczęsnego: Gdziekolwiek ostatnia godzina cię zastanie, czy na wysokim urzędzie, czy w skromnym wiejskim domku, czy we własnym dworze: przyjmiesz wolę bożą spokojnie i z godnością, jaka nieśmiertelnemu duchowi przystoi." Wtém ksiądz wszedł: a kiedy po odbytéj spowiedzi ofiarował mu przenajświętszy Sakrament, Juliusz wstał o własnéj mocy i ukląkł na łóżku, potém przyjął ostatnie namaszczenie, z zupełną przytomnością i modląc się ciągle. Po Sakramentach gorączka opuściła go zupełnie, oczy się rozjaśniły i na pogodnéj twarzy uśmiech się ukazał tak łagodny i ujmujący, że nie było można oderwać zwroku od tego oblicza cudownie pięknego świętém zachwyceniem. Po chwili takiego wewnętrznego skupienia wyciągnął ręce do przyjaciół i z łagodnym uśmiechem powiedział: — „Niech będą dzięki Stwórcy, że pozwolił mi przed zgonem przyjąć Sakramenta. Myślałem często o tém, czy też téj łaski dostąpię." — Potém wypił trochę gorącéj herbaty i prosił, żeby go zostawili samego, gdyż chciał spocząć. Wyszli przytomni do drugiego pokoju, ale drzwi były otwarte, i widzieli, jak zamykał oczy na chwilę i jakby lękając się, by to nie był sen ostatni, znowu otwierał je nagle. Oddech jego był trudny i przerywany. Widząc, że nie śpi, przytomni weszli do jego pokoju: prosił o trochę wina czerwonego. Podano wino, ale je już z trudnością przełknął. Potém kazał Szczęsnemu przynieść książkę, z któréj mu w wilią dnia owego dyktował; i pokazywał mu, w jakim porządku potrzeba daléj przepisywać. Ale nie doszedłszy do końca, zamknął ją mówiąc z uśmie-

chem: „Wszystko to głupstwo“... Potém prosił, żeby go posadzić w innéj pozycyi, a kiedy to uskuteczniono, powiedział, zawsze z uśmiechem: „Może to w tém położeniu śmierć mię zastanie“... Zamilkł, ale ciągle spozierał na zegarek, jakby chciał wiedzieć, o któréj godzinie do wieczności się przenosi. Przed samym zgonem wyciągnął ręce i zrobił znak, że chce wstać. Lecz zaledwie go podnieśli, obfity pot zaczął prawie lać się z jego twarzy i całe ciało mocno drżeć poczęło — oddech jego był coraz cięższy — coraz powoli słabł — oczy na wpół się zamknęły i mgłą zaszły. Nacieranie skroni i pulsu eterem nic nie pomogło. Powoli oddech ustał — serce bić przestało — wszystko się skończyło — już nie żył.

Było to dnia 3 kwietnia 1849 r. Liczył poeta wtedy lat cztérdzieści niespełna.

We dwa dni potém wiózł skromny wóz zwłoki zmarłego do kościoła św. Filipa du Roule, a stąd na cmentarz Montmartre. Nie było mu tedy dano spocząć w tym śnie nieprzespanym na miejscu, na którém dawniéj, w pełni jeszcze żywota swego, marzył nieraz, że spocznie kiedyś na wieki. Miało to być w ojczyźnie, na cmentarzu krzemienieckim, pod cieniem znanéj czereśni, która tam grób dziada i babki jego ocienia. — Orszak żałobny, postępujący za trumną, składał się z małéj garstki samych rodaków, po większéj części współtowarzyszów w tułactwie. Adama Mickiewicza nie widziano pomiędzy nimi. Nad grobem nie odezwało się żadne słowo ostatniego pożegnania na tę daleką drogę wieczności. Ponure milczenie przerywały tylko

grudki obcéj ziemi, które z głuchym stukiem z rąk przyjaciół spadały na wieko trumny...

W kościele akademickim św. Anny w Krakowie, w pobocznéj nawie po lewéj stronie, wzniesiony jest skromny nagrobek Juliusza Słowackiego. Wystawiła mu go strapiona matka.*) Położono na nim jako napis następujące wyrazy:

Pamięci
Juliusza Słowackiego
syna **Euzebiusza**,
urodzonego w Krzemieńcu,
zmarłego w Paryżu,
który walkę poezyi
ku odrodzeniu się ducha i
uczucia ludzkości
po chrześcijańsku
w dniu 3 kwietnia 1849 roku
zakończył
w żalu nieutulona matka
poświęca.

Lepiéj aniżeli te słowa, określają cały charakter życia i działania Słowackiego strofy przez niego samego krótko napisane przed zgonem, pod napisem:

„Testament mój“.

Żyłem z Wami — cierpiałem i płakałem w Wami;
Nigdy mi, kto szlachetny, nie był obojętny:

*) Nadmieniam dodatkowo co do pani Bécu, że przeznaczone jéj było żyć jeszcze po stracie syna lat sześć. Zakończyła życie w miesiącu lipcu 1855 roku.

Dziś Was rzucam i dalėj idę w cień — z duchami —
 A jak gdyby tu szczęście było — idę smętny.

Nie zostawiłem tutaj żadnego dziedzica
 Ani dla mojéj lutni ani dla imienia:
Imię moje tak przeszło, jako błyskawica,
 I będzie jak dźwięk pusty trwać przez pokolenia.

Lecz Wy, coście mnie znali, w podaniach przekażcie,
 Żem dla ojczyzny stéral moje lata młode,
A póki okręt walczył — siedziałem na maszcie,
 A gdy tonął — z okrętem poszedłem pod wodę...

Ale kiedyś — o smętnych losach zadumany
 Mojéj biednéj ojczyzny — przyzna, kto szlachetny,
Że płaszcz na moim duchu był nie wyżebrany,
 Lecz świetnościami dawnych moich przodków świetny.

Niech przyjaciele moi w nocy się zgromadzą
 I biedne serce moje spalą w aloesie,
I Téj, która mi dała to serce, oddadzą —
 Tak się matkom wypłaca świat, gdy proch odniesie...

Niech przyjaciele moi siędą przy puharze
 I zapiją mój pogrzeb — oraz własną biédę...
Jeżeli będę duchem, to im się pokażę,
 Jeśli Bóg nie uwolni od męki — nie przyjdę...

Lecz zaklinam — niech żywi nie tracą nadziei
 I przed narodem niosą oświaty kaganiec;
A kiedy trzeba, na śmierć idą po kolei,
 Jak kamienie przez Boga rzucane na szaniec!...

Co do mnie — ja zostawiam maleńką tu drużbę
 Tych, co mogli pokochać serce moje dumne;
Znać, że srogą spełniłem, twardą Bożą służbę
 I zgodziłem się tu mieć — niepłakaną trumnę.

Kto drugi tak bez świata oklasków się zgodzi
Iść?... taką obojętność, jak ja, mieć dla świata?
Być sternikiem duchami napełnionéj łodzi,
I tak cicho odlecieć — jak duch, gdy odlata?

Jednak zostanie po mnie ta siła fatalna,
Co mi żywemu na nic... tylko czoło zdobi;
Lecz po śmierci Was będzie gniotła niewidzialna,
Aż Was, zjadacze chleba — w aniołów przerobi. —

Dodatki do drugiego wydania.

I.

W zajmującym i wysokiéj pamiętnikowéj ważności zbiorze „Listów z Podróży z Warszawy do Rzymu“ A. E. Odyńca, znaleść można niejedno miejsce, gdzie autor mówiąc o różnych tamtoczesnych pisarzach, także i o Juliuszu Słowackim wspomina. Miejsca takie wybornie illustrują to wszystko, cośmy tu, na podstawie źródeł naszych, o charakterze tego niezwyczajnego człowieka i o dziejach jego podali. Jakkolwiek listy rzeczone należą do najwięcéj czytanych i odczytywanych książek naszéj literatury z ostatnich czasów, miło jednak pewnie będzie czytelnikom monografii niniejszéj, znaleść w niéj ponownie przypomniane sobie i przytoczone bodaj najważniejsze, do poety naszego się ściągające ustępy z téj ciekawéj korespondencyi, aby w miarę mo-

żności wszystko, co Słowackiego dotyczy, w jednę całość było zebrane — a sądzę, że i czcigodny Autor tych listów, uwzględniając powody, zechce wybaczyć mi, że tu stron kilka przytoczeniami z dzieła jego zapełnię.

1. Więc nasamprzód na uzupełnienie sądu mego, który o matce Juliusz a, jako też i o nim samym, jakim był w r. 1829, zanim jeszcze dom rodzicielski opuścił, wypowiedziałem w dziele niniejszém w tomie I na str. 31 i 32, przywiodę tu następujący ustęp z listu Odyńca do Juliana Korsaka, pisany w Marienbadzie d. 14 sierpnia w tymże właśnie r. 1829. -- Za przybyciem do Marienbadu zastali obaj podróżni (Mickiewicz i Odyniec) bawiącą tam przez ów miesiąc dla kuracyi matkę poety naszego — on zaś sam, Juliusz, mieszkał wtedy, jak wiadomo, w Warszawie:

Pani Bécu zawsze tasama: młoda wyobraźnią i sercem, piękna duszą, zachwycająca w rozmowie. Wiek jéj, znaczny tylko w rozumie. Mój Boże! gdyby to Julek przy swoim talencie, z poetyczną wyobraźnią swéj matki odziedziczył i kochające jéj serce! Byłby pewnie, czém tak być pragnie — i wielkim i sławnym poetą. „Ale pycha i z nieba spycha“, jak mówią. A obok niéj i ten wiecznie ironiczny sarkazm, co w nim zda się rośnie z latami, nie wiem czy będzie dobrym przewodnikiem prawdziwego natchnienia z góry. Matka zna go doskonale, na wylot; a im go czuléj i namiętniéj kocha, tém się bardziéj jego samego, dla niego samego, obawia. Szczęśliwy jestem przynajmniéj, że z całą prawdą mogę ją pocieszyć, opowiadając o jego

sposobie życia i postępowania w Warszawie, na téj nowéj arenie życia, na którą po raz pierwszy z pod matczynéj opieki, sam już przez się, jako młodzieniec wystąpił. Każdy kto go poznał, szacować go musi; a i miałby za co pokochać, gdyby on chciał być kochanym albo raczéj, gdyby sam kochał. Ale byroniczny jego ideał nie dozwala mu myśleć o tém. Chce mu się koniecznie być Konradem, żeby nań wszyscy z podziwieniem patrzeli, a z czcią bojaźni kłaniali się przed nim...

... Szeroko o tém wszystkiém przegadaliśmy dziś z panią Bécu. Ona ma jeszcze nadzieję, że Julek zmięknie w sobie, jak się kiedy zakocha. Ale czy się zakocha? Żeby się w nim kochano — do tego mu na ochocie nie zbywa, bo i w tém jest tryumf i hołd. Ale żeby się on sam w kim zakochał, t. j. dla kogoś zapomniał o sobie — to dotąd tego popędu nie ma w jego Narcyzowéj naturze. Trzebaby na to chyba tych samych warunków, w jakich się kochał kiedyś w pannie Ludwice S., to jest kiedy sam jeszcze był studentem, a ona już brylowała na świecie, pisała byroniczne rapsody i pozowała na wzór poetycznych heroin... (Tom I str. 130 i następne).

2. Następnie przytoczę tu owo miejsce z Odyńca, w którém mamy opisane wrażenie, sprawione na Mickiewiczu przy pierwszém poznaniu Julka w Wilnie jeszcze, kiedy mu tenże jako chłopczyk dwunastoletni, ale już do sławy autorskiéj aspirujący, był prezentowany przez swoję matkę. Jest to niejako komentarz do str. 92 tomu I tego dzieła mojego, mianowicie do owego opowiadania o pierwszém spotkaniu się Słowackiego

z Mickiewiczem w Paryżu w r. 1832 na jakimś składkowym obiedzie, po którym Mickiewicz wedle słów Julka pierwszy do niego przystąpił i między innymi rzeczami wspomniał mu, „że go znał dzieckiem“ itd. Otóż przy sposobności jakiéjś wzmianki o excentryczności Słowackiego w czasach jego warszawskich, o któréj w r. 1829 we Włoszech Odyniec opowiadał swemu towarzyszowi podróży, przypomniał sobie i Adam wrażenie, jakie na nim uczynił widok Słowackiego, kiedy po raz pierwszy z Odyńcem był z wizytą u jego matki w Wilnie w r. 1822, gdzie też wtedy i Jana Śniadeckiego zastali.

„Julek nie mógł mieć więcéj podówczas (są słowa Odyńca) nad lat 11 czy 12, ale fizyognomia jego od dziecka była zawsze niezmiernie wyrazista. Adamowi utkwiły zwłaszcza w pamięci jego czarne, ogromne, pałające oczy, które przy drobnym wzroście, bladéj i delikatnéj twarzyczce, a ironicznym uśmiechu na ustach, nadawały mu wyraz jakiegoś Asmodeuszka; tém bardziéj, że zawołany przez matkę i przedstawiony przez nią Adamowi jako piszący wiersze, spoglądał nań, jak mówi Adam, z widocznym wyrazem niechęci. — Ja tego sobie nie przypominam, ale wierzę, że tak być mogło. Już od dzieciństwa najwydatniejszą w nim cechą była jakaś szczególna, niepohamowana pycha, i niemniéj osobliwsza przekora i draźliwość, kiedy przy nim kogokolwiek chwalono. Raz, pamiętam — na parę lat przedtém (miał wtedy może lat 10) — siedział na małym stołeczku przy ścianie, kiedy grono gości u matki rozmawiało o rzeczach literackich. Jedna z dam (bodaj pani Balińska) uwielbiała gorąco Rasyna. Zda-

nia innych dzieliły się różnie, chociaż wszyscy zgadzali się na jedno, że Rasyn był wielkim poetą. Ale to właśnie tak oburzyło Julka, że zerwawszy się ze swego stołeczka i stanąwszy na środku pokoju, tak zaczął wygadywać przeciw Rasynowi i jego zwolennnikom, że aż matka musiała go upomnieć o nieprzyzwoitość tonu, a ktoś z obecnych, uspakajając go niby żartem zrobił uwagę, że Rasyn nie zagrodzi mu drogi do sławy, byle tylko sam na nią, jak on kiedyś, zasłużył. Otóż bardzo być może, że szerząca się właśnie w tym czasie sława imienia Adama obudziła w zawistnym malcu podobnego rodzaju uczucia, których pokrywać zwykle nie chciał czy nie umiał. To też ówczesny jego guwerner, wesoły nasz Józik (Józef Masalski, znany wierszopis), nazywał go pospolicie przez żart swojém półdyablęciem, a na seryo upatrywał w nim podobieństwo z naturą owego karła w poemacie Walter-Scotta „Pieśń ostatniego Minstrela“, którego największą przyjemnością było robić na przekór i dokuczyć komuś. Józik mógł tego doznawać na sobie, bo co do mnie, nie mogę na to zgodzić się w ogólności. Widziałem przecież chwile i czułości jego dla matki i uprzejmości dla sióstr. Ja sam jednakże, wyznaję, pomimo najszczerszéj chęci nigdy nie mogłem polubić go tak, jak czułem że byłbym powinien przez przyjaźń dla jego matki. A co mię odpychało najbardziéj, to ta tak niezwyczajna w dziecku, a ciągła jakaś ironia, z którą sam popisywać się lubił. Wrodzona mu już widać była ta jego właściwość, nigdzie jednak nie występowała na jaw wyraźniéj, jak w stósunku z najbliższym jego towarzyszem i kolegą, Ludwikiem Spitznaglem, który znów pod tym właśnie względem stanowił najdoskonalszy z nim kontrast“ itd. (Listów Odyńca tom II str. 220 i następne).

3. O tym przyjacielu szkolnym Juliusza bardzo ciekawe podaje szczegóły Odyniec w innêm miejscu dzieła swojego. Przytaczam je tu dla zaokrąglenia obrazu, który ja w mojém przedstawieniu dać mogłem tylko w zbyt ogólnych zarysach (na str. 13 tomu I).

„Do najbardziéj fenomenalnych, że nie powiem genialnych ludzi, pod względem zdolności umysłowych, ale też i do najexcentryczniejszych pod względem rozbujania wyobraźni, przy dziecinnéj prostocie i naiwności serca — może się bez przesady policzyć wspomniony tu Ludwik Spitznagel, towarzysz mój i przyjaciel od dzieciństwa, o którym przeto, na potwierdzenie tego założenia, czuję się w obowiązku powiedzieć tu słów kilka, a raczéj przytoczyć kilka faktów, które lepiéj niż wszystkie słowa pozwolą powziąć o nim istotne wyobrażenie.

„Do piętnastego roku życia, to jest do czasu wejścia do uniwersytetu w roku 1821, czytał on już był: *Iliadę* i *Odysseę*, po grecku, *Eneidę*, po łacinie, *Jerozolimę Wyzwoloną*, po włosku, *Raj Utracony*, po angielsku, nie mówiąc już o niemieckiéj *Messyadzie* Klopstoka i *Henryadzie* francuskiéj. Czytał bowiem wyłącznie same epopeje: a czytał nie tak dla tego, aby sam kiedyś epopeję napisał, jak raczéj aby się przez nie na bohatera jakiéjś epopei wykształcił; a to znów nie dla tego, żeby sam tylko słynął u świata, ale żeby dla świata coś wielkiego dokonał. I w têm to było źródło i cecha wszystkich jego excentryczności. Naukę zaś wspomnianych wyżéj języków, zawdzięczał jedynie ojcu (profesorowi medycyny na uniwersytecie wileńskim), który sam biegły ich znawca, i widząc

nadzwyczajną do nich zdolność syna, od pierwszych lat jego dzieciństwa, codzień z nim po kilka godzin na tę naukę poświęcał. Prócz tego młody Ludwik, z własnéj ochoty, nauczył się jeszcze od ojca, o ile ten sam umiał, po węgiersku: z gramatyki i dykcyonarza, nieco po hiszpańsku, a od sług domowych po litewsku. Chciał też koniecznie jeszcze nauczyć się po portugalsku, dla czytania w oryginale *Luizyady* Kamoensa, któréj przedmiot i bohater, Vasco de Gama, był zwłaszcza, wraz z Kolumbem, bohaterem i ideałem jego wyobraźni: tylko że w całém Wilnie naówczas ani gramatyki, ani dykcyonarza portugalskiego nie było. Obok zaś téj znajomości tylu języków, przyjął on jeszcze od ojca gruntowną znajomość botaniki, i innych nauk przyrodniczych, w których niemniejsze miał zamiłowanie, jak i w historyi spraw ludzkich. Szkoły skończył ze stopniem celującego ze wszystkich przedmiotów (prócz z matematyki), a w pierwszym roku chodzenia na uniwersytet, za konkursową do złotego medalu rozprawę po łacinie, otrzymał najpierwsze *accessit*. W tymże czasie, w przeciągu jednego roku, napisął bohaterskie poema w XII pieśniach, w oktawach: p. t. „*Oswobodzenie Wiednia*“, w którém profesor literatury Borowski, znakomity i surowy krytyk, upatrywał wiele pierwszorzędnych zalet i piękności, ale które sam autor po roku, w przystępie niezadowolenia, w piec wrzucił.

„Z tego wszystkiego możnaby wnioskować, że pilna, nieustanna i cierpliwa praca pochłaniała wyłącznie całe jego życie. Tymczasem było całkiem przeciwnie. Nauka przychodziła mu prawie bez pracy, i jakby rzec można, *nawiasem*; oddawał się jéj też tylko chwilowo, prawda, że wtedy z gorączkowym za-

pałem. Intuicyjna bystrość pojmowania, i niesłychana, fenomenalna pamięć, zastępowały mu miejsce pilności. Głównym, ciągłym, istotnym przedmiotem pracy jego i myśli, było gotowanie się do jakiegoś przyszłego bohaterstwa. Ku temu zmierzały nauki, ku temu wszystkie moralne i fizyczne ćwiczenia, które ciągle sam sobie zadawał. O dobrowolnym głodzie i bezsenności przepędzał nieraz całe dni i noce. W największe mrozy i skwary, w ulewne burze i pioruny, kiedy wszyscy kryli się w domach, on jeden wykradał się z domu dla nabrania w ten sposób hartu duszy i ciała. Nie przestając na próbach własnych, upoważniał i prosił przyjaciół, ażeby wymyślali dlań trudy i męczarnie, dla doświadczenia w nich siły i wytrwałości jego. I przyjaciele, niestety, byli tak niemądrzy, że przez żart zadawali mu istne katusze. Mając płeć delikatną i białą, niezgodną w myśli jego z ideałem bohatera, śród największych skwarów w południe, kładł się nawznak na płaskim dachu lodowni w domu ojca, i mając obok konew wody, polewał nią i suszył w koléj na słońcu twarz swoję, ażeby mogła przez to zgrubieć i ogorzeć. W ciągu zaś tych operacyi, z zamrużonymi oczyma, układał w myśli na pamięć owę swoję konkursową rozprawę lub poema, których obojga część znaczną tym sposobem napisał.

„Wschód, jako kraj cudów natury, niebezpieczeństw podróży i geograficznych tajemnic, nęcił szczególniéj wyobraźnię jego. Tam on chciał szukać i spodziewał się znaleść pole do ziszczenia poetycznych swych marzeń. W téj myśli, po skończeniu nauk w uniwersytecie, udał się do Petersburga. do Instytutu Wschodnich Języków, gdzie podczas trzyletniego pobytu, oprócz obowiązkowéj nauki języków: tureckiego,

perskiego i arabskiego, nauczył się z własnéj ochoty po hebrajsku i po chaldejsku. Ale i tam jak w Wilnie, codzienny tryb jego życia nie przestał być również excentrycznym; a pozbawiony rodzicielskiéj opieki z jednéj, a pobłażliwości przyjaciół z drugiéj strony: nieraz w zetknięciu z życiem rzeczywistém wystawiał go na gorzkie zawody, które przy jego wrażliwéj naturze, rozgorączkowanéj wyobraźni i braku praktyczności światowéj, zaczęły się, niestety, przeradzać w niesmak i odrazę do życia. Jak on zwykle mało je cenił, a raczéj jak je płocho na niebezpieczeństwo narażał, za dowód niech posłuży fakt jeden z pomiędzy wielu, który sam przez się może już dać miarę jego lekkomyślnéj odwagi. Podczas pamiętnéj powodzi w Petersburgu w roku 1828, w kilka miesięcy po jego tam przybyciu, kiedy się wszyscy zamykali w domach, on właśnie wyszedł na miasto, aby się skutkom téj klęski przypatrzyć i wrażeń jéj doznawać na sobie. Zaskoczony zalewem na jednéj z pomniejszych ulic, biegłości swéj w pływaniu i gimnastyce winien był tylko ocalenie swoje. Pasując się albowiem z unoszącą go falą, chwycił się ręką za żelazną kratę krużganku pierwszego piętra, i wdrapawszy się po niéj na sam ganek, wszedł ztamtąd do wnętrza domu, gdzie zdumieni i przerażeni mieszkańcy z największą go uprzejmością przyjęli. Ale się gorzéj rzecz miała z doświadczaniem na sobie skutków trucizny, do któréj chciał przywyknąć na wzór Mitrydata. Przebrał dozę i poczuł niebezpieczeństwo. W téj chwili przypomniawszy z żalem rodziców, przypomniał też szczęściem antidotum, o którém słyszał od ojca, i zażywszy go jeszcze w porę, uratował się wprawdzie od śmierci, ale długiém cierpieniem nieroztropność swoję przypłacił. To wszakże

uleczyło go wtedy z manii samobójstwa, i mówiąc mi później o tém, złożył najuroczystszą przysięgę, że się już nigdy odtąd na swe życie nie targnie. Zapomniał o niéj, niestety, pod wpływem chwilowego wrażenia, czy raczéj gorączkowego obłędu, który go niespodzianie ogarnął. Stanął był właśnie u celu swych życzeń. Mianowany dragomanem przy misyi w Egipcie, udawał się już tam z radością. W chwili wyjazdu z Wilna, (1827 roku) pisał do mnie list do Warszawy, zapowiadając dzień swego przybycia, i zaklinając na wszystko, abym go przeprowadził do Krakowa. Tymczasem w parę dni potém, wstąpiwszy na dzień jeden po drodze do domu przyjaciela rodziców, tamże — bez żadnych słusznych ku temu powodów i bez czyjéjkolwiek w tém winy — wystrzałem z pistoletu życie sobie odebrał.

„Dla uzupełnienia tego rysu, należy tu dodać jeszcze słówko o jego charakterze moralnym. Do wrodzonéj czułości i łagodności serca, łączył on rzeczywiście heroiczne przymioty: entuzyazm, ufność, szczerość, odwagę, hojność i poświęcenie: — na nieszczęście, wszystko bez granic. Wszystko to bez podstawy w życiu wewnętrzném, a bez roztropności w praktyczném, czyniło go wciąż tylko albo igraszką wyobraźni własnéj, lub ofiarą cudzéj rachuby; co znowu, na przemiany, z chwilowych uniesień, wtrącało go w zwątpienie i rozpacz. Los Ikara to obraz jego. Wzlatał nazbyt wysoko, i utonął w przepaści.“ (Listów z Podróży tom II, str. 226 i następne).

Tyle więc z dzieła Odyńca. Inne w niém miejsca, związek mające z Słowackim, obacz w T. I na str. 131, 132, 134, 150; w T. II na str. 219, 222, 225.

II.

Już w ciągu druku tego nowego wydania, nadarzyła mi się sposobność widzenia po raz pierwszy i przepatrzenia dwóch własnoręcznych pism J. Słowackiego, których mi w owym czasie, gdziem dzieło niniejsze z nowa układał (lat temu 15), nie tylko nie wiem czemu do użytku nie dano, ale ani nie pokazano: tak iż nawet o egzystencyi tych dwóch rękopisów, w całości zachowanych, wcale wiedzieć wtedy nie mogłem. Są to rzeczy mało wprawdzie światła nowego rzucające na przedmiot, zawsze jednak godne wzmianki, choćby tylko w téj oto krótkiéj osnowie.

Owoż jeden z tych rękopisów, co do czasu dawniejszy, jest to zszyta całkowita książka, w formacie średniéj ósemki, objętości dość sporéj; zapełnia ją z przodu (t. j. zaraz od początku samego) przez większą połowę książki idący, własną ręką poety, pobieżnie wprawdzie, ale bez żadnych poprawek prozą pisany francuski romans, o którym już wyżéj (w tomie I na str. 73) nadmieniłem, że go Słowacki zaczął pisać w r. 1832

w Paryżu, w téj nadziei że przyniesie mu to dochód, dostateczny do pokrycia kosztów druku zostających w rękopisie jeszcze wtedy jego polskich poezyj. Dowiadujemy się tutaj, czego autor w listach swoich do matki nie wyraził, t. j. jaki miał być tytuł owéj zamierzonéj powieści. Brzmiał on: „Le roi de Ladawa“ (nazwa wsi gdzieś na Ukrainie czy Podolu — królem Ladawy nazwany tu więc ów szlachcic bohaterem téj powieści będący — Marchocki). Przez ten manuskrypt stwierdza się rzeczywiście mój domysł, że na owych pierwszych pięciu, całkowicie wykończonych rozdziałach, o których mowa w liście poety, urwała się ta niewdzięczna, dla ubocznych tylko celów podjęta praca. Znajduje się tu co prawda jeszcze coś i z szóstego téj powieści rozdziału, jednakże to tylko początek, na paru kartach spisany. — Następuje potém w książeczce długa próżnia — karty niezapisane, czyste. A dopiero w samym już końcu téj książki powchodziły (późniéj) do niéj różne urywkowe, niezawsze dla czytelnika już zrozumiałe zapiski własnoręczne Juliusza, jako to kwoty dochodów, a jeszcze częściéj wydatków na druk jego książek — notatki należytości od księgarzy — ilości exemplarzy im powierzonych do rozprzedaży, słowem rzeczy czysto osobistéj, gospodarskiéj, mało dla trzecich osób interesu mieć mogącéj treści.

— Drugi rękopis ma również taką samę postać całkowitéj oprawnéj książki, wprawdzie nieco większego aniżeli tamten formatu, lecz także ósemkowego. Był to widocznie raptularz, a raczéj jeden z raptularzy, które poecie towarzyszyły w jego

podróży do krajów wschodnich: notował on w nich pomysły, jakie mu po drodze przychodziły do głowy; zapisywał sobie plany całych poematów, jakie wtedy układał; rzucał nieraz całe strofy, nawet i dłuższe pieśni gotowe — jedne w czystym odpisie, drugie znowu w pierwszym, brulionowym dopiero rzucie, w takim razie z poprawkami, kreśleniami, przemazywaniami licznych wyrazów albo i wierszy całych, a nawet i dłuższych jeszcze całości. Pisał on tu to wszystko to ołówkiem, to piórem. Osobna część takich raptularzy — zwykle dalsza, ku końcowi książki, była zachowana dla rysunków, t. j. widoków ruin i okolic zwiedzanych, których też i w tym manuskrypcie nie braknie. Są to pejzaże różnych miejsc w Grecyi i Egipcie, pewnie wiernie, lecz z niewielką zresztą sztuką zrobione. Między tymi krajobrazami jest i portret towarzysza podróży, Zenona Brzozowskiego, w całéj jego postaci, w ubiorze turysty, ołówkiem wykonany. (Nadmieniam jeszcze, że to są inne rysunki, jak te, o których wspominam w tomie II tego dzieła na str. 77).

Co się tyczy literackiéj (a nie rysunkowéj) zawartości w autografie, który tu opisuję: uważam za potrzebne dać tu wiadomość o następujących w nim rzeczach, jako uzupełniających dane w texcie opowiadanie moje o téj Słowackiego podróży, a w części i prostujących niektóre moje domysły.

1. Przedewszystkiém przypominam, com powiedział na str. 72 i 74 tomu II, że z pomiędzy pięciu listów, które Juliusz w ciągu téj swojéj wędrówki do matki z różnych miejsc wysłał, dwa

pierwsze rąk jéj nie doszły i przepadły po drodze. Z téj przyczyny i my obecnie utworzyć sobie możemy dokładne wyobrażenie o podróży poety dopiero co do dalszéj jéj części, t. j. o ile się takowa odnosi do południowego Egiptu, Syryi, Palestyny itd. Peregrynacyi zaś jego początek — cała droga z Neapolu do Grecyi, następnie pobyt w Grecyi, i to wszystko co się do północnéj części Egiptu ściąga — są to rzeczy o tyle nam tylko wiadome, że był Słowacki razem z Brzozowskim też i w tych stronach, bliższych dat jednak co do miejsc, które zwiedzili, i jak długo gdzie bawili, nie posiadamy. Otóż na jednéj z ostatnich kartek niniejszego raptularza dopiero dowiadujemy się o tém. Mamy tu dany ołówkiem współczesny i własnoręczny dzienniczek Juliusza, t. j. spis miast, przez które przejeżdżał — w którym dniu i miesiącu do każdego z nich przybył, i jak długo się gdzie zatrzymał. To więc uzupełnia poniekąd szczegóły nam niewiadome skądinąd.

Notatka ta ołówkowa, zresztą bardzo monosyllabna, brzmi oto jak następuje:

Sierpień	24	Neapol,
„	28	Otranto,
Wrzesień	2—4	Podróż (morzem),
„	4—8	w Korfu,
„	10	w Patras,
„	12	w Vostizy,
„	13	w Megaspileon,
„	16	w Tripolizy,
„	17	w Napoli di Romania,
„	18	w Argos,

Wrzesień	19	w Koryncie,
"	20	w Atenach,
"	27	z Aten do Syra,
"	28	w Syra,
Październik	12	z Syra do Alexandryi,
"	20	w Alexandryi,
Listopad	1	w Kairze,
"	6	z Kairu,
"	13	w Siout,
"	19	w Denderze,
"	26	w Philae,
"	30	w Tebach,
Grudzień	10	w Kairze,
"	15	z Kairu,
"	22	w El-Arish i kwarantana,
Styczeń	2	z El-Arish.

Na tém się dzienniczek ten topograficzny urywa.

2. W tomie II na str. 83 (dzieła niniejszego) dałem opowiadanie, własnymi Słowackiego wyrazami, o przepędzonéj przezeń w Jerozolimie samotnéj nocy przy grobie Chrystusa, w kościele do którego się na noc całą dał zamknąć. „Zostałem sam, mówi w liście do matki, i rzuciłem się z wielkim płaczem na kamień grobu“ itd. Otóż w rękopisie obecnym znalazłem miejsce z wpisaną doń ołówkiem następującą niedokończoną strofą, która się do owéj chwili treścią swoją, choć nie czasem, jak przypuszczam, odnosi. Widać z całego jéj układu, że to pierwszy zaród pomysłu, zaledwie ujęty w pismo.

„I porzuciwszy drogę światowych omamień,
I wysłuchawszy serca, gdy rzekło: Jam czyste!
To rzuciłem się z wielką rozpaczą na kamień,
Pod którym trzy dni martwy leżałeś, o Chryste.
Skarżyłem się grobowi, a ta skarga była
Ani przeciwko ludziom ani przeciw Bogu“
. . . .

3. Powyższy ołówkowy urywek mieści się gdzieś w środkowéj partyi książki, którą tu opisuję. Początek zaś jéj, a raczéj cała pierwsza połowa onéj, zajęta jest przez własnoręczny, niewątpliwie na czysto już odpisywany, nie ołówkiem ale atramentem i piórem wciągnięty text poematu, który w wiadoméj fragmentarycznéj postaci mamy zamieszczony w tomie I mego wydania z r. 1866 „Pośmiertnych pism“, pod tytułem Podróży na Wschód. Nadmieniam tutaj, że wtedy drukować dałem tu poemat rzeczony nie z autentycznego rękopisu poety, bo tego nie miałem, ale tylko z kopii, jaką mi do tego użytku dano, z kopii zrobionéj przez wuja poety, niewątpliwie z tegoto właśnie rękopisu, nad którym się tutaj zastanawiamy. Owoż zauważyć tu muszę, że wprawdzie i w autografie niniejszym nie ma z tego poematu nic więcéj, jak tylko owe sześć pieśni, które mamy oddrukowane w edycyi pism pozgonnych; jednakże liczenie tych pieśni jest tutaj inne. „Pieśń pierwsza“ *(Wyjazd z Neapolu)* podana jest i w tym autentyku jako pierwsza pieśń; lecz „druga“ pieśń *(Statek parowy)* ma tu w nadpisie nazwę trzeciéj pieśni, a taksamo i „trzecia“ pieśń drukowanéj edycyi *(Grecya)* dana tu jest jako

pieśń czwarta itd. aż do samego końca. Przez co nie sześć, ale siedm więc pieśni obejmuje tu ten poemat — z brakującą jednakże drugą pieśnią, któregoto opuszczenia przyczyny wyjaśnić sobie nie umiem (o wydarciu takowéj bowiem kiedyś z zeszytu tego ani mowy być nie może, gdyż cały stan i pozór manuskryptu bezwarunkowo to przypuszczenie uchyla). Wuj poety, odpisując z niego swoję kopię w kilka lat po śmierci Juliusza, snać sądził, że ten skok od razu z pieśni „pierwszéj" do „trzeciéj" był tylko prostym lapsus calami, i odpowiednio do tego samowolnie zmienił tu liczebny porządek. Jednakowoż niewątpliwie pomylił się; braknie tu bowiem pieśni „drugiéj" w saméj istocie. Wszakże mamy w pieśni pierwszéj same tylko rzeczy do Neapolu się odnoszące, z któregoto miasta nasz poeta dnia 24 sierpnia w drogę się puszczał. Czytamy tam zaraz w zwrotce pierwszéj (str. 123 tomu I): „Puszczam się w drogę przez Pulią, Otranto, Korfu... gdzie jadę? — powie drugie canto". Ta droga z Neapolu przez Pulią (Apulią) aż do Otranto, miała oczywiście być odbyta lądem. Jakoż wypowiada to wyraźnie i sam poeta — w zwrotce ostatniéj pieśni I (str. 132): „Jutro kuryerem wyjeżdżam do Lece". Miasto Lecce leżało mu po drodze do Otranto; ztądto dopiero miał on się morzem puścić do Korfu. Owoż oczekujemy w pieśni rzeczywiście drugiéj na pewne poetycznego opisu owéj jazdy lądowéj przez Pulią, i jakichkolwiek też wspomnień z popasów w Lecce i Otranto — a cóż dopiero czegoś o przeprawie przez Adryatyk do Korfu, i o saméj téj wyspie Korfu. Tymczasem nie ma o tém

wszystkiém w poemacie ni słowa. Podróż ta z Neapolu do Korfu zajęła im dużo czasu (od 24 sierpnja do 4 września); w samém Korfu popasali 5 dni wedle owego ołówkowego dzienniczka (od 4–8 września). Nie miałyżby te wszystkie, to lądem, to morzem odbyte przejścia dostarczyć Juliuszowi przedmiotu ani do jednéj pieśni? Niepodobno temu uwierzyć! — Pieśń trzecia (w edycyi „drugą“ nazwana) opisuje wprawdzie „*Statek parowy*“ i żeglugę na nim, ale to w dniach już następnych, po wyjeździe z Korfu.

„Już zbłękitniało Korfu — już się kryje“

czyli już ginie z oczu w oddali (str. 136). Podróżni nasi przesuwają się już wtedy koło Santa-Maura — „w starożytności zwała się Leukadą“ — i następnie dobijają do wyspy Zante (str. 139), w któréj się jednak nie zatrzymują, gdyż im spieszno do Patras, *) w którém też stanęli dnia 10 września. O tém mieście i okolicznych, w oddali stąd widnych punktach (Missolunghi itd.) fantazyuje potém pieśń czwarta (w edycyi „trzecią“ nazwana, str. 141). W następnéj, t. j. w „czwartéj“ a rzeczywiście piątéj pieśni, opisana „*Podróż konna*“ z Patras ku lichéj wiosce Vostizy (działo się to d. 12 września); w szóstéj (str. 162) fatalny nocleg w téj nędznéj dziurze — a pieśń siódma (ostatnia) ma za przedmiot wypoczynek w sutym klasztorze *Megaspileon* (który zwiedzili dnia 13 września wedle zapiski w dzienniczku).

---

*) „Płynę do Patras, sam ujrzę w Patrasie,
Czy jaką szkodę poniosę na czasie.“ (str. 141).

Tymto więc szlakiem — przez Patras, Vostizę, Megaspileon, a potém Tripolizę i Napoli di Romania — zdążali nasi podróżni do Argos, w którym spędzili dzień jeden (18 września). Dnia następnego (19 września) dotarli do Koryntu (czy przez Mykeny?), a już nazajutrz potém stanęli w Atenach, w których bawili przez cały tydzień, od 20—27 września. Stąd wreszcie na wyspę Syra (dawne Skyros) zawrócili się do Egiptu — na razie do Alexandryi.

Cała ta część więc greckiéj podróży począwszy od Tripolizy, nie wchodzi już w skład poematu, o ile się takowy mieści w rękopisie, będącym przedmiotem mego tutaj opisu. Po pieśni siódméj *„Megaspilcon klasztor“* zatytułowanéj, odpis czysty i jak widać z ostatniéj pochodzący już ręki, urywa się w téj książeczce. Na dalszéj potém kartce następuje wprawdzie (N. B. brulionowy, często przekreślany) początek pieśni ósméj, poświęcony wspomnieniu *„Napoli di Romania“* (w którym to punkcie stanął i nocował Słowacki w dniu 17 września). Jednakże po kilku już strofach przestał tę pieśń ciągnąć daléj nasz autor, a nawet i to co z niéj napisał, potém przekreślił. — Daję tu ten początek pieśni rzeczonéj, dotąd nigdzie nie drukowany.

„Pieśń VIII.

Napoli di Romania.

Gdzie nasz Neapol — i morze — i ganek?
Skąd widać było dwa białe miesiące,
Skąd widać było wybrzeże — i wianek
Białych żagielków — i światła płonące

Pod żagielkami — gdzie ostrygi szare
Ze srebrną piersią — i frutti di mare?

Gdzie na wybrzeżu sklepik przy sklepiku,
Żagiel przy żaglu — przy świetle światełko,
I tych światełek na brzegu bez liku,
A każde swoje białe ma skrzydełko,
Jakby gwiazdeczek jakich nowych plemię,
Które skrzydłami Bóg przysłał na ziemię.

Czarowny widok — czarowne wieczory!
Ciebie zachwycał zgiełk ludzi i tęcza,
W jaką się ludzkie wiązały kolory
Nad błękitnawém morzem w pół obręcza.
Jam patrzał w księżyc — co lotem aniołów
Puszczał się w błękit — z mogiły popiołów. *)

Dziwnie! Dziś jestem w mieście — minjaturze
Znanego Tobie Neapolu. Domy
Zaległy tutaj ponadmorskie wzgórze,
Forteca weszła na szczyt skały stroméj,
Mniejsza zaś druga w otchłań lazurową
Weszła się kąpać — jak Castell dell'Ovo.

---

*) Waryant téj trzeciéj zwrotki opiewa:

Czarowny widok — czarowne wieczory —
Ciebie zachwycał ów zgiełk — owa tęcza —
. . . .
Jam czekał cichy, aż po lawy ścianie.
Drący się księżyc wejdzie na szczyt — stanie;
Aż spojrzy na mnie z ogromnéj mogiły
Czarnych popiołów. — I mnie także trzeba
Na jakim wielkim grobie nabrać siły,
Nim się puścimy w świat... nie drogą nieba.

Morze błękitne — i góry z mgłą siną,
Lecz nie tak ścięte jako cukru głowa
Ani jak krater . . .“
(Więcéj nie ma).

Podobieństwo zatém nazwy tego miastka greckiego (Napoli) przypomniało tu poecie tamten wielki, razem z Teofilem Januszewskim niedawno przedtém zwiedzany, włoski Neapol. I cała ta pieśń obecna miała objąć w sobie zatém jeszcze jedno dalekie echo z dni z nim razem spędzonych, a przynajmniéj otrzymał sam jéj początek tę formę zwróconéj wprost ku Teofilowi odezwy. Zdaje się, że właśnie też ta okoliczność, ten mówię psujący ciągłość poematu uskok i nawrot do Neapolu włoskiego i do dni po za obrębem téj wędrówki leżących, spowodował potém poetę, że ten początek nowéj pieśni w tém miejscu jako niestósowny przekreślił, a natomiast — bezpośrednio zaraz po tych przemazanych tu strofach — wpisał na dalszych tego zeszytu kartach oddzielny, inną formą poetycką wykonany wiersz, w którym też odnajdujemy tesame, co tam myśli, choć inaczéj wypowiedziane. Jest to wiersz znany „Do Teofila Januszewskiego“ (mamy go w Pism pośmiertnych tomie I na str. 38 i nast.).

Dalszego zato ciągu właściwego poematu z Podróży, nie ma już wcale w tym manuskrypcie; zapełniają go bowiem odtąd, jak się wyżéj już powiedziało, inne, chaotyczne, przeróżnéj treści, brulionowe i ołówkowe zapiski, a wreszcie rysunki.

Pewną wszelako jest rzeczą, że się praca nad tym poematem tutaj przerwanym, mimo wszy-

stkiego i daléj jednak jeszcze ciągnęła — tylko że autor te pieśni dalsze już do innego jakiegoś raptularza zaciągał. Z tego to drugiego skryptu niewątpliwie pochodziły owe karty wyrwane, własną poety ręką pisane, które się w r. 1867 w czyichś rękach odnalazły w Paryżu i których text za pośrednictwem L. Kaplińskiego został publikowany w krakowskim Przeglądzie Polskim (zeszyt styczniowy r. 1868), a stąd wszedł potém i do najnowszéj z r. 1880, t. j. lwowskiéj Gubrynowicza edycyi dawniejszych dzieł Słowackiego (Tom I. str. 34). Mamy w tych strofach: szczątek pieśni VIII t. j. sam koniec téj pieśni — a następnie i początek, prawie połowę, dziewiątéj pieśni. Osnowa całéj reszty pieśni ósméj — późniejszéj redakcyi, zamiast strof powyżéj przytoczonych — ta więc przepadła: musiała ona odnosić się do dni spędzonych w drodze z Napoli di Romania do Argos a może i do Koryntu (trwało to od 14 do 18 albo 19 września); wiersz (już i z dawniejszych czasów wyjątkowo znany) „Grób Agamemnona“ stanowił jeden z przedostatnich ustępów téj właśnie pieśni; a potém szło to co mamy w Gubrynowiczowém wydaniu p. t.: „Ustęp z Podróży na Wschód“ (str. 34—35 tomu I), jako koniec. Dwie te całości (Grób Agam. i „Ustęp“) stykały się podobno z sobą w owym paryskim autentycznym fragmencie, przysłanym w kopii Przeglądowi Polskiemu do ogłoszenia. Zaraz potém następował w nim początek „pieśni IX“, z reminiscencyami głównie dotyczącymi Koryntu (str. 36 i nast. w edycyi Gubr.) — a dopiero od tego miejsca począwszy, przerwa jak dotąd niczém niezapełniona.

Powyższe wyjaśnienie — ostateczne moje zdanie o téj kwestyi zawiłéj — niech więc posłuży na uzupełnienie tego wszystkiego, com o tém w dziele tém mojém w miejscu odnośném (Tom II str. 104), w texcie i w nocie doń należnéj, powiedział. Obecna nasza wiadomość o „Podróży na Wschód“ redukuje się więc do tego, że było niewątpliwie wykonanych co najmniéj dziewięć pieśni tego poematu. Druga pieśń w całości przepadła — z ósméj mamy tylko koniec — z dziewiątéj początek. A czy było i więcéj pieśni? — tego wiedzieć nie można.

4. Teraz dołączyć do tego muszę dwa sprostowania.

Pierwsze niech dotyczy pytania: kiedy pisany był ten poemat? Wypowiedziałem wyżéj (tom II str. 103) domysł, że praca nad tym utworem przypada na lata spędzone w Florencyi, po powrocie już poety z podróży, t. j. na rok 1837 albo 1838. — To w każdym razie będzie mylném. Poeta mógł w Florencyi ten swój poemat przekształcać, przepisywać itd. choć i to jest wątpliwém — ale pierwsza koncepcya tych pieśni była niezawodnie współczesna z samą podróżą. Po drodze — na okręcie, na popasach, w chwilach wypoczynku — musiało to być pisaném. Dziwne to wprawdzie, że nasz wędrowiec zamiast w podróży oglądać i zwiedzać to wszystko, co było do widzenia, wolał się raczéj zatapiać w swoich papierach — ale jednakże tak było! Przychodzimy do tego wniosku w ten sposób. W raptularzu, o którym tyle tutaj mówimy, znajdują się najprzód (za-

raz od pierwszéj karty) wpisywane już na czysto pieśni: pierwsza, trzecia, czwarta, piąta, szósta i siódma. Potém (zaraz na karcie następnéj) widzimy w nim ów brulionowy (późniéj skasowany) początek pieśni ósméj z napisem Napoli di Romania. Zaraz daléj następuje — znowu tylko brulionowym sposobem rzucony, więc w pierwszym koncepcie — ów wiersz „Do Teofila Januszewskiego", w którym myśli, wypowiedziane w tamtym początku pieśni ósméj, lepiéj może, a w każdym razie inaczéj, lecz w tymże sensie zostały przeprowadzone. O tym wierszu wiemy na pewne, że był napisany w Egipcie w Alexandryi, d. 22 października (r. 1836). Oczywiście wiersz ten musiał być późniejszym co do czasu utworem, aniżeli tamten początek pieśni ósméj; wszakże bowiem w autografie idzie dopiero po nim i zawiera w sobie rzeczy, i tam już powiedziane, a następnie cofnięte. A ten znowu rychlejszy od wiersza rzeczonego początek pieśni ósméj musiał być w każdym razie późniejszym, niżeli pieśni, co go poprzedzają w autografie autora. A zatém, cały ten szereg pieśni (od I do VII) musiał być skoncypowany w Grecyi jeszcze i na morzu, nim poeta przybył do Alexandryi.

Kiedy i gdzie znalazł on czas, te pieśni nie tylko w pierwszym rzucie złożyć, ale nawet i na czysto przepisać do téj książki? tego nie rozumiem. Ale że jednak tak było — o tém wątpić nie można.

Pieśń II, tutaj przeskoczona, mogła być z jakichkolwiek powodów zaciągnięta do drugiego takiego raptularza, do którego i owe pieśni dwie

dalsze, t. j. ósma i dziewiąta, jak przypuszczam, były wpisane. —

Drugie sprostowanie daję co do tytułu. Powiedziałem na str. 105 (tomu II), że pierwotny tytuł tego poematu był P o d r ó ż z N e a p o l u d o Z i e m i Ś w i ę t é j, i że to ja dopiero zastąpiłem go napisem „P o d r ó ż n a W s c h ó d“, a to z przyczyn, z których się tam tłómaczę. Otóż teraz oświadczyć muszę, że ów mniemany „pierwotny tytuł“ wynikł dopiero z głowy wuja Juliusza, z którego kopii jedynie mi był wtedy znany ten utwor. Na téjto kopii był taki tytuł. Ale w autografie poety nie ma żadnego. Poszczególne pieśni mają w nim wprawdzie swoje, i w drukowanéj edycyi zachowane napisy. Lecz generalnego tytułu dla całéj téj kreacyi, nie ma tu nigdzie.

III.

1. W mojém wydaniu pism pośmiertnych Juliusza, musiałem w tomie Iszym w kilku poezyach pozostawić niektóre miejsca zapełnione tylko kropkami — bądź dlatego, że miałem wtedy rękopisy zdefektowane, bądź z innych przyczyn. Obecnie jestem w stanie w małéj części uzupełnić te kropki textem.

I tak, na str. 50 (w Rozmowie z Piramidami) ma brzmieć ostatnia zwrotka tak:

Piramidy, czy została
U was jaka trumna głucha,
Gdziebym złożył mego ducha,
Ażby Polska zmartwychwstała?
— Cierp a pracuj! i bądź dzielny,
Bo twój naród nieśmiertelny.
My umarłych tylko znamy,
A dla ducha trumn nie mamy.

— Na str. 54 w pierwsze kropkowane miejsce wstaw „Z tronów“ — w drugie „I car“.

— Na str. 75 zamiast „Do L. Nabielaka“ daj Do Ludwika Norwida.

— Na str. 85 brakująca zwrotka jest taka:

Pośrodku tron ujrzałem zbroczony i czarny,
Na którym usiadł straszny duch — niedźwiedź polarny,
Figura z krwi i ciała, obydna i tłusta,
„Mocarz“ zapowiedziany w proroctwie oszusta.*)
Przed jego pożyczoną od Mongołów mocą
Szkielety waryatów kładną się, gruchocą,
Podlą się i za podłość mu składają dzięki.
Słychać trzask czaszek — gruchot piszczeli i jęki.

— Na str. 86, po ostatnim wierszu, w tymże samym urywku, następować miał taki wiersz:

Swojéj dawnéj Ojczyzny-matki stanął wrogiem...

— Na str. 103, w kawałku XXX, w czwartym wierszu, wstaw w miejsce wypełnione kropkami wyraz Habsburg.

2. Po tém wszystkiém, nie od rzeczy też pewnie będzie bodaj w tém miejscu uzupełnić kilku słowami to com w rozdziale XIII dzieła tego (w T. II, str. 259) powiedział, że chodziło Słowuckiemu, kiedy pisał Beniowskiego, szczególniéj o schłostanie „Młodéj Polski“ i poznańskiego Tygodnika Literackiego jako tych właśnie pism czasowych, w których najczęściéj w owych latach go zaczepiano. — Co do pierwszego z tych dwóch pism, uważam za potrzebne dać tu wyjaśnienie następujące:

*) Czyby mowa o Towiańskim być miała?

Młodéj Polski, przez cały trzyletni czas jéj istnienia (1838—1840) wydawcą, a zapewne i redaktorem głównym, był Eust. Januszkiewicz. Między Januszkiewiczem samym a Słowackim nie było właściwie zasadniczéj niechęci — owszem, zostawali oni do siebie w stósunku raczéj przyjaznym, i to od dawna. Lecz Młoda Polska przyjmowała niekiedy od trzecich osób recenzye, które późniéj nawet sama tego pisma redakcya uznawała za „niesprawiedliwą krytykę“ — i teto właśnie recenzye jątrzyły poetę naszego. I tak, pojawiła się tu była jeszcze dnia 21 marca 1839 r. (w Dodatku do No 8) niedługa wprawdzie i nie można powiedzieć, żeby jawnie nieżyczliwa, a jednak w pewnéj mierze niesłuszna, a w każdym razie zbyt goryczą zaprawiona wzmianka o Trzech Poematach J. Słowackiego i o Poemacie o piekle Dantyszka. Pisał ją jakiś „Z. K.“ emigrant, którego nazwiska się nie domyślam; nie wiem nawet, czy to nie były litery dowolnie tylko przez kogo, inaczéj się nazywającego, przybrane. Do tegoto też pana Z. K. przedewszystkiém odnosi się owo miejsce w Beniowskim (w pieśni III):

„Imię krytyki? — nie! krytyków! — A ba!
Któż z nich ma imię? — Z. K. — S. K. — E. K.
Mówią, że Młodą Polskę pisze — baba!“ itd.

Otóż ten krytyk, za literami Z. K. schowany w artykuliku powyższym, przyznaje wprawdzie, że „nie zna poety, coby miał równy talent wykonania“, co Słowacki; przyznaje mu „uroczą świetność formy“; upatruje i w świeżo wydanych Trzech poematach „uznaną piękność stylu“. A je-

dnak pomimo tego wszystkiego nie rokuje téj publikacyi tego wpływu, tego rozgłosu w narodzie, „ile mybyśmy życzyli". Ojciec Zadżumionych, powiada, jest to tylko „przerysowanie" znanego ustępu o Ugolinie w Boskiéj Komedyi Danta. „W Szwajcaryi" (wedle niego) „należy do téj osobowéj poezyi, która gdy nie jest wyrazem typu czasowego, skreślonym ręką geniuszu — zajmuje zwykle więcéj samego pisarza, niż czytelników". Wacławowi nakoniec robi także różne zarzuty (zresztą uzasadnione i w oczach naszych). Z sarkastyczną zaś złośliwością rzuca się na Poemat o piekle, korzystając z bezimienności téj publikacyi i udając ironicznie, że się wcale nie domyśla, kto tego autorem.

Oto są słowa krytyka:

„Poemat o Piekle nie nosi nazwiska autora *) — ostrożność bardzo na miejscu! Nie wiemy, kto się dopuścił tego cudactwa; czy jaki człowiek talentu napisał to na żart, dla wypróbowania publiczności — czy też ktoś w dobréj wierze popadł w błąd taki. W pierwszym razie ostrzegamy, że nie łatwo nas złapać; jeśli zaś nasz autor jest dobra dusza, radzimy mu, aby tytułów jakie mieć może do poczciwości, nie wymieniał na tytuł śmiesznego poety."

Poemat o Piekle był rzeczywiście poronionym utworem: ale można to było wypowiedzieć bez żółci i bez téj niby dobrodusznéj ironii. Przecież

*) Myśmy na str. 121 tomu II podali tytuł téj publikacyi jako opatrzony nazwiskiem Słowackiego. To więc sprostować należy.

w redakcyi Młodéj Polski bardzo dobrze wiedziano, czyje to dzieło. Sam Januszkiewicz zajmował się jego drukiem; autor bowiem przebywał wtedy jeszcze we Florencyi, kiedy rzecz ta była pod prasą.

Na tę zaczepkę nastąpiła odpowiedź poety — dał ją w następnym zaraz numerze Młodéj Polski, w Dodatku do Nru 9, z d. 30 marca 1839. Nosi napis: „Kilka słów odpowiedzi na artykuł Pana K. Z. o poezyach J. Słowackiego". Jest podpisana całém imieniem autora i ułożona w formie jawnéj, t. j. osobistéj z jego strony repliki. Redakcya poprzedziła to kilku słowami od siebie — usprawiedliwiając zamieszczenie tamtego artykułu uwagą, że „krytyka nawet niesprawiedliwa lepsza jest dla poety od zimnego milczenia obojętności", rozumieliśmy więc, iż robimy przysługę (!!) P. Słowackiemu, dając miejsce jakiemu bądź objawieniu myśli Polaków o poezyach jego" itd.

Odpowiedzi Słowackiego nie będę tu już w całéj osnowie przytaczał; nadmienię tylko, że powiada w niéj poeta, iż jeżeli mu pan K. Z. (w innych miejscach nazywa go i panem Z. K.) zarzuca, że jego poezye, pomimo wytworności kształtów, tak mało mają odgłosu w Polsce, to tém dotknął wprawdzie najgłębszéj struny jego sumienia; ale powodów tego zjawiska bynajmniéj nie odsłonił, chociaż chciał przez to wszystko, co wyrzekł, owo pytanie rozwiązać. — „Jest to dla poety *to be or not to be,* nad którém ja jak Hamlet rozmyślam, a którego rozwiązanie Bóg zapewne grobowi dopiero mojemu zostawi". Jak na teraz, tłómaczył sobie poeta ten brak spójni między kra-

jem a jego natchnieniami tém oto trojgiem przyczyn. Na pierwszém i główném miejscu okolicznością, że pierwsze tomy jego poezyj były, jak sam powiada „bez duszy". „Imaginacya moja, młoda jak motyl, wabiona była połyskiem, słońcem, kształtami, kiedym je pisał. Teatralny koturn włożyłem na stopy moje, abym, dziecięciem jeszcze będąc, wzrostu sobie przymnożył. Pokazałem się więc po raz pierwszy jako artysta — ludziom, którzy bynajmniéj o artystostwie nie myśleli, ważną i okropną tragedyą rzeczywistą zajęci. Pierwszymi dwoma tomami zgubiłem się na cały czas życia mego — i teraz muszę bez echa śpiewać, choć śpiewam inaczéj; albowiem Polska nie ma ani krytyków silnych, którzyby ją o zmianie lutni ostrzegli, ani czytelników dość szybko sądzących, którzyby się sami z pierwszego sądu otrząść mogli i z czystą uwagą iść za nową pieśnią poety". — Do tego najważniejszego, dołączał Juliusz jednak i dwa jeszcze inne powody: z jednéj strony „trochę wyrachowaną obojętność" ze strony tych poetów naszych, „którzy podobnie do ministeryów politycznych, związawszy się niegdyś razem w opozycyą przeciwko Osińskiemu i Koźmianowi, osiągnęli berło i dziś są równie przeciwko nowym autorom partyą Osińskich i Koźmianów". Z drugiéj strony wskazywał na „wpływ takich artykułów na polską publiczność, jakim jest ostatni pana Z. K. artykuł". „A jeżeli krytyk do tego wszystkiego jeszcze doda, że Polska teraźniejsza podobna jest do Prometeusza, któremu sęp wyjada — nie serce, ale mózg i rozum: wtenczas może i sam zrozumie, dlaczego poezye Słowackiego są bez rozgłosu"...

Tą odpowiedzią poeta recenzenta jednak bynajmniéj nie rozbroił, ale tylko rozjątrzył. Sprawdziły się w rzeczy saméj słowa redakcyi Młodéj Polski, wypowiedziane w nagłówku do téj jego repliki: „Wolelibyśmy okazać w inny sposób naszę życzliwość P. Słowackiemu. Ale skoro chciał umieszczenia swéj odpowiedzi, wypadało nam się stósować do jego woli. Bogdajby był szczęśliwym swoich losów prorokiem!“ — Napadł bowiem już po kilku miesiącach tenże sam K. Z. czy Z. K. choć tym razem chryi swojéj nawet tymi literami już nie oznaczył, na jego Balladynę i z jadowitą nieżyczliwością, zupełnie w intencye autora nie wchodząc i oczywiście już bredząc, starał się dzieło to obrócić w nicość, a w poecie tylko próżność i śmieszną dumę odsłonić. Pojawiła się ta wątrobiana krytyka w Nrze 29 tegoż pisma, dnia 10 października 1839 r. i zajmuje kilka kart (str. 337—344).

Takie były więc powody żalu poety naszego do Młodej Polski. Ściągnęły one na jéj wydawcę nazwanie go, wypowiedziane w Beniowskim — „babą“ (która przyjmuje bez braku, co tylko jéj kto do oddrukowania nadeśle), ale zerwania zupełnego z Januszkiewiczem to jednak nie spowodowało. Przeciwnie, w roku 1840 pozwolił mu Juliusz ogłosić w swoim dzienniku (w Nrze 17 z d. 20 czerwca) wiersz „Na sprowadzenie prochów Napoleona“, który dnia 1 tego miesiąca ułożył, jak to data pod nim poświadcza, i podpisał go całém swojém nazwiskiem. I nie poszczędziła też redakcya temu wierszowi pochwały, w gorących wypowiedzianéj wyrazach. Zaproszenie Słowackiego

na ucztę dla Mickiewicza w końcu r. 1840 i przyjęcie przez Juliusza téj inwitacyi, świadczą o trwającéj i w dalszych czasach pomiędzy nimi, t. j. redaktorem Młodéj Polski a Słowackim, harmonii. Ale niechęć do pana Z. K. — ta tlała w sercu jego i stądto owo miejsce w Beniowskim.

IV.

Pod koniec r. 1873, a zatém we 24 lata po zgonie Słowackiego, zwiedzała para rodaków naszych, odbywając podróż w Szwajcaryi, owo miasto, w którém Juliusz najciekawszą może część życia swojego spędził — Genewę. Pośród wspomnień wielu mężów, w różnych zawodach wsławionych, którzy się albo zrodzili w tém mieście albo też dłużéj w niém jako stali i naturalizowani przebywali mieszkańcy, a których imionami obecnie ponazywane są place i ulice tamtejsze: nie przepomnieli o tém podróżni nasi, „że nad wszystkie owe imiona, drogie tubylcom, znajdujemy w téj ojczyźnie Russa jeszcze i inne — droższe nierównie dla nas. I one także, choć ich ni dłótem ni rylcem nie uwieczniła Genewa, przyrosły zarówno do jéj murów, a jeszcze silniéj przyrosły do serc naszych". Wszyscy niemal poeci nasi generacyi Mickiewicza i Krasińskiego znajdowali po drogach swoich to miasto kwitnące nad przezroczami Lemanu — w dłuższym lub krótszym pobycie swoim w tych murach zaczynali, kończyli utwory oni tu swoje, lub też zaczer-

pywali do nich natchnień, tak iż to miejsce na zawsze ze wspomnieniami naszymi o nich się splotło. Imię Juliusza więcéj niż którekolwiek drugie zespoliło się w ten sposób z Genewą.

W następstwie dni kilku pod wpływem takich wspomnień i wrażeń w owém miejscu przeżytych, podróżujący ziomkowie nasi, o których wyżéj nadmieniłem, dali w Bibliotece Warsz. (1874, I Tom, str. 326) zamieścić nader zajmujące opowiadanie, z którego pozwalam sobie kilka ustępów tutaj dosłownie przytoczyć, o ile się przyczyniają do uzupełnienia rzeczy dotyczących mego poety.

... „Cześć nasza dla talentu poetycznego Juliusza sprawiła, żeśmy pragnęli sięgnąć do gruntu w pobudki natchnień, jakie czerpał w Genewie. Szczęśliwe okoliczności posłużyły nam nad wszelkie oczekiwania. Żyje tu jeszcze osoba, która w wielkiéj części była dla Juliusza tém, czém Ewunia była dla Adama. Poznaliśmy owę Eglantynę, o któréj tyle czytamy w listach Juliusza do matki...

„Nie owa to już Eglantyna, jaką wspomina tylokrotnie Juliusz, mieniąc ją swym opiekuńczym aniołem; nie owa to Eglantyna, z którą zrywał fiołki w Pâquis; któréj wypowiadał wszystkie tajniki serca swego pod cieniem stuletnich jodeł; która w dniu imienin przyniosła mu pierścionek, symbol wiecznéj przyjaźni. Wprowadzeni do jéj domu, ujrzeliśmy siedmdziesięcioletnią matronę w żałobie — w czarnych okularach — pokrywających oczy, zagasłe od lat wielu... Na obliczu jéj, w każdym ruchu, maluje się powaga, złączona

z nieporównaną słodyczą. Rysy pociągłe, pełne znaczenia, przypomniały nam wyryte w medalionie popiersie Klaudyny; na ustach zwiędłych spoczywa łagodny uśmiech, znak prawdziwéj dobroci. Mimo wieku zachowała dwa rzędy równych i drobnych zębów, które niegdyś zapewne świeciły jak dwa sznurki pereł w koralowéj oprawie. Głos jéj czysty, śpiewny, wnika do głębi duszy, jak dźwięk zaklętego dzwonka. Nie dziwimy się bynajmniéj, że ten pieszczony głosik, podniesiony rzewném i głębokiem uczuciem, mógł niegdyś oczarować poetę. Co najwięcéj nas uderzyło, a szczególniéj było nam pożyteczném, to niesłychana jéj prostota, cechująca prawdziwie wyższy umysł.

„Pożyteczną, mówimy, była nam owa prostota pani de Lupé, bo tak dziś zowie się Eglantyna: wyszła za mąż za pułkownika de Lupé, którego zaślubiła w dość późnym wieku. Trudném było w rzeczy saméj położenie nasze. Jak tu przystąpić do głównego wątku naszych odwiedzin? Jak wspomnieć imię Juliusza wobec nieznanéj nam osoby? Jak tu przypomnieć chwile dawno ubiegłe, od których dzieli nas przepaść lat czterdziestu? Lękaliśmy się dotknąć bolesnéj rany, lub posłyszeć zimne słowo, nie dopuszczające dalszych badań. Nie mieliśmy na usprawiedliwienie nasze słów wyrzeczonych przed laty kilku do Ewuni, że uczucia jéj i pamiątki należą nie do niéj tylko, lecz do narodu; bo wszakże naród Ewuni nie jest narodem Eglantyny. Tak sądziliśmy z razu — a przecież z pierwszego słowa Genewki odgadliśmy, że kraj Juliusza został dla niéj jakby drugą ojczyzną.

„Eglantyna sama z nieporównanym taktem złamała pierwsze lody. Sama rzekła zaraz po powitaniu: Wiem, co was tu sprowadza! chcecie zapewne posłyszeć coś o waszym wielkim poecie. Tak, pani, odrzekliśmy na to — Juliusz w saméj rzeczy należy do gwiazd przyświecających jasno na poetycznym widnokręgu naszym. Drogą nam jest pamięć jego; drogimi nam ci, którzy urokiem współczucia koili to serce stęknione za domem, za rodziną!

— Prawdaż to — zagadnęła, że wydano listy poety? Czyż imię moje, wspominane w tych listach, dało powód do jakichciś domysłów?

— Wydano w wielkiéj części listy Juliusza — odrzekliśmy; imię twoje pani, często w nich wspominane, równie jak imię czcigodnéj matki twojéj, a wspominane z uczuciem prawdziwéj przyjaźni i najwyższego szacunku.

— Tak jest — odparła — matka moja kochała go jak syna!

...„W ciągu dwugodzinnéj, a miłéj nad wyraz pogadanki opowiadała nam Eglantyna wiele ciekawych szczegółów o życiu i charakterze młodego przyjaciela. Był on nadzwyczaj staranny tak w ubraniu, jak we wszystkiém co go otaczało. Mimo że zasiłki, jakie otrzymywał od matki i od księgarzy, nadzwyczaj były szczupłe, nie brakło mu nigdy pieniędzy. Porządny w prowadzeniu rachunków, strzegł się najmniejszego długu; nic nigdy nie potrzebował od nikogo, sam jednak chętnie przychodził w pomoc drugim, o ile pozwalała na to możność.

„Ciekawa to strona charakterystyki poety naszego. Jakże wymowną mamy w niéj odpowiedź na teorye zwolenników cyganii literackiéj, które czas jakiś niestety grasowały i w Warszawie, a stawiały za pewnik, jakoby ład w życiu tamował polot twórczych skrzydeł; jakoby geniusz rozwijał się najdzielniéj w dymnéj knajpie lub w zaduchu brudnego poddasza.

„Cichy, smutny, melancholijny poeta nasz pracował bez ustanku. Jeśli strudzony porzucił na chwilę pióro, wygrywał na fortepianie ulubione melodye; niekiedy znów chwytał ołówek albo pędzel i kreślił pełne wdzięku szkice, to z otaczającéj go a tak bogatéj przyrody, to niekiedy ze wspomnień zachowanych w sercu głęboko. Z pomiędzy tych ostatnich darował Eglantynie wykonany gwaszą widok botanicznego ogrodu w Krzemieńcu, gdzie zbiegły jego dziecinne lata. Pod rozłożystymi topolami stała maleńka ławeczka, na któréj siadywał zwykle z matką.“ —

Opowiadała tak daléj gościom swoim pani de Lupé różne inne jeszcze o poecie naszym szczegóły; wspominała o listach jego, z Włoch, ze Wschodu i z Paryża do niéj pisanych. Późniéj dotknięta ślepotą, oddała je do zachowania mężowi. Po śmierci pana de Lupé zbiór ten cały zaginął. Ktoś jak widać, korzystając z jéj kalectwa, zabrał autografy, które w miarę wzrastającéj sławy poety, nabierały coraz to większéj wagi.

— „Pozostał jéj tylko jedyny list pisany z Ziemi Świętéj — znać list ten chowała osobno. Pismo na nim zupełnie zatarte, odczytać go niepodobno. Zlany był, jak mówiła, umyślnie octem

w kwarantannie — dlatego papier tak pożółkł, litery tak wyblakły.

„Pokazywała nam także portret Juliusza, wykonany w Rzymie 1836 r. ręką jego wuja Januszewskiego. Akwarella oprawna w ramki, wisi jak widać w jéj pokoju. Piękny to bardzo portrecik: rysy pociągłe, delikatne, nadzwyczaj regularne; wyraz oblicza smętny, zadumany; nie dopatrzyć najmniejszego zarostu. Z pod okrągłéj czapeczki greckiéj świeci wysokie czoło; po obu stronach wybiegają na skronie pukle ciemnych, wijących się włosów; oczy ciemne, szeroko rozwarte, wzrok głęboki, znaczący. Takim był Juliusz w dwudziestym piątym roku życia, gdy przebywał w Genewie. Eglantyna podziwiała nadzwyczajne podobieństwo wizerunku. Rysy teżsame, jak w znanym medalionie dłóta Władysława Oleszczyńskiego; całość jednak więcéj jeszcze przypomina nam portret Byrona w jego młodzieńczych latach.“ —

Poprzestanę na przytoczeniu następującego jeszcze wyjątku o stanie domu i urządzeniu pokoju, który służył czasu swego za mieszkanie poecie. Pani de Lupé nie zajmowała już bowiem owego domu na przedmieściu Pâquis, w którym pani Patteg, matka Eglantyny niegdyś utrzymywała pensyą. Z jéj śmiercią od dawna przeszedł on w inne ręce.

„Zdarzenie mieć chciało, że dom ten obszerny był w téj chwili cały do wynajęcia. Korzystając ze sposobności, przedstawiliśmy się odźwiernéj jako kandydaci na lokatorów: to nam dawało prawo do przejrzenia wszystkich zakątków obszernéj dwupiętrowéj kamienicy. Z niemałém podzi-

wieniem odźwiernéj minęliśmy wielką salę jadalną i piękniejszy salon z balkonem, a pobiegliśmy co żywo na drugie piętro do maleńkiego pokoiku z oknem wychodzącém na wschód: był to niegdyś pokoik Juliusza. Napróżno odźwierna chciała nas stąd odciągnąć, dowodząc, że ten pokoik należy do najskromniejszych w całym apartamencie. Domyśliła się w końcu, że jest w tém jakaś tajemnica, i ujęta otrzymanym datkiem usunęła się grzecznie, zostawiwszy nas w ubogim pokoiku.

„Ubogi on, to prawda; ściany wylepione żółtym papierem w kwiatki — nie w karmazynowozieloną kratę, jak to było przed laty czterdziestu. Widok z niego nawet mniéj rozległy. Okno wychodzi na ogród, jak niegdyś, lecz ogród ten zmalał podobno o część szóstą. Pobudowano na nim gmachy drogi żelaznéj. Ze stuletnich świerków, dębów i sosen, pod których cieniem poeta zbierał fiołki z Eglantyną, pozostały tylko dwie jodły, nieme świadki przeszłości.

„W izdebce puściéj jeszcze niż w ogródku. Z położenia ścian i dwóch okien snadno było odgadnąć, gdzie stało owo biurko ozeczotkowe i ten ogromny fotel, w którym poeta całkiem tonął, tak że go widać nie było, jak pisze w liście do matki: ze wszystkich sprzętów został tylko piec niewielki, okrągły.

„Ileż tu obrazów zrodziło się w téj twórczéj wyobraźni, ile uczuć grało w tém płomienistém sercu, ile brzmiących dźwięków zlało się pod piórem poety w ten metaliczny rym, który zapewnia mu jedno z pierwszych miejsc w liczbie naszych nieśmiertelnych mistrzów słowa!

„Długo staliśmy w oknie obróconém na wschód, w stronę, w którą poeta z niemniejszą zapewne poglądał tęsknotą, z jaką my w nią dziś poglądamy! I przed oczyma naszymi przesunęło się zwolna pasmo trzyletnich zdarzeń, uczuć i myśli, pod których wpływem dojrzała myśl wieszcza, duch jego spotężniał i przez twardą życia opokę wyżłobił sobie nowe drogi w świat ideału!“

Koniec tomu trzeciego i ostatniego.

SPIS RZECZY
w tomie trzecim zawartych.

Dodatki do drugiego wydania.

